

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 4/343

1976



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

K.A. JELEŃSKI : **Z JOZEFEM CZAPSKIM W LUWRZE**

Cz. MIŁOSZ : **ROMANTYCZNOŚĆ**

TRUDNY DIALOG POLSKO-LITEWSKI

W. BIEŃKOWSKI :

LIST OTWARTY DO WŁADZ POLSKI LUDOWEJ

SPIS RZECZY

K. A. Jeleński:	<i>Z Józefem Czapskim w Luwrze</i>	3
Czesław Miłosz:	<i>Romantyczność</i>	9
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Dziennik pisany nocą</i>	35

ARCHIWUM POLITYCZNE

Dominik Morawski:	<i>Korespondencja z Rzymu</i>	49
Brukselczyk:	<i>Widziane z Brukseli</i>	54
—	<i>Najważniejsze wydarzenia 1975 roku</i> ..	60

TRUDNY DIALOG

J. Dainauskas:	<i>Zgrzytliwe echo przeszłości</i>	63
Czesław Miłosz:	<i>Żdziwna polemika</i>	72
Kazimierz Okulicz:	<i>Ostatnie słowo oskarżonego</i>	77

SĄSIEDZI

Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	84
---------------	----------------------------------	----

Stanisław Swianiewicz:	<i>Późne refleksje po Kopenhadze</i>	91
------------------------	--	----

K R A J

Władysław Bienkowski:	<i>List Otwarty do władz Polski Ludowej w sprawie normalizacji stosunków ze Związkiem Radzieckim</i>	103
—	<i>Reakcje katolików świeckich</i>	107
—	<i>Samozbierra</i>	110

KRONIKA KULTURALNA

Maria Danilewicz Zielińska:	<i>Rozważania o literaturze zwanej emi- gracyjną (3)</i>	111
Witold Wirpsza:	<i>Nieemożność? Polityczna? Absolutna?</i>	117
Józef Czapski:	<i>Mecenas</i>	122
—	<i>Życie wydawnicze w polskim Londynie</i>	124

K S I A Ż K I

M. Broński:	<i>Dyskretny czar totalizmu</i>	127
Maria Danilewicz Zielińska:	<i>Wielka maskarada</i>	130
George Gómöri:	<i>Nie samym winem...</i>	134
K. A. J.:	<i>Pojedynek na cytaty</i>	139
K. A. J.:	<i>Deleuze i Guattari o „Bramach raju”</i>	140
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i>	140

—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	142
---	----------------------------------	-----

P. Bukraba, I. J. Człowie- kowski, K. A. Jeleński, K. Romanowicz, ks. W. Soj- ka, K. Stryjski, W. Su- kiennicki, K. Trębicki, W. Wirpsza, W. Zahorski, P. Zełenij i K. Mytrowycz:	<i>Listy do Redakcji</i>	154
---	--------------------------------	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Kwiecień - Avril 1976

INSTYTUT  LITERACKI

OD REDAKCJI

O 3-ej w nocy z 28 na 29. II. 76 zmarł w New Yorku Józef Wittlin. Jego śmierć jest wielką stratą dla literatury polskiej i światowej oraz dla *Kultury*, z którą był zaprzyjaźniony. Józef Wittlin od kilku lat przygotowywał dla „Biblioteki *Kultury*” tom swoich wierszy, który miał być uzupełnieniem poprzednio wydanego tomu prozy „Orfeusz w piekle XX wieku”. Liczyliśmy również na dokończenie „Soli ziemi”. Wiadomość o śmierci Józefa Wittlina doszła do nas w chwili gdy numer kwietniowy był już zamknięty. Będziemy o nim pisać w numerze majowym.

Artykuł W. A. Zbyszewskiego pt. „Ludowcy: Kot, Witos, Rataj, Tenenbaum i Mikołajczyk”, który miał się ukazać w bieżącym numerze z przyczyn od Redakcji niezależnych ukaże się w numerze majowym.

WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

A. T. (USA) — zamiast kwiatów na grób śp. prof. Stanisława Kota	F. 100,00
Aleksander Bragiński, Pittsburgh, Pa. (USA) — dla uczczenia pamięci mojej matki zmarłej nagle 10 lutego br. w Assuanie (Egipt)	F. 103,00
J. H., Toronto, Ont. (Kanada), po raz drugi	F. 40,00
Dr Franciszek Kałuża, Johannesburg z przeznaczeniem na pomoc Polakom uwięzionym w Rosji	F. 130,00
Stanisław Kmieć, Winnipeg, Man. (Kanada)	F. 118,00
Mieczysław Kościuch, Detroit, Mich. (USA), po raz piąty	F. 94,00
Czesław Miłosz, Berkeley, Cal. (USA) — zamiast kwiatów na grób śp. Józefa Wittlina	F. 235,00
Maciej Morawski, Paryż	F. 100,00
M. S. Ochalski, Chicago, Ill. (USA), po raz piąty	F. 60,00
Maria Rywkin, New York, dla uczczenia pamięci Józefa Wittlina	F. 46,00
Ks. Wojciech Sojka, Erie, Pa. (USA), po raz drugi	F. 47,00
Robert Zuzowski, Paryż	F. 20,00
Bezimiennie, Mediolan, po raz ósmy	F. 77,00
Bezimiennie, Winnipeg, Man. (Kanada), po raz drugi	F. 235,00
Bezimiennie z Ottawy, po raz drugi	F. 250,00

DZIĘKUJEMY!

Z Józefem Czapskim w Luwrze

(CZYLI O NIEODROBIONYM ZADANIU)

Ileż razy zwiedzaliśmy we dwójkę z Józefem Czapskim muzea i wystawy! Kiedy myślę o naszej trzydziestoletniej już przyjaźni, w każdej niemal wywołanej z pamięci migawce totalnej (z tych, które przechowują jak owada w bursztynie, ton głosu, urywek gestu) widzę wokół nas obrazy: najczęściej obrazy Czapskiego w jego zaimprovizowanych pracowniach, ale również obrazy w ciemnych muzeach czy na jasnych ścianach nowoczesnych galerii.

Tym razem jesteśmy w Luwrze na skutek spisku przyjaciół. Mówiąc ze mną o osiemdziesiątych urodzinach, które niewiarygodnie obchodzi nasz przyjaciel Józio, Wojciech Karpiński zasugerował, abym zamiast okolicznościowego artykułu dał *Kulturze* zapis przechadzki z Czapskim po Luwrze. Zapytałem go czy ma na myśli serię artykułów Pierre Schneidera w *Preuves* sprzed kilkunastu lat o jego rozmowach w Luwrze ze współczesnymi malarzami. Odpowiedział twierdząco. Nic mnie bardziej nie cieszy niż rzekome zbiegi okoliczności i decydująca była tu dla mnie możliwość zamknięcia kręgu: moja lektura przechadzek po Luwrze Czapskiego z Pankiewiczem w 1935 roku, związana z nią seria artykułów w czasopiśmie, w którym kierowałem działem artystycznym, wpływ tej serii na młodego pisarza polskiego i wreszcie jego rada, abym po 40 latach zaczął od początku, wracając do Luwru z człowiekiem, któremu ten pomysł zawdzięczamy.

Czapskiego na odwiedzenie Luwru nie trzeba nigdy długo namawiać, ale ja mam pewne obawy czy sam fakt, że z naszej wizyty ma wyniknąć jakiś drukowany produkt, nie zmusi nas do swoistej celebracji w której każdy z nas będzie grał swoją własną rolę i czy nie zepsuje nam to przyjemności. Decydujemy

przeciwdziałać temu zachowując się jakby nigdy nic, z jednym wyjątkiem: nawrotu do kilku płócien o których mówił Czapski z Pankiewiczem.

Dopiero w Salon Carré widzę, że coś mi brakuje. Czapski nie ma w ręku nieodzownego zeszytu oprawionego w szare płótno, w którym zapisy myśli nagłych, wklejone artykuły i listy, szkice notowane na gorąco waloryzują się wzajemnie, stanowiąc uroczą i jednolitą całość: zarazem jedyny w swoim rodzaju plastyczny dziennik i najwierniejszy autoportret. A więc jest to — mimo wszystko — wizyta na niby.

Ja sam czuję, że mniej uważnie patrzę na obrazy, że nawracam do Luwru sprzed lat. Pierwszy raz tu byłem jako piętnastoletni chłopiec w 1937 r., a więc zaledwie dwa lata po przechadzkach Czapskiego z Pankiewiczem. Wydaje mi się, że było wówczas mniej zwiedzających, że publiczność była starsza, klasowo bardziej jednolita, o wyglądzie burżuazyjno-inteligentnym. Czapski mi przeczy, dla niego Luwr był zawsze pełen młodzieży, nie widzi różnic w układzie klasowym publiczności. Różnice są dziś rzeczywiste niewidoczne, styl ubioru jest co najwyżej związany z wiekiem, a nie z klasą społeczną, ale jest to skutek tej samej kulturalnej i obyczajowej rewolucji, która udostępniła „masom” Luwr. „Kultura masowa” staje się pojęciem coraz trudniej uchwytnym, ale niewątpliwie jest dziś istnienie „masy kulturalnej”, która przed wojną była nie do pomyślenia. Zmieniła się publiczność, zmieniło się również muzeum. W owych odległych czasach szło się do muzeum aby obraz zobaczyć po raz pierwszy, reprodukcje były nędzne, rzadko kolorowe (a te ostatnie dawały najbardziej mylne pojęcie o oryginale). Czapski wspomina swe wysiłki, aby z istniejącego przed wojną polskiego „Funduszu Kulturalnego” zakupiono za granicą jeden czy dwa obrazy Cézanne’a, które były na sprzedaż po cenach niewspółmiernie niższych niż obecnie. Chciał wciągnąć do tej kampanii Antoniego Słonimskiego, który odpowiedział: „Po co? Przecież mamy, dziś świetne kolorowe reprodukcje”. Czapski jeszcze się dziś na to żartobliwie oburza, ja zaś jestem skłonny widzieć w tej butadzie Słonimskiego jego wrażliwość na rewolucyjną rolę technologii, która istotnie wiodła do całkowicie nowej koncepcji „Muzeum Wyobraźni”. Przecież niemal każdy obraz który widzimy w Luwrze znamy dziś z dziesiątek reprodukcji w różnych, przeważnie niepotrzebnych, książkach, których stopy leżą na kulturalnych stolikach, bo nie mieszczą się na półkach bibliotek. Doświadczenie zobaczenia po raz pierwszy obrazu, o którym się marzy, zostało nam odebrane na zawsze. Od niedawna natomiast obrazy stały się sławne na tej samej zasadzie co gwiazdy filmowe czy sportowe; dzięki astronomicznym cenom sasiadują dziś one

na łamach ilustrowanych tygodników z Lizą Minelli czy Cassiusem Clay. Skończył się również dzięki temu krótki okres, w którym obrazy podróżowały, kiedy całe szkoły malarskie składały sobie nawzajem wizyty po muzeach. Zaczęło się to od wielkiej wystawy malarstwa włoskiego w Paryżu, urządzonej przez Mussoliniego we wczesnych latach trzydziestych, kończy się na naszych oczach, bo żaden budżet państwowy poświęcony sztuce nie może już pokryć olbrzymich kosztów ubezpieczenia. Oto przed nami symbol tej przemiany — zamknięta w szklanym akwariu Mona Liza odpoczywa po swych ostatnich już chyba podróżach do Japonii i Stanów Zjednoczonych. Otoczona małym tłumem, przypomina chorego, na którego patrzy się w szpitalu przez szybę, gdyż nawet nasz oddech mógłby być dla niego zgubny. Obok małe stoisko ze stosem aparatów opatrzonych słuchawkami: za dwa franki Gioconda opowie o sobie zza szyby w pięciu językach.

Wizytę naszą chcemy zacząć od Corotów — jemu przecież zawdzięcza Czapski swe najdawniejsze wrażenia malarskie, może nawet pragnienie by zostać malarzem. Ale sale rzekomo „pomniejszych” obrazów francuskiego XVIII i XIX wieku są zamknięte, podobnie jak amfilada małych sal, poświęconych również dla Czapskiego ważnym Holendrom. Pytamy o przyczynę; zapomnieliśmy, że przed paroma dniami nieznany młody człowiek zdjął ze sztalugi mały obraz sienieńskiego malarza (zasięgnąwszy uprzednio rady innych zwiedzających), wsadził go za pazuchę i spokojnie wyszedł z Luwru. A więc zwykła dziś w muzeach panika po kradzieży. Za dużo obrazów, bo za drogie; za mało strażników, bo za drodzy. Mało już w kapitalistycznej Europie muzeów, w których otwarte są wszystkie sale. W weneckiej Accademii tylko połowa sal była otwarta w zimie — będąc tam dwa miesiące temu nie mogłem zobaczyć mej ulubionej „Burzy” Giorgione, bo pobyt mój wypadł na tydzień w którym akurat ta połowa muzeum była zamknięta. Stąd zresztą wzrost cen wstępu do muzeów, w oczywistej sprzeczności z rzekomą wolą udostępnienia ich wszystkim. Nawet Anglia, jedyny cywilizowany kraj zachodni, gdzie wstęp do muzeów był od wojny bezpłatny, wprowadziła ostatnio na nowo płatne bilety.

Skąd, zamiast spełniać powierzone mi przez Wojciecha Karpińskiego zadanie, nasuwają mi się socjologiczne uwagi, przecież wszystko jest niemal jak zwykle, zatrzymujemy się z Józkiem przed obrazami, wymieniamy wrażenia, nawołujemy się wzajemnie. Do Luwru zachodzę dość często, bo mieszkam bliźutko, ale na kwadrans, pół godziny, odwiedzić dwa, trzy obrazy czy przejść przez egipskie sale. Tym razem mamy poczucie obowiązku, poświęciliśmy na Luwr cały ranek, jeśli nie starczy, zjemy coś

w kafeterii i znowu zwiedzanie. Dlatego chyba Muzeum zaczyna mi zakrywać obrazy (podobnie jak las może przesłonić drzewa) i czuję się trochę jak Gombrowicz u Gonzala (właśnie skończyłem tłumaczenie Trans-Atlantyku na francuski). Przypominam Czapskiemu jak o tym opowiada Gombrowicz:

„Wszelako widząc Tycjanów, Rafaelów, Murillów malowidła, a też inne arcydzieła nadzwyczajne sztuki, z poszanowaniem to wszystko oglądaliśmy, i ja powiadam: — Skarby to są, skarby! — A skarby — powiada — i właśnie dlatego ja, kosztu nie szcędząc, wszystkie zakupiłem i tu do kupy zgromadziłem, żeby mi trochę Potaniały”.

Oburza się na to Józio, dla niego to niemal bluźnierstwo, ale zgadza się ze mną, że w muzeach jesteśmy skłonni bezczelnie wybredzać, klusem przebiegać przez sale krajobrazów i martwych natur mniej znanych Holendrów, podczas gdy na każdy z tych obrazów patrzelibyśmy uważnie, gdyby sam jeden wisił na ścianie u znajomych.

Chodzimy tak od obrazu do obrazu, udaje się nam nawet zapomnieć, że ma to być czymś w rodzaju wywiadu. To co mi mówi Czapski jest zawsze ciekawe i notuję wszystko w pamięci, ale stale chodzi mi po głowie bardziej zasadnicze pytanie: co my tu właściwie robimy? Czym jest doświadczenie estetyczne? Czemu służy dzieło sztuki?

Po powrocie do domu zdałem sobie sprawę, że właściwie tylko dwa momenty z tej przechadzki były dla mnie po jakimś niecodziennym i że oba zawdzięczam Czapskiemu jako twórcy.

Przed paroma miesiącami pokazał mi Czapski nowy obraz — transpozycję części „Tańca Salome przed Herodem” Fra Angelica, namalowaną oczywiście z naszkicowanej w Luwrze notatki. Staliśmy teraz przed oryginałem. Czapski odtworzył tylko drobną jego część — architektoniczny układ po lewej stronie, będący jakby otwartą sienią wiodącą do sali, gdzie rozgrywa się scena biblijna. Brama, kolumny, pilastry zachodzą tam na siebie tworząc przestrzeń zbudowaną z wąskich prostokątów o żywych, szczerych czerwieniach i zieleniach. Obraz Czapskiego jest większy od oryginału, wierny, ale podkreślający to co jest w nim malarsko najciekawsze: płaszczyzny jeszcze bardziej „abstrakcyjne”, kolory jeszcze śmielsze. Stoi mi on tak żywo w pamięci, że Fra Angelico rozpada mi się na dwa obrazy: mały kwadrat na lewo, widziany przez filtr Czapskiego, gasi długi prostokąt na prawo.

Drugi moment, kiedy wchodzimy do wielkiej sali malarstwa francuskiego XIX wieku (Delacroix, Géricault, Courbet). Czerwone jej ściany podzielone są na blade różowe pionowe pasma na które pada w tej chwili światło i na fioletowe niemal

pasma w cieniu. Czapski staje jak wryty i mówi mi „patrz!” głosem o wiele żywszym niż wskazując na jakieśkolwiek arcydzieło. Ale nie potrzebuje mi tego mówić, nawet gdybym był sam, rozpoznałbym od razu: to „Czapski”! Sztuka jest zatem w pierwszym rzędzie maszyną wrażenia-twórczą. Wiedział o tym Proust, który pisał: „Kobiety przechodzą ulicą, odmienne od tych które chodziły po niej dawniej, gdyż są to Renoiry, te same Renoiry, w których kiedyś nie umieliśmy rozpoznać kobiet”. Podobnie dla mnie muzea, kawiarnie, korytarze metra, w których widzę Czapskiego, nawet gdy o nim nie myślę. Bywa tak nawet z obrazami. W czasie naszej wizyty rozpoznaliśmy z Czapskim dobrego Courbetta w siedemnastowiecznym Neapolitańczyku.

Odpoczywając w kafeterii po naszym porannym zadaniu (które nigdy nie będzie „odrobione”) mówimy, aż wstyd się przyznać, o tym co może dać dzieło sztuki. Odtwarzamy po swojemu zwykle rozważania z serii mistyka-erotyzm-narkotyki-sztuka jako „Doors of Perception”. Czapski przytacza wycytaną bodaj u Villiers de l'Isle Adam opowieść o starej kobiecie, która siedzi zmęczona przy zniszczonym, pokrytym poszarpaną ceratą stole i marzy o raj. Ach, gdyby mogła choć ukradkiem spojrzeć na to, co jej Pan Bóg gotuje po jej znojmym życiu. Bóg się lituje i w pokoju zjawia się anioł: „Chcesz widzieć raj? Zamknij oczy!”. I po chwili: „A teraz otwórz oczy!”. Staruszka patrzy, anioł znikł, przed nią ten sam stół, pokryty tą samą ceratą. Nie znam dalszego ciągu, nie wiem czy morał dotyczy raju pojętego jako zgodę na to, co nam jest dane, interesują mnie tu na nowo otwarte oczy — dar nowego spojrzenia. Sztuka nie przemienia kołodziejów, ale na pewno może im dać nowe spojrzenie na stary stół, a to już bardzo dużo.

Odczytałem na nowo „Pankiewicza” Czapskiego i uderzyło mnie o ile bliższy jest dla mnie w tym dialogu głos ucznia od głosu jego ówczesnego mistrza. „Na tym polega dzieło sztuki — mówi Pankiewicz — że człowiek grupuje elementy świata i wprowadza w świat zewnętrzny ład i liczbę. Najbardziej obcym żywiołem sztuki jest bezład. Widzimy to co rozumiemy, widzimy chaotycznie, to znaczy, że myślimy chaotycznie” Nie, dzieło sztuki (Czapski musiał to zawsze czuć podświadomie) ma do czynienia właśnie z tym co myślimy, co widzimy chaotycznie. Raz jeszcze zacytuję tu Prousta (nie mając polskiego wydania muszę go mozołnie tłumaczyć z oryginału):

„Prawdy, które inteligencja chwytą bezpośrednio w świetle w pełni oświetlonym, mają w sobie coś mniej głębokiego, mniej koniecznego od tych, które życie przekazało nam *mimo naszej woli* poprzez wrażenie — materialne, skoro dotarło do nas za pośrednictwem zmysłów, ale z którego możemy wyłuskać

ducha... Należy dążyć do interpretacji wrażeń jako *znaków* takich czy innych praw czy myśli... Myśli uformowane przez czystą inteligencję ograniczają się do prawdy logicznej, do prawdy możliwej, ich wybór jest przypadkowy... Jedynie wrażenie, jakkolwiek wątpliwe jest jego materia, jakkolwiek nieprawdopodobny jego ślad, stanowi kryterium prawdy i z tego powodu zasługuje na to, by zostało uchwycone przez ducha, gdyż ono jedno jest w stanie, jeśli duch potrafi tę prawdę wyłuskać, prowadzić do większej doskonałości i dać mu czystą radość" (z „Le Côté de Guermantes”).

Kochany Józiu! Jest nas wielu, którym *znaki* twego malarstwa pomogły rozpoznać inne *znaki* zaledwie przeczute w półmroku zmysłów, mimowolnej pamięci, wyobraźni. Twoje dzieło bliskie nam jest jako drogowskaz do nieuchwytnych chwil uprzywilejowanych naszego życia. Nasza wizyta w Luwrze pozwoliła mi to lepiej zrozumieć i bardzo Ci za to, w przededniu Twoich osiemdziesiątych urodzin, dziękuję.

K. A. JELEŃSKI

Romantyczność

1. Trzeba wrócić tam, do tego europejskiego czasu w którym jeszcze ważyły się szale naszego losu. Do Goethego. Mało i nie-dokładnie znam jego dzieło, ale ufam znawcy niemieckiej literatury, amerykańskiemu profesorowi Erichowi Hellerowi, zapewne dlatego, że Heller (urodzony w roku 1911) twierdzi mniej więcej to samo co twierdził (zmarły w roku 1911) Stanisław Brzozowski kiedy mówił o „romantycznym przesileniu kultury europejskiej”, choć Heller nawet o istnieniu Brzozowskiego nie słyszał, to samo też, co twierdził mój nieżyjący przyjaciel Kazimierz Wyka (na Brzozowskim wychowany) w swojej książce *Modernizm polski*. Esej Hellera pt. „Goethe i pojęcie prawdy naukowej” (w zbiorze *The Disinherited Mind*) zajmuje się „Wojną Trzydziestoletnią przeciwko Newtonowi”, jaką prowadził weimarski dostojnik, oraz jego próbami stworzenia innej nauki niż ta, jaką zapowiadała newtonowska fizyka. Goethe wiele pracował nad swoją teorią kolorów i teorią pra-rośliny.

„Nie, Goethe nie obawiał się — pisze Heller — że pierwszy rozdział Genezy zostanie zdyskredytowany jako niezmienna raz na zawsze księga przez ciesząc się honorami szkoły geologii, biologii i antropologii; przerażała go jedynie myśl, że nauka eksperymentalna, sprzymierzona z mechanistyczną filozofią natury, tak zręczna w stawianiu pytań i udzielaniu odpowiedzi kiedy chodzi o *jak* wszelkich rzeczy, tak biegła w ustalaniu spodziewanych i niespodziewanych *stosunków* pomiędzy tym, samym i owym, może wreszcie zniszczyć wszelkie twórcze zainteresowanie *czym* to, tamto i owo są i *co* *znacza*. Gdyż teoria Darwiniana miała dostarczyć pożywki całemu mnóstwu przesądnych wierzeń, które pleniły się od chwili kiedy średniowieczna scholastyka poniosła klęskę z rąk Franciszka Bacona”.

Heller (tak jak niezależnie od niego Brzozowski i Wyka) zajmuje się *rozdwojeniem* na świat praw naukowych (zimny, zupełnie obojętny na nasze wartości) i świat wewnętrzny człowieka. Rozdwojenie to zarysowuje się już wyraźnie w końcu osiemnastego wieku i stanowić odtąd będzie zasadniczą cechę romantycznego kryzysu. Goethe rozumiał, że przyczyny leżą w opcji dokonanej przez naukę i przewidywał następstwa. „Mianował siebie jakby emisariuszem Bytu w krainie ludzkiego umysłu, który to umysł oddał się we władzę ponętnej mechaniki stawiania się, postępu, ewolucji i rewolucji”. Rozdwojenia Goethe chciał za wszelką cenę uniknąć, stąd jego poszukiwania innej nauki, zgodnej z jego wiarą w doskonałą współodpowiedniość duszy ludzkiej i wszechświata. Za jego życia pojawia się już jednak „umysł wydziedziczony” w sensie ontologicznym, wewnętrznie rozdarty, równocześnie przekonany, że człowiek jest niczym w ogromie wrogiego uniwersum i, ponieważ dotkliwie rani to ludzką dumę, przypisując człowiekowi najwyższe znaczenie. Stąd powstaje „nieustanna walka pomiędzy arogancją i upokorzeniem”, ona też będzie charakteryzować całą literaturę nowoczesną, a więc Nietzschego, Dostojewskiego, Kafkę, Prousta, Sartre’a etc.

Heller wielbi w Goethem jego sprzeciw wobec rozdzielania „życia poezji” od „poezji życia” i przegraną jego teorii naukowych uważa za zaszczytną:

„Naukowe pomysły Goethego nie wniosły nic ważnego do postępu, jaki dokonał się w nauce pomiędzy jego epoką i naszą, nie przyczyniły się też w niczym do udoskonalenia technik pozwalających opanować i eksploatować przyrodę; zdołał on jednak, sprzeciwiając się współczesnej mu nauce, obnażyć z wielką precyzją same korzenie tego kryzysu i tego przewrotu w metodach naukowych, wobec jakiego stanął naukowiec w dwudziestym wieku. W historii nauki od Newtona do Einsteina Goethe-naukowiec gra rolę Kopciuszka, uwydatniając sukces i wspaniałość swoich bogatych krewnych ale także *hubris* właściwą ich poczynaniom. Może nadejść dzień kiedy historia Kopciuszka znajdzie zakończenie stosowne dla takich baśni — ale kto wie czy nie nastąpi to wtedy, kiedy nowy kościół technologii odniesie swój ostateczny triumf jednocząc w eksplozywnym związku najchłodniejszą matematyczną abstrakcję i najgorętszą żądzę potęgi”.

Jak rzekłem, do znawstwa w tym zakresie, tzn. pism Goethego, nie roszczę pretensji i wprowadzam tutaj Hellera raczej jako użyteczną dygresję. Nie mogę powstrzymać się od jeszcze jednej, dla mnie szczególnie wygodnej, cytaty:

„Niepokój, że świat, coraz dalej brnąc w analityczne rozprzężenie, może wreszcie znaleźć się w punkcie kiedy stanie się miej-

scem poetycko niepotrzebnym, pustynią dla ludzkich uczuć, do starcza Goethemu podniety w jego naukowych zajęciach, które na dłuższy czas 'pochłaniają wszelką moją energię'. William Blake, nieznanym Goethemu ale jego towarzyszy broni w wojnie przeciwko Newtonowi, łatwiej sobie radził. Był on średniowiecznym chłopem w porównaniu z Goethem, który miał niepośledni zasób światowej rafinady. Dla Blake'a wynalazca nowej fizyki po prostu należał do spiskowców winnych duchowego grzechu, był mitologicznym ambasadorem, drugą osobą Złej Trójcy, obok Baccy i Locke'a. Ale Blake'owi zdarzało się widywać anioły na jabłoni, Goethe widział tylko 'idee'. Nie byłoby mu dosyć powiedzieć, że nowa fizyka jest występna; powinno się było dowieść tego eksperymentalnymi metodami”.

Heller myli się nazywając Blake'a średniowiecznym chłopem. Tak mniemano w roku może 1911 ale i wtedy niektórzy, m.in. Brzozowski, podejrzewali, że coś tu się bardziej złożonego kryje niż wizjonerstwo jak u wioskowych szamanów. Ale Heller ma całkowitą słuszność łącząc nazwiska Goethego i Blake'a jako tych, którzy świadomie opierali się rozdwojeniu. I to właśnie stanowi o ich wyjątkowej pozycji w epoce już uznającego rozdwojenie romantycznego ruchu.

2. To prowadzi nas wprost do ballady *Romantyczność* Mickiewicza. Ma rację Mickiewicz w tej balladzie czy nie? Jeżeli ma, jeżeli powinniśmy ufać „czuci i wierze” a nie „mędrca szkiełku i oku”, to dlaczego zaraz po lekcji na której kazano nam entuzjazmować się tym wierszem zabierano nas do pracowni przyrodniczej i uczono posługiwać się mikroskopem? Twierdząc teraz, oglądając i młodocianego siebie i moich rówieśnych, że Mickiewicz jakiego nam ofiarowano był już ułożony przez mnóstwo *clichés*, owinięty nimi jak watą. Zresztą takie wiersze jak *Romantyczność* sprzyjały podobnym operacjom. Rzecz dzieje się w wiosce, ale nie jest to realna wioska gdzieś na ziemiach Wielkiego Księstwa Litewskiego, ani nawet zaścianek szlachecki, i mogłaby równie dobrze znaleźć się w jednej z bajek Grimma. Kto to jest „gmin”? Jak są ubrani? Zapewne w stroje przysługujące gminowi z bajki. Toteż kiedy ukazuje się „starzec”, który w imię rozumu woła, że „dziewczyzna duby smalone bredzi”, nie wyobrażamy go sobie w stroju wileńskiego profesora, raczej w stroju nieokreślonej baśniowym, może nawet w spiczastej czapie medyka czy astrologa, co ogromnie ułatwia nasze wycofanie się z konfliktu: ee, tam jego wiedza! Co prawda na końcu ballady nagle przyłącza się do sporu pomiędzy gminem i starcem „sam poeta”, najwidoczniej młody podróżny, który właśnie przez wioskę przejeżdżał, ale poprzednie strofy dostatecznie przygotowały

jego odrealnienie, więc kiedy woła: „miej serce i patrzaj w serce”, przyjęte to jest przez nas jak oczywisty bajkowy morał.

Postaram się odtworzyć obraz Mickiewicza zbanalizowanego, uładowanego na szkolny i pozaszkolny użytek. Pewnie że trzeba mieć serce, pewnie że człowieka nie da się zamknąć w kręgu „martwych prawd”, że powinien on marzyć, fantazjować, „śnić” jak się to kiedyś mówiło, płazem by się stał gdyby nie jego poetyckie wzloty, jak lubili powtarzać najtrzeźwiejsi nawet pozytywści. Mickiewicz był wielki bo siłą uczucia górował nad innymi poetami i potrafił wczuć się w duszę ludową, z ludowych wierzeń i legend czerpiąc swoje świtezianki i upiory w *Balladach i Romansach*, stamtąd też wywodząc całą cudowność w *Dziadach*, te dusze zjawiające się widomie albo pokutujące w kantorku czy w suchym drewnie, te anioły i diabły, te chóry duchów z lewej i z prawej strony. Niestety Mickiewicz po napisaniu *Pana Tadeusza* zamilkł, ale można go usprawiedliwić bo zarzucił poezję dla Czynu. Niezrozumiałe było jego opętanie towiańszczyzną, które pozbawiło go katedry w College de France i zepsuło jego *Kurs Literatur Słowiańskich*. No, to była pewna faza, nie ostateczna, skoro później działał praktycznie, organizuje legion we Włoszech, wydaje „Trybunę Ludów”, jedzie do Konstantynopola.

Czy wolno jakiegoś poetę uwielbić, postawić na pomniku, wywłaszczając go z jego myśli? Dlatego, że narodowi potrzebny a jego myśl nie bardzo potrzebna? Że z przedstawionym wyżej obrazem Mickiewicza nie wszystko w porządku, wiedzieli badacze, bo to właśnie oznacza w ich ustach „zagadka Mickiewicza” ale na ogół nie kwapili się z wyjawianiem swoich opinii, bo jakoś niewygodnie.

Kiedy poeta czterdziestoletni, pięćdziesięcioletni wypowiada sądy o swoich dziełach, o innych poetach, o religii, historii, trudno chyba udawać, że takich wypowiedzi nie było? Mickiewicz wykreślał linię ciągłą od swoich wczesnych wierszy do swoich przekonań wieku dojrzałego. W rozmowie z Aleksandrem Chodźką powiedział w 1847 roku: „Zaleski jest największym z żyjących poetów starej szkoły. Moja różnica od innych w tem, że od razu stanąłem poza obrębem. W *Romantyczności* jest już ziarno przyszłej poezji: 'Czucie i wiara'. Szukałem, widziałem coś, jak tam dziewczeczka, i w dalszych poezjach nigdy się zbyt nie zbliżem z tej drogi, bo *Wallenrod* i *Pan Tadeusz* są niby zboczeniami”.

O ile wiem, jedna tylko książka postawiła wyraźnie zagadnienie, które mnie tutaj zaprzęta, książka dziś rzadka i zapomniana, Andrzeja Niemojewskiego *Dawność a Mickiewicz*, wydana w Warszawie tuż po I wojnie. Niemojewski miał niezwykłą ciekawość, która pchała go na tereny przez innych omijane,

ale brak mu przygotowania i w swoich antropologicznych oraz religioznawczych pomysłach jest za nadto samoukiem. Jeden rozdział książki natomiast zachował aktualność i zawiera cenne spostrzeżenia: „Filozofia Mickiewicza”, napisany w roku 1911. Pozytywistyczna formacja Niemojewskiego wiele wyjaśnia. Bo jednak pozytywistów niepokoił wieszcz, którego utwory pełne są zjawisk nadprzyrodzonych, starali się więc dowiedzieć, że poeci jak to poeci, wolno im tworzyć różne monstra „na niby”. Niemojewski, chociaż wolnomyśliciel wojujący, nie zgadza się z Chmielowskim, który broni Mickiewicza przed przypisywaniem mu wiary „w duchy nocne, upiory i czary”. Chmielowski: „Za rzecz niewątpliwą to tylko można uznać, iż Mickiewicz jako poeta romantyczny lubował się w tajemniczej stronie zjawisk przyrody zewnętrznej i ducha ludzkiego, a nie zaprzeczając bynajmniej znaczeniu rozumu, akcentował silnie doniosłość uczucia i fantazji”. Wcale nie tak — odpowiada na to Niemojewski. Właśnie że Mickiewicz rozumu nie cenił, w duchy nocne wierzył, trzeba więc całą jego filozofię inaczej, inteligentniej, zbadać. Zasadniczy błąd interpretacji polegał dotychczas na tym, że każdy, stosownie do swoich przekonań, jedno u Mickiewicza wydobywał, inne pomijał, jeżeli natomiast natrafiano na idee rażące, powiadano, że przecież był „dzieckiem swego wieku” — „co jako żywo jest nieprawdą”.

Według Niemojewskiego w dziewiętnastym wieku nastąpił koniec wszystkich, trwających tysiąclecia, cywilizacji opartych na religii. Ostateczne zwycięstwo przypadło szkielek i oku, w wyniku czego „my wszyscy jesteśmy dziś ewolucjonistami”. Niestety postęp nauki nie obywat się, zdaniem Niemojewskiego, bez szkód, bo pojawia się skłonność do rzutowania wstecz nowych wyobrażeń, co wypacza historyczną wiedzę. „A to położenie nasze — pisze Niemojewski — jest tym dziwniejsze i trudniejsze, że ewolucjonizm stał się dopiero kategorią naszego myślenia, ale nie zdążył jeszcze opanować sfery naszego uczucia. Poezji i sztuki nie ogarnął, na obyczaje nasze nie wywarł jeszcze najmniejszego wpływu. Życie nasze posiada jeszcze mnóstwo form z epoki minionej i nieprędko się ich pozbędzie. Całe prawodawstwo otacza opieką stare formy. Zresztą wszędzie prawie jesteśmy świadkami walki o wpływ przyrodnika z teologiem. W tym znaczeniu nie jesteśmy jeszcze całymi ludźmi, ale pierwszą próbą i może niezbyt szczęśliwą nowej formacji ludzkiej, pierwszymi generacjami ewolucjonistów, typami przejściowymi, pośrednimi pomiędzy wczoraj a jutrem”.

Postępowiec o umyśle zeszłowiecznym jest zawsze postacią rzewną. Niemojewskiego jednak należy czytać lojalnie i wtedy wypadnie uznać, że zauważył to samo, co miał, o ileż później,

zauważyć genetyk Jacques Mond (w *Le Hasard et la Nécessité*): że trudne do ogarnięcia skutki powoduje konflikt pomiędzy „tradycją animistyczną” (religie oraz ideologie takie jak heglizm, marksizm, teilhardyzm) i „obiektywną prawdą” (nauki). Niemojewski zdaje się zakładać, że rodzaj podświadomości zbiorowej stawia opór „nowemu człowiekowi”. I ta właśnie druga świadomość wydała na pograniczu dwóch epok w dziejach ludzkości genialne dzieło Mickiewicza, przede wszystkim *Dziady*, które „stały się bodaj ostatnią a zarazem najpotężniejszą manifestacją starożytniej filozofii, śpiewem łabędzim wielkiej, dogasającej epoki. Tysiąclecia miały się raz ostatni tu wypowiedzieć, 'wieki głucho wtórzyć', wieszczowi, aby następnie przejść do historii, ustępując miejsca nowemu światu”.

Mickiewicz pochodził z głębokiej prowincji nietkniętej przez jakiegokolwiek niedowiarstwo Wieku Rozumu. Nie było nawet nic wspólnego pomiędzy Warszawą Stanisława Augusta i wsią litewską. Na uniwersytecie uległ wpływom filozofów Oświecenia ale ten wpływ pozostał na powierzchni i nie trwał długo. Co więcej, wyobraźnia Mickiewicza nigdy nie oddaliła się od przed-naukowych pojęć kosmologicznych. „Jest wielce wątpliwe — pisze Niemojewski — czy w Wilnie za czasów Mickiewicza znany był powszechnie system kopernikański. Jeżeli go nawet wykładano na uniwersytecie, wchodził do głów młodzieży mechanicznie. Kopernik imponował Mickiewiczowi jako genialny myśliciel, ale oka jego nie przerobił i duszy nie przerobił”. Zdaniem Niemojewskiego, tylko poeta o wyobraźni przed-naukowej (ziemia a nad nią niebieska kopuła) mógł napisać o ptaku że jest „do nieba przybity za skrzydło”. Zawsze w chwilach dla siebie i dla kraju przeformowych Mickiewicz sięgał do tych swoich wierzeń, które były najzupełniej przeciwne nowym pojęciom. Toteż III część *Dziadów* z pozoru tylko jest dramatem politycznym. W istocie nie chodzi ani o wolność ani o równość ani o braterstwo ani o prawa narodów. Jest to apokalipsa. Siły jasności walczą przeciwko Bestii (państwu rosyjskiemu), zwycięstwo nad którą odniesie Namiestnik zapowiadany w Widzeniu księdza Piotra. Według Niemojewskiego wszystkie apokalipsy są polityczne, toteż Mickiewicz, w ciągu całego prawie życia rozczytujący się w Biblii (w czym wyłamywał się z obyczajów katolicyzmu polskiego) mógł łatwo zastąpić dawną Bestię (państwo rzymskie) nową, tym bardziej, że maszyna państwa obcego była dla niego złowroga podwójnie, jako Państwo — skoro własnego nie znał — i jako Rosja.

Niemojewski, uważając Mickiewicza za umysłowość zupełnie niepolską, jest zwolennikiem teorii dość wówczas pospolitej, przeciwstawiającej Polskę Litwie. Według tej teorii wrodzonym zdol-

nościom (plemiennym?) Polaków odpowiadała racjonalistyczna filozofia Śniadeckich i cały rozwój filozofii w Polsce to potwierdzał (szkoła lwowska, szkoła warszawska, logika matematyczna dostarczyłyby, trzeba przyznać, po temu argumentów). Od Mickiewicza wzięto wszystko prócz mistycyzmu, bo „naród polski, oparty głównie na typie mazurskim i małopolskim nie miał organu do przyjęcia tego daru”. Tak więc, zapewnia nas Niemojewski, „w *Dziadach* Mickiewicz porwał naród patriotyzmem, natomiast naród ten filozofii jego religijnej głębiej nie wziął, gdyż jej nie znał, prócz chyba czysto zewnętrznie z praktyk religijnych”.

Jeszcze jedna, smakowita, cytata: „Litwa jest krajem na wskroś mistycznym, Polska natomiast wcale; dlatego właśnie Mickiewicz był tak znakomitym katolikiem i filozofem katolickim, gdy w Polsce katolicyzm może trzymać się tak długo, dopóki go nie wyruguje liberalistyczna oświata. Gdy to nastąpi, rozegra się ostateczna walka typów mistycznych z niemistycznymi, przyczem typy mistyczne mogą stracić grunt pod nogami, który im daje chrystianizm. Przepowiednie tego rodzaju są naturalnie bardzo niewdzięczne. Albowiem już narodził się u nas neomistycyzm (kogo Niemojewski ma na myśli? Podejrzewam, że Lutosławskiego), a także chrystianizm może się dzięki świetnym umysłom niebywale odrodzić. Ale przy dzisiejszej demokratyzacji pojęcia prostsze biorą górę nad złożonemi. Materializm filozoficzny jest daleko przystępniejszy dla mas łaknących światła niż neomistycyzm. Renanizm był daleko przystępniejszy, niż idący po nim symbolizm, a przeto opanował umysły, nie wyłączając umysłów wielu duchownych”.

Wygląda na to, że teoria trzeźwej Polski i mistycznej Litwy została wynaleziona tylko po to, żeby uporać się z fenomenem Mickiewicza. Ten najwyraźniej był jak na nośność literatury polskiej za duży, wszystkich przysięgł i dlatego ta literatura miała odtąd polegać głównie na buntach przeciwko niemu — poczynając od Słowackiego a kończąc na Gombrowiczu. Skoro jednak Niemojewski powołuje się na zacofanie Litwy nawet w porównaniu z Warszawą, mógłby obyc się bez dodatkowych teorii, bo z jego punktu widzenia „łabędzi śpiew” religijnych tysiącleci rozległ się tam gdzie był powinien tj. w szczególnie zapadłych okolicach Europy, z ich mieszaniną wierzeń pogańskich i chrześcijańskich.

Czy Niemojewski w swoim sądzie o Mickiewiczzu jest ekscentrykiem? Jeżeli może nim się wydawać, to tylko dlatego, że jawnych, wojujących wolnomysłicieli było w Polsce mało. Uprawiano wolnomysłicielstwo prywatnie ale obnosić się z nim publicznie nie chciano, uchodziło to za czyn niepatriotyczny. Gdyby

nie samo-cenzura, takie ujęcie postaci Mickiewicza jak u Niemojewskiego nie byłoby rzadkością. Ma ono tę zaletę, że przywraca jedność tam gdzie dopatrywano się skoków i niezrozumiałych przemian. „Zamillknięcie” uzyskuje nową wymowę, po pierwsze dlatego, że liryki lozańskie oraz *Zdania i Uwagi*, wzięte łącznie, są najwyższym osiągnięciem Mickiewicza jako poety religijnego, aż po wyrzeczenie się wszelkiego ornamentu, tak że język jest sprowadzony do słów elementarnych, aż po uwolnienie się również od troski o jakąkolwiek autorską własność czy oryginalność (zauważmy jak *Zdania i Uwagi* są omijane przez polskich szkolarzy!). Po wtóre, Mickiewicz nie obrał taktyki oporu agresywnego, z rozgrywką na terytorium przeciwnika, jak to usiłowali przeprowadzić Blake i Goethe. Od „mędrców”, którzy już występowali jako szatańscy władcy laboratoriów (*Frankenstein, or the Modern Prometheus* pani Shelley ukazał się w roku 1818) odgradzał się „czuciem i wiarą”, ponieważ jednak przeciwnik rozszerzał swoje posiadłości, poezja europejska coraz częściej szukała ratunku w ironii, aż stało się to dla niej jedynym wyjściem. Mickiewicz natomiast — teza Niemojewskiego jest tu bardzo pomocna — nie pochodził z wieku ironii. Tłumaczył kiedyś Byrona, coś z tego, tłumaczył też przeciw Woltera. Nie był byronistą (zresztą Byron w porównaniu z nim jest tylko gadaniną) i nie miał zrozumienia dla grymasów ludzi cierpiących na *mal du siècle* czyli *mirowoju skorb'*. Pisać wiersze ironiczne, może coś w rodzaju *Kwiatów Zła* Baudelaire'a, po zupełnej nagości *Zdań i Uwag*? Towiańszczyzna zatem, szaleństwo ducha wyganianego przez cywilizację mędrków i kupców, staje się zrozumiała. Nie wniosła ona w jego poglądy prawie nic, czego nie znalazłoby się w *Dziadach*, najwyżej nastąpiło wzmocnienie pewnych akcentów. Również później, po rozejściu się z Towiańskim, Mickiewicz nie zmienił w niczym swoich przekonań z czasu Koła, co nieraz, aż do końca życia, podkreślał w rozmowach.

Parafialny: do jakiego stopnia, uświadamiamy sobie wyliczając nazwiska, które pojawiają się w literaturze w ostatniej dekadzie jego życia. A więc działa Baudelaire i jako poeta i jako krytyk sztuki; ukazuje się *Sobowtór* Dostojewskiego; Flaubert pracuje nad *Madame Bovary*; Kierkegaard ogłasza główne swoje dzieła. Innymi słowy, nowych sposobów i stylów szuka ironicznie „umysł wydziedziczony”. Toteż pisarz nowoczesny, wychowany na rozmaitych odmianach kpiny i sarkazmu, Gombrowicz, odniesie się do Mickiewicza tak jak poprzednio zawodowy wolnomysliciel Niemojewski, ale okaże się o wiele mniej wspólnomyślny. Dla Gombrowicza skazą jaką nosi Mickiewicz jest jego „filozofia zabobonnego dziecka”. Dla Niemojewskiego natomiast jest on „synem tysiącleci”, to znaczy lata można spędzić

dokopując się do ukrytych warstw jego myśli, tak bogate i symbolicznie wieloznaczne są tam złoza i chrześcijańskie i przedchrześcijańskie. Niemojewski ma jakby przecucie badań Junga i jego szkoły. Ubolewa nad brakiem religioznawczego wykształcenia u polonistów i przewiduje, że kompetentne studia nad Mickiewiczem będą przeprowadzone nieprędko.

3. Jeżeli czegoś się nie rozumie, lepiej się do tego przyznać. Niejasny jest dla mnie związek jaki zachodzi pomiędzy Mickiewiczem-myślicielem i jego dziełem, przede wszystkim *Dziadami*. Nie bardzo też wiem co znaczą duchy i widma w jakimkolwiek utworze literackim. Nie oczekuję też, że zniknie „zagadka Mickiewicza”, najwyżej zmieni trochę znaczenie. Tom XVI przedwojennego Wydania Sejmowego *Dzieł Wszystkich*, zawierający rozmowy z Mickiewiczem, zadziwia tym bardziej, im bardziej oddalamy się od nawyków tolerancji wobec poetów jako istot nieodpowiedzialnych, oddanych „fantazjom” i „rojeniom”. Oto jest człowiek silnej wiary, który jest przekonany, że chrześcijaństwo stoi prorocstwem i który uważa, że Jakub Boehme (rozmowa z Al. Chodźką) był „prorok także Boży i taki jasnowidz dla ludów chrześcijaństwa dzisiejszego, jakim był Izajasz dla Hebrzejów”. Drugim był Swedenborg, „ale ten ani tak czysto ani tak głęboko wpuszczon w świat ducha. Ma widzenia czasem wielkie, częściej mniej ważne”. Czyli prorokami dla Mickiewicza są dwaj wysoce nieortodoksyjni luteranie. Także zresztą jeden niezbyt prawowierny katolik: „St. Martin rozumiał dobrze Böhme; żył między sceptykami, Wolterem, Russem, w najtrudniejszym czasie dla wierzących i jest trzecim prorokiem”.

Prorok widzi przyszłość. Czyżby chrześcijańscy prorocy pojawiali się tylko po to, żeby zapowiadać koniec chrześcijaństwa i wszelkiej religii? Wcale nie. Piętnują rozkład, dekadencję, rozprzeżenie i zapowiadają początek nowej ery. Wspólne tym trzem jest poczucie przełomowości czasów wskutek opcji dokonanych przez naukę. Boehme wywodzi się wprost z alchemii renesansowej. W osiemnastym stuleciu opozycja wobec nauki po-kartezjańskiej znajduje wyraz nawet w samej biografii Swedenborga, jednego z jej najświeńszych przedstawicieli, który przeżywa wewnętrzny przełom i zarzuca naukę na rzecz teurgii. Z kolei Claude de Saint Martin zwraca się przeciwko sprzymierzonej z nauką filozofii Oświecenia. Mickiewicz, skoro tak ich honoruje, nie może odnosić się do cierpień „umysłu wydziedziczony” inaczej jak do następstw zboczenia ludzkości z prawidłowej drogi i nie trudno odgadnąć dlaczego lekceważy „nową literaturę”. Problem przed którym staje dotyczy następstwa w dynastii proroków czyli pytania kto jest prorokiem w jego czasach. Można

ten problem przedstawić posługując się językiem nam dzisiaj bliższym, jako wielkie przeciwstawienie w którym jedną ze stron jest *contingentia*, drugą *necessitas*. W danym wypadku słowa te znaczą tyle: albo każdy człowiek żyje bo żyje, ale żadnej konieczności żeby się urodził ani żeby się urodził taki a nie inny, nie było. Albo też każde indywidualne istnienie jest konieczne bo przewidziane było w boskim planie przed wiekami. Gdybyśmy chcieli zawrzeć w paru zdaniach samą najbardziej istotną treść nowoczesnych trwóg i żalów, ten problem, tak jak go ująłem, zupełnie by wystarczył. Bo przecie kto przyjmuje dowolność, przypadkowość swego życia, ten wybiera rozwiązanie ateistyczne tam gdzie ono jest najbardziej dotkliwe, bynajmniej nie abstrakcyjne. Człowiek religijny natomiast ma inne kłopoty: kiedy rozmyśla o powołaniach różnych ludzi, przyznaje niektórym z nich rolę opatrnościową — mędrców, świętych, proroków, gorzej jednak kiedy musi sam wyrokować o swoim powołaniu, bo nie jest pewien czy nie kłamie samemu sobie powodując się pychą i samolubstwem. Ale prorocy mają wewnętrzną, niezwalczoną pewność że otrzymali wyjątkową misję. Dowodzi tego przykład trzech mickiewiczowskich proroków. Boehmego dręczą jego współwyznawcy luteranie jak mogą, nic nie wskazują, z uporem przeprowadza swoje tj. układa księgi mające przekazać potomnym jego naukę. Swedenborg wręcz oświadcza, że zapowiedziany w Ewangelii Św. Jana Parakletos czyli Pocieszyciel przyszedł i jego obrał za swój inastrument, od niego też zaczyna się Nowy Kościół, pierwsza aż tak radykalna zmiana od chwili zastąpienia Ducha na zebranych w Jerozolimie apostołów i wiernych. Claude de Saint Martin, znany swoim współczesnym jako *Le Philosophe Inconnu* też, jak się zdaje, jest tak gorliwy i pracowity dlatego, że nikt inny tylko on został powołany, w danym historycznym, jakże ważnym, momencie, do zbitcia błędów Encyklopedystów. Właśnie wiara we własne, przedwieczne, przeznaczenie i powołanie, staje się kamieniem obrazy dla filozofii egzystencjalnej w naszym stuleciu, przynajmniej w jej ateistycznej odmianie. Człowiek jest wolny dlatego że życiu jego brak jakiegokolwiek „nadania” i dopiero od niego wyłącznie zależy jaki nada mu sens: oto dlaczego Sartre wszystkich, którzy samemu faktowi swoich narodzin przypisują metafizyczne znaczenie nazywał „*les salauds*”.

Wyzwisko to stosowałoby się też do Mickiewicza. Dialektyka pychy i pokory to prowadzi go do uznania siebie za proroka to znów do ukorzenia się przed Mistrzem Andrzejem. Sceptyk skłonny dopatrywać się samo-oszukaństwa u proroków przekonuje się na przykładzie Mickiewicza, że należy być ostrożnym z takimi sądami. „Mąż straszny”, „namiestnik”, „a imię jego

czterdzieści i cztery” nie ocalił wprawdzie ludów Europy, nie udało mu się też przekonać Polaków do swojej religii, natomiast żywcem ich zapekłował w mesjanicznym nacjonalizmie, który ma to do siebie, że pochłania każdego kto mu się opiera, razem z jego zbroją i koniem. Może więc nie zawsze prorocy ogarniają następstwa swojej działalności, ale poczucie własnej siły na ogół nie jest u nich samo-ufadą.

Wzięto więc od Mickiewicza mesjanizm, do jego religii odnosząc się z niedowierzaniem. Czy jest to religia rzymsko-katolicka, nie jest pewne. Ona to w każdym razie stanowi prawdziwą materię poetycką *Dziadów*. Wykład jej najważniejszej bodaj zasady w rozmowie z Sewerynem Goszczyńskim w 1844 roku brzmi trochę parodystycznie w porównaniu z poezją, niemniej oddaje na innym poziomie to, co zapowiadają już *Dziady*:

„— Co wam powiadam, nie gadam tego z głowy, nie daję wam doktryny; widziałem ten świat, byłem w nim kilka razy, dotknąłem się go duszą nagą.

Tamten świat nie jest w niczem różny od tego; wiercie mi, że tam zupełnie jak tutaj. Człowiek umierając, nie zmienia miejsca, zostaje w miejscach do których przyłgnął duchem; oto zagadka duchów zaklętych, pokutujących. Na tamtym świecie żyjesz pośród tych samych duchów, z którymi tutaj żyłeś, musisz kończyć, co na ziemi, w ciele, powinieneś był zrobić, a nie zrobić. A robota bez ciała nadzwyczajnie ciężka; musisz działać na ziemię, pozbawiony wszelkich środków ziemskich. Przez pięćset lat trzeba czasem czekać i jęczeć.

Wielkie szczęście dla świata duchów, jeżeli go poruszy człowiek w ciele. Wtedy dla niego jest to samo, co żeby między nami pies zagadał; jest to cud dla nich. Dlatego to Chrystus wstąpił do piekła ciałem.

Mistrz nogami tylko chodzi po ziemi, a żyje i pracuje w świecie duchów, tam jest ciągle; jego wszelka robota tam się odbywa i rozstrzyga”.

To niezupełnie katolicyzm. Księża musieli mieć z Mickiewiczem niemało zmartwień, bo ani mogli zgodzić się z taką wykładnią ani jej zaprzeczyć. Mogliby jedynie przypominać, że gawędy o tym co się dzieje w zaświatach chrześcijaninowi nie przystoją, w czym byliby wierni tradycji. Niewątpliwie tradycja ta przyjmuje milcząco szereg założeń. Należy do nich przekonanie, że w religii treść nie może być oddzielona od formy tj. że wszystko w niej jest tekstem — tekstem Pisma, tekstem interpretacji teologicznej, tekstem liturgii, co jest nieuniknione, skoro wiedza o rzeczach boskich jaką może zdobyć człowiek jest gruba, niedokładna, na miarę jego natury, a więc ograniczona możliwościami języka. Zdawałoby się, że Mickiewicz nie głosi nic innego

niż drogą katolicyzmowi (i prawosławiu) naukę o Świętych Obcowaniu, o jednym Kościele gromadzącym wszystkich żywych i umarłych, złożonym z Kościoła wojującego (tu na ziemi), z Kościoła cierpiącego (dusz czyśćcowych) i Kościoła triumfującego (zbawionych). Jednakże ta wieczna społeczność, i w czasie i poza czasem, żyje modlitwą, prośbą o wstawiennictwo umarłych za żywych, żywych za umarłych, prośbą poddaną pewnemu rytuałowi. Któżby wyprawiał się w świat duchów żeby tam „pracować”? Nie ośmieliłby się tego pragnąć żaden święty. Z kolei religijność ludowa, z jej zjawami, które proszą o paciorek „za dusze w czyśćcu gorejące”, jeszcze mniej zdradza ochoty żeby oddalać się od obrzędu, zaklęcia, przenośni.

Kiedy dochodzimy do Mickiewicza wiary w metempsychozę, nie pozostaje nam nic innego jak rozłożyć ręce. Bo zaiste trzeba nie być jakiej umysłowej akrobacji żeby powoływać się w tym względzie na Św. Pawła, co Mickiewicz robi w rozmowie z Al. Chodźką w roku 1848: „Pitagoras i Plato przeczuli wiele. Naukę metempsychozy wyjawili listy Św. Pawła. Odzianie ducha ciałem, zwłaszcza ciałem człowieka, jest wielką łaską nieba, jest najłatwiejszą godziną rozwinięcia się ducha, to jest odrodzenia się i powrotu do pierwszej doskonałości. Taka praca w świecie niewidomym dla nas jest nierównie dłuższa i trudniejsza”.

Że Mickiewicz wierzył w wędrówkę dusz i że przeciwstawiał ją wiecznemu potępieniu, którego nie mógł przyjąć, nie może ulegać wątpliwości, bo są po temu świadectwa z różnych lat. Tenże Chodźko odnotowuje w tej samej rozmowie zdania, które odczuwamy dzisiaj jako szaleństwo albo jako nieskromność: „Życie ludzkie jest kartką w środku książki: ażeby ją zrozumieć, trzeba wiedzieć, co było na kartkach poprzednich. — *Przekłuć kolebkę*, — oto na czym wszystko zależy. Dowiedzenie się o swoich przeszłych żywotach”. Nie jest to już okres towiańszczyzny: A i pod sam koniec życia, w roku 1954, Mickiewicz mówi Armandowi Lévy: „Dusza, kiedy wyszła z ciała, zanim wcieli się na nowo, pozostaje bezwątpienia jakiś czas w miejscach, gdzie żyła, gdzie jest jej ciało, i wiąże się z przedmiotami, które są jej drogą. Zawsze pozostawiamy cokolwiek duszy w tem wszystkim, czego się dotykamy”.

Wielbiciel Mickiewicza-poety, niewyraźnie zażenowany nie tylko jego udziałem w sekcje Towiańskiego, także całą jego działalnością publicystyczno-duszpasterską, czytałem zawsze prace polonistyczne o nim z uczuciem niewygody: czegoś w nich brakowało, jakiejś soli. Poglądy jakie głosił Mickiewicz traktowano tam ze czcią należną wzlotom i porywom wieszczą, ale i z powstrzymaniem się od sądu, składając różne jego dziwactwa na karb

„ducha czasu”. Dopiero wgłębianie się w pełną mesjanicznych i szowinistycznych absurdów publicystykę Dostojewskiego oraz w zeszyty jego notatek i brulionów, pozwoliły mi uświadomić sobie, że bierne stanowisko wobec „poglądów poety” nie wystarcza. Bo nie jest tak, że wszystko co przychodzi do nas z przeszłości jest równoznaczne i nadaje się tylko do monograficznego, „obiektywnego” opisu. Dana cywilizacja czy cywilizacja w ogóle trwa w swoich myślowych całościach układających się jakby w kryształ czy struktury, podległe wewnętrznej logice. Kto mówi A, musi, choćby nie chciał, powiedzieć B, i na odwrót, kto powie B, będzie musiał przyjąć. A, czyli kiedy wybieramy, to wybieramy nie tylko to, co nam się na razie zdaje. Żeby użyć przykładu z ważnego dla Europy momentu, Reformacji. Marcin Luter wystąpił przeciwko handlowi odpustami i miał słuszość, bo praktyki były ohydne. Zaraz jednak musiał wyrzucić za burtę ideę wstawiennictwa, przekreślić Czyściec i pozbawić protestantyzm Świętych Obcowania tj. skazać jednostkę na samotność, bez więzi z mnóstwem przeszłych i przyszłych pokoleń. Innych przykładów dostarczają ideologie naszej epoki wymagające żeby, skoro postawi się pierwszy krok, postawić drugi i trzeci. I tak jest zawsze, również w interesującym nas tutaj wypadku, metempsychozy u Mickiewicza. Twierdzę, że jest ona tym neuralgicznym punktem, w którym ujawnia się choroba niedo-cieleśności właściwa romantyzmowi.

Szukanie metempsychozy u Św. Pawła jest karygodną dowolnością. Było przecież wręcz przeciwnie. Wędrówka ludzkiej duszy jako wielka metafora, jako mit platoński, pociągała wyobraźnię ludzi cywilizacji hellenistycznej, ale właśnie chrześcijaństwo położyło tamę próbom przekształcenia poetyckiego mitu w doktrynę, do czego skłonne były niektóre kulty. Obrzydzenie do świata, rozpacz, nuda, zniechęcenie musiały być wtedy nie mniejsze niż w drugiej połowie dwudziestego wieku i o ich natężeniu świadczy obraz cielesnej substancji jako więzienia w którym przebywa dusza (tak zarówno u gnostyków jak u ich przeciwnika Plotyna). Chrześcijaństwo, pewni że człowiek ma jedno życie, w istocie bronił godności świata takiego, jaki jest dany naszym zmysłom a Św. Paweł, który głosił zmartwychwstanie ciał, tym samym na stulecia postawił barierę pomiędzy chrześcijaństwem i religiami tak czy inaczej wywodzącymi się z Indii. Na ogół można powiedzieć, że są tutaj dwa bieguny: im bliżej do nadziei, że człowiek może być zbawiony cały tj. że jego własne ciało może być przywrócone i „przemienione”, tym dalej od wizji duchów-astrali wędrujących od jednej cielesnej formy do drugiej. Kiedy się czyta utwory „reinkarnacjonistów” takie jak *Samuel Zborowski* Słowackiego, nasuwa się podejrzenie, że tworzyć du-

chy-astrale jest za łatwo i że ich eteryczność stanowi karę za wzgardzenie materią — czy będzie ona więzieniem czy też, jak u Słowackiego, gliną urabianą przez Ducha. I ta eteryczność charakteryzuje całe romantyczne myślenie, w którym pełno tworów „z mgły i atramentu”, tak że marzenie wzięte nieraz bywa błędnie za akt wyobraźni i ginie poczucie humoru, jak kiedy Mickiewicz zapewniał Armanda Lévy, że Richelieu na łożu śmierci jadł siano, już odgadując, że w następnym życiu będzie koniem.

Skąd Mickiewicz wziął metempsychozę było przedmiotem wielu szkolarskich dociekań, o tyle chyba jałowych, że same wpływy lektur mało wyjaśniają. Pigoń wylicza niemieckich i francuskich autorów z przełomu osiemnastego i dziewiętnastego stulecia, którzy w metempsychozę wierzyli, zapomina jednak dodać, że ówczesna mieszanina sceptycyzmu, urzeczenia cudownością i zamiłowania do tajemniczych obrzędów („łoże egipskie”) mogła wszystko pomieścić. Nieco zagadkowe jest pojawienie się metempsychozy u Mickiewicza wcześniej, w młodości, w *Dziadach* wileńsko-kowieńskich, gdzie występuje lichwiarz pokutujący jako kołatek i ćmy, które były kiedyś urzędnikami. Zanim jakoś głęboką aurą uczuciową otoczone są te obrazy, żeby wywodzić je z lektur. Coś raczej domowego, relikty starej symboliki pogańskiej przechowanej na Litwie, albo inna, też miejscowa, wieść gminna.

Encyclopedia Iudaica przyjmuje, może zbyt pochopnie, żydowskie pochodzenie matki Mickiewicza za udowodnione. Pośród argumentów (zebrał je Samuel Scheps w książce *Adam Mickiewicz. Ses affinités juives*, 1964) głównie są dwa. Że „z matki obcej” i że sam podał cyfrowy odpowiednik liter hebrajskich składających się na słowo Adam (44) — jeżeli to siebie miał na myśli; oraz świadectwo Ksawerego Branickiego, któremu miał powiedzieć: „Mój ojciec był Mazurem, moja matka zaś nawrócona świeżej daty. Następstwem tego, jestem na poły Lechita, na poły Izraelita, z czego jestem dumny”. Przeciwno przemawia niski status społeczny rodziny ekonoma Majewskiego. Frankiści czyli Żydzi nobilitowani od razu znaleźli się znacznie wyżej niż gmin szlachecki. Ale jakimikolwiek drogami, czy wprost, czy okólnie, wpływy żydowskie dosięgały Mickiewicza (choćby nawet bardzo okólnie, via uczniów inicjatora „łóż mistycznych” we Francji, Martineza Pasqualis, który z pochodzenia był portugalskim Żydem), ciekawe widoki otwierają się kiedy zagłębimy do książki Gershoma G. Scholema, autorytetu w tej dziedzinie, *On the Kabbalah and its symbolism* (przekład z niemieckiego), 1965. Cytuje:

„... Wygnanie ciała w historię zewnętrzną ma swój odpo-

wiednik w wygnaniu duszy i w jej wędrówkach z wcielenia we wcielenie, z jednej formy bytu do innej. Doktryna metempsychozy jako doktryna wygnania duszy zyskała niesłychaną popularność wśród mas żydowskich należących do tych pokoleń, które żyły w po-lurianicznym okresie”. Czyli cierpienia Żydów w diasporze (w „historii zewnętrznej”), zwłaszcza w Hiszpanii, tłumacząc zdaniem Scholema szczególny przerzut — od losu ludzi wygnanych, otoczonych obcymi, do losu dusz wygnanych, otoczonych obcą substancją, przerzut charakterystyczny dla folkloru kabalistycznego po szesnastym wieku, kiedy działał wielki kabalista Izaak Luria.

Metempsychoza u Mickiewicza, Towiańskiego i Słowackiego byłaby więc może, niezależnie od prawdopodobnych zapożyczeń od ludowej religii żydowskiej, odpowiedzią na sytuację wyobcowania tudzież wygnania, i to w sensie nie tylko politycznym, także umysłowym i artystycznym. Mickiewicz jako młody człowiek zwrócił się przeciwko „szkiełku i oku” Śniadeckich, ale w ciągu jego życia mędrkowicie, którzy „na księgach swoich ostrzyli rozumy” czyli uczeni i filozofowie, mieli coraz więcej władzy, a kiedy umierał, zachodnia Europa podróżowała koleją żelazną, zakładała fabryki i czytała realistyczne romanse. Jej serce biło w wielkim nowoczesnym mieście, w *cité infernale* jak Baudelaire nazwał Paryż i w Babilonie, jak Dostojewski po podróży 1862 roku nazwał Londyn. Toteż rozbudowywanie nauki o metempsychozie, od jej nieśmiałych początków w *Dziadach* wileńsko-kowieńskich, do jej kodyfikacji w Kole Towiańskiego, zdaje się ilustrować etapy w rozchodzeniu się Mickiewicza (i polskiego romantyzmu w ogóle) z „duchem wieku”.

Pomiędzy pokutującą duszyczką a nocnym ptakiem, cimą, owadem, różnica w starej, przed-chrześcijańskiej symbolice jest zatarta, jedno oznaczać może drugie i na odwrót, tak samo zatarta jest u młodego Mickiewicza — ku chwale jego poezji. Później dusze ścinają się, by tak rzec, niby galareta i zaczynają wieść żywot autonomiczny. Podobnie dzieje się z ojczyzną. Najpierw jest widzialna, dotykalna Litwa, krajobrazy rodzinnej ziemi, bliscy, przyjaciele, jedność ciała i ducha. Następnie dusza opuszcza ciało i staje się Ideą-osobą, aż wreszcie spotykamy ją w ponadziemskim wymiarze. Bo, jeżeli wolno przypomnieć, Mickiewicz, Towiański, a za nimi Słowacki doszli wreszcie do wniosku, że obleczona w słońce niewiasta w *Objawieniu* Św. Jana oznacza Polskę.

Dzisiaj niby się wie, ale nie chce się pamiętać, że Rzeczpospolita w siedemnastym i osiemnastym wieku była największym skupiskiem Żydów na świecie i że szerzyły się wśród nich najbardziej niesamowite ruchy religijne. W drugiej połowie siedem-

nastego stulecia na wieść o pojawieniu się Mesjasza w Azji Mniejszej tysiące Żydów sprzedaje swoje majątki i dąży na południe. Mesjasz, Sabatai Zwi, rodem ze Smyrny, był właśnie początkowo jednym z adeptów lurianicznej kabalistyki. Wspólnej granicy z Turcją i ciągłych kontaktów chyba się nie docenia: bo następny Mesjasz, w osiemnastym stuleciu, Jakob Frank, w pewnym sensie następca tamtego, wychował się w Salonikach ale miał w widzeniu nakazane udać się do Polski jako Ziemi Obiecanej. Zbiorowy chrzest i nobilitacja frankistów w Polsce po wyklęciu ich przez synagogę, przypada na rok 1759, śmierć Franka na rok 1791, a więc niedługo przed rokiem urodzenia Mickiewicza. Frankiści przez parę pokoleń żenili się tylko między sobą i wyznawali w ukryciu swoją doktrynę Wielkiego Przełomu. Jak wiadomo żona Mickiewicza była frankistką. Na ziemiach też Rzeczypospolitej rodzi się inny, poważniejszy ruch, chasydyzmu, zapoczątkowany przez Baal-Szem-Towa spod Czarnohory. Gdzież więc indziej, na jakim skrawku Europy, mógł powstać jeszcze jeden mesjanizm cierpiącego i wybranego narodu? Polska (ale jaki był zasięg tego pojęcia?) miała być nowym Izraelem. Mickiewicz nie troszczył się o sprzeczności. Podobnie jak metempsychoza jest nie do pogodzenia z chrześcijaństwem, idea narodu wybranego i Nowy Testament nie mogą iść w parze, skoro treścią Dobrej Nowiny jest zastąpienie przymierza pomiędzy Bogiem i Izraelem przez przymierze inne, pomiędzy Bogiem i Ecclesia. Chryścijanie nieraz się wzajemnie wyrzynali w imię swoich wyobrażeń o tym czym ma być Kościół czyli Nowy Izrael, ale na naród wybrany nie było w chrześcijaństwie miejsca. Jeżeli, jak to zrobił Mickiewicz, podaje się naród za zbiorowego Chrystusa, jest to nie tylko sprzeczność ale bluźnierstwo, niewiele lepsze niż to, jakie był gotów popełnić Konrad nazywając Boga carem.

Przeraźliwe, podniosłe ale i owiane zapachem siarki są następujące słowa Mickiewicza zanotowane przez Al. Chodźkę w 1847 roku:

„Przez trzy pierwsze wieki męczono chrześcijan za to, że jedli *ciasto i pili krew człowieka*. Była to tajemnica ciała i krwi chrystusowej w hostii, tajemnica, której wielu z męczenników zaprzeczyć się nie chciało. Paganie brali ją dosłownie, nie rozumiejąc mistycznego znaczenia, i sądili, że dobrze robią, zabijając ludożerców.

Dzisiaj podobnie się dzieje. Rosja nikogo się nie lęka, oprócz idei polskiej. Żaden ze służących Rosji Polaków, nawet najbardziej spodlonych, poddających się ciałem i służących wiernie, nawet męczących współziomków, sercem i duszą z Moskałem się nie łączy. Ale Polacy dzisiejsi jej (idei polskiej) nie stawia i są

względem Rosjan tym tylko, czym byli przedchrystusowi Żydzi względem Rzymian”.

Zdaje się, że „idea polska” znakomicie przylega do „idei rosyjskiej”, tyle że stanowi jej dokładną odwrotność. Bowiem „idea rosyjska”, taka przynajmniej jaką w swojej publicystyce wykląda Dostojewski, znaczy mniej więcej tyle: nadejdzie czas, kiedy bezbożnej, komunistycznej Europie, na czele której stanie „bosy papież”, przeciwstawi się naród-bogonosiciel, Rosja, i przyniesie jej swojego Chrystusa na ostrzach bagnatów.

4. Tyżes to wśród szarpiących Mickiewicza, poeto polski, który nieraz mówiłeś, że każdą swoją linijkę jemu zawdzięczasz i że żaden z nowoczesnych poetów, czy polskich, czy francuskich, czy angielskich czy rosyjskich nie dorównuje mu prostotą i potęgą słowa? Otóż muszę zapobiec nieporozumieniu. Dzieło nie jest szatą w jakiej występuje tzw. filozofia autora, nie jest nawet kokonem formy, wysnuwanym po to, żeby zamieszkała w nim treść. Dzieło Mickiewicza i jego filozofia przebywają w dwóch różnych wymiarach i krytyka jego poglądów nie potrafi zaszkodzić dziełu. Tak samo nie pomniejsza Dostojewskiego kto negatywnie ocenia jego szczególnie narodowy skład zasad, jakiemu dawał wyraz w publicystyce, jako że Dostojewski-powieściopisarz jest kim innym.

Kim innym? Niezupełnie. Pomiędzy dziełem i przekonaniem autora zachodzi związek, zagadkowy, wysoce złożony, i dlatego należy tymi przekonaniem się zajmować, w nadziei, że to nam pomoże lepiej ogarnąć dzieło. Narzuca się tutaj przenośnia zaczerpnięta ze zjawisk przyrody. Patrząc na śnieżny górski krajobraz, na narciarzy, dzieci lepiące bałwana, błyszczące w słońcu sopłe lodu pod okapami, można powiedzieć, że przecie te widoki zimy to nic innego jak woda w pewnym jej stanie, że ostatecznie to tylko kwestia temperatury. Co byłoby i poprawne i błędne. Przenośnia zresztą o tyle chybia, że światopogląd (niezręczne słowo) niekoniecznie przybiera nowy kształt w dziele, bywa, że inne warstwy świadomości dochodzą do głosu, tak że zostają przesunięte znaki i autor pisze przeciwko temu co „na co dzień” uważa za swoje zasady. Tak czy owak, światopoglądu nie da się pominąć, choć w zastosowaniu do Mickiewicza umianno wymykać się stosując słowo „mistyka”, mające w języku polskim odcięci ujemny, skoro znaczy tyle co „niezyciowość”. Taki jego użytek dowodzi albo nadmiernej trzeźwości albo po prostu lenistwa, bo zakłada, że w dziedzinie „mistyki” namęczy się tylko człowiek starając się coś pojąć i nic nie pojmie, więc lepiej z góry tego zaniechać.

Nazwisko Dostojewskiego często powraca pod moim piórem

dlatego, że życie krótkie i coraz mniej mnie pociąga literatura za nadto literacka. O nieliterackości literatury przesądza ciężar gatunkowy filozofii danego pisarza czyli żarliwość z jaką odnosi się on do rzeczy ostatecznych, co powoduje ogromne napięcia pomiędzy myślą i dziełem. Kilka nazwisk, jak na mój użytek, wystarczy za całe dzieje europejskiego piśmiennictwa od chwili kiedy umysł znalazł się w krainie wydziejczczenia, w Ulro Blake'a, w krainie gdzie człowiek zmienia się w cyfrę wymienną i co gorsza, dla siebie samego, w swojej świadomości, przestaje być czymś więcej niż cyfrą wymienną. Blake i, częściowo przynajmniej, Goethe dzielnie prowadzili boje, wybierając taktykę ataku, nie obrony. Mickiewicza chroniła, do czasu, jego prowincja, Litwa-Muza. Wbrew pozorom, a także wbrew świadomym zamiarom autora, *Pan Tadeusz* jest poematem na wskroś metafizycznym to znaczy jego przedmiotem jest rzadko dostrzegany w codziennie nas otaczającej rzeczywistości *ład istnienia* jako obraz (czy odbicie w lustrze) czystego Bytu. Tutaj jest sekret „ostatniego eposu w europejskiej literaturze”, bo nie same patriarchalne stosunki społeczne jego powstanie umożliwiły. *Pana Tadeusza* mógł napisać tylko poeta który — kiedy, w 1849 roku! — powiedział do Seweryna Goszczyńskiego: „Kalendarz i brewiarz są to najważniejsze książki dla człowieka”, a więc poeta w którym głęboko tkwiły przyzwyczajenia rytualizujące czas: rok rolniczy, rok liturgiczny. I ostatecznie tylko czas uporządkowany, nie mechanicznie według zegarka ale sakralnie, pozwala nam naprawdę wierzyć w istnienie rzeczy. Wschody i zachody słońca, zwykłe czynności jak przyrządzanie kawy czy zbieranie grzybów są więc i tym, za co bierze je czytelnik i powierzchnią pod którą ukrywa się wielka akceptacja, która ożywia i podtrzymuje opis. Takie też są obrazy niektórych holenderskich malarzy, bo przecież nie o wierność wobec szczegółu ani o samą harmonię kolorów w nich chodzi. „Symbolizm” jako pewna szkoła w poezji przyczynił się do sfałszowania pojęcia symbolu, gdyby nie to, rzeklibyśmy, że ogórki i arbuzy soplicowskiego sadu spełniają wszelkie warunki aby otrzymać godność symbolów czyli rzeczy które zarówno są sobą w całej pełni jak znaczą coś innego. Mickiewicz, który po skończeniu *Pana Tadeusza* obiecywał sobie że „już pióra na fraszki nie użyje” i który uważał ten poemat za „zboczenie”, pewnie by się z tym nie zgodził, my jednak w obronie naszej interpretacji mamy dwie przynajmniej okoliczności. Po pierwsze, *Pan Tadeusz* powstał w tym samym ciągu poezji metafizycznej i religijnej co liryki rzymskie i *Dziady* część III-cia, tuż po tych ostatnich, „zagadka Mickiewicza” byłaby więc zaiste nie do rozwikłania gdyby postąpił jak ktoś, kto zamyka jeden kran a otwiera inny, podczas gdy zwykły u artystów

obyczaj polega na posłuszeństwie wobec tej samej weny, przy użyciu zmiennych środków i form. Po drugie, dreptania profesorów polonistyki wokół tego poematu były dość patetyczne w swojej nieporadności i ani rusz nie udawało się im wyjaśnić „dlaczego powinniśmy kochać *Pana Tadeusza*”, bo i rzeczywiście, skoro zatrzymać się na powierzchni, na to żeby go kochać nie zasługuje i jest opowieścią jak z Waltera Scotta, z dość głupawą akcją — a ponieważ ukryty jego sens ginie w przekładzie, cudzoziemcy mogą mieć słuszną pretensję, że zachwala się dzieło, które wielkie nie jest. Nie tylko cudzoziemcy zresztą. Opór polskich czytelników wobec przyziemności tego utworu prowadził do szukania „głębi” u Słowackiego, Krasińskiego, czy, jak ostatnio, u Norwida, choć nie są to poeci którzy mogliby być obok Mickiewicza postawieni.

Dostojewski należy już do innego okresu i jego główni bohaterowie, inteligenci-rezonerzy, cierpią na brak tej uładowanej ziemiogrodu, która w *Panu Tadeuszu* występuje w całej swojej krasie. Podobnie zresztą jak ich poprzednicy, Oniegin Puszkina i Pieczorin Lermontowa, są oni mieszkańcami Infernalnego Miasta, krainy wydziejczczenia i każdy z nich zmienia się stopniowo w *Spectre*, upiora wyabstrahowanego intelektu. Człowiek z Podziemia, Raskolnikow, Ipolit Terentjew, Stawrogin, Kiryłow, Iwan Karamazow są zarazem krwią z krwi, kością z kości ich twórcy, i rozdwojony w sobie, niszczone od środka przez „światopogląd naukowy”, Dostojewski walczy rozpaczliwie, dlatego też pisze nieliteracką literaturę i, niestety, literaturę już na miarę naszych błagań się w dwudziestym wieku.

U podstawy *Dziadów* jest obcowanie żywych i umarłych czyli wstawiennictwo. Umarli proszą o pomoc żywych (obrzęd *Dziadów*), żywi ratują żywych modlitwą (Ewa, Ksiądz Piotr), umarli chronią żywych („ziemskie matki twej zasługi”). Układ jest trójkowy: Niebo, Kościół triumfujący, Dobro; Piekło, potępiency, Zło; pośrodku, w ścisłych ze sobą przymierzu, Czyściec, Kościół cierpiący, oraz Ziemia, Kościół walczący, Dobro i Zło. Bój pomiędzy Złem i Dobrem jest nierówny i choć niekiedy z pomocą dobrych duchów człowiek ratuje się od zguby, Zło jest silne, Dobro słabe, choć ostatecznie zatriumfuje.

Przyczyny piorunującego niemal efektu, jaki sprowadza lektura *Dziadów* albo oglądanie ich na scenie mogą być wysledzone tylko drogą introspekcji. Zasadniczym tematem jest tutaj człowiek wobec nieszczęścia i dlatego należy starać się określić jak zachowujemy się wobec niego sami. Każdy chyba człowiek przyjmuje nieszczęście w ośłupieniu, jako coś, co absolutnie nie mogło się zdarzyć, a jednak się zdarzyło. Wydaje się ono pogwałceniem

niepisanej umowy z istnieniem. Ufaliśmy tej umowie, zgodnie z którą, mimo że ludzie na ogół cierpią, my mieliśmy być oszczędzeni. Skoro umowa została pogwałcona, niech będzie przynajmniej wyższa instancja zdolna osiągnąć karą kogoś (kogo?) kto umowę pogwałcił, i brak takiej instancji odczuwamy jako potworność. Krzyczymy — jak długo, to już zależy od naszego charakteru, temperamentu. Większość ludzi doświadcza tego przynajmniej raz w życiu na planie osobistym, przez utratę kochanej osoby, nieuleczalne dolegliwości albo przegraną w wykonywanym zawodzie. Jeżeli natomiast, co w naszym stuleciu nierzadkie, widziało się obce czołgi wjeżdżające w ulice rodzinnego miasta, zna się także inny rodzaj, publicznego, nieszczęścia. I ostatecznie wszystkie odmiany publicznego nieszczęścia sprowadzają się do nieszczęścia inwazji, dokonanej przez zorganizowaną siłę. Wyższą instancją do jakiej chcielibyśmy się odwołać jest wtedy „świat”, inne kraje, inne narody. Żeby doświadczenie było pełne, tamci inni wezmą, jawnie albo po cichu, stronę zwycięzcy, bo kto przegrywa, składa w ten sposób dowód słabości czyli nie zasługuje na względy.

Gustaw-Konrad zaznał podwójnego nieszczęścia, osobistego i publicznego, skutek inwazji z zewnątrz. W starożytności podboje uchodziły za zwyczajne następstwo wojskowej przewagi, a mimo to dotychczas, u nawet teraz, u schyłku okrutnego stulecia, nieswojo nam kiedy czytamy o rzeziach urządzanych przez Rzymian gdziekolwiek natrafili na opór, czy to w Galii czy w Palestynie. Osiemnastowieczna Europa od podbojów zdążyła już odwyknąć i rozbiory Polski, rzeź Pragi, handel krajami na Kongresie 1815 roku stanowiły nowość prekursorską, zapowiedź o wiele późniejszych wydarzeń.

Obejmując wszystko co w *Dziadach* dotyczy polityki nazwą patriotyzmu uniemożliwiano sobie analizę niektórych ważnych składników dramatu. W istocie rozpacz z powodu obcej inwazji częściowo tylko karmi się przeciwieństwem: swoje — obce. Kto dzieckiem, czytając o szlachetnych Czerwonoskórych wyzutych z ojczyzny miał łzy w oczach, ten wie, że chodzi tutaj o naruszoną sprawiedliwość, która wymaga, żeby sprawcy zbrodni zostali ukarani i że kiedy nie tylko są bezkarni ale zdają się działać w zgodzie z prawami tej ziemi, odczuwamy to jako moralną zniewagę. Z trudnych do ustalenia przyczyn w kulturze polskiej bardziej niż w jakiegokolwiek innej zaznacza się optymistyczna wiara w porządek przedustawny, z boskiego nadania, który może być naruszony ale nie na długo. Zacytuję Brzozowskiego: „Czy nie odnajdujemy w całych dziejach Polski jak gdyby przeświadczenia, że pozornie tylko świat może być smutkiem, a w gruncie rzeczy jest

radością, że pozornie tylko może być upadkiem, a w gruncie rzeczy jest zwycięstwem?”. „Poprzez lekkomyślność tego narodu przezierać zdaje się głębia świetlana”. Ale właśnie dlatego, że prawa Księcia Ciemności są zaprzeczone, tak ostro przeżywa się obcą inwazję, jako, dosłownie, piorun z jasnego nieba, i jako nieszczęście moralnej natury.

Mickiewicz, w niejednym staroświecki, bywa też bardzo nowoczesny. Rozprawa Konrada z Bogiem włącza się w pewien cykl zacząty przez filozofów francuskich, którzy sporządzali akt oskarżenia powołując się na odpowiedzialność Stwórcy za ogrom cierpień znoszonych przez śmiertelnych. Na ogół odnosiło się to do cierpień jednostek, niekiedy do klęsk żywiołowych spadających na wielką liczbę jednostek. Wypadkiem, który utrwalił się w debacie filozoficznej było wielkie trzęsienie ziemi w Lizbonie roku 1755, kiedy śmierć poniosły dziesiątki tysięcy ludzi. Konrad wytacza argument obcych inwazji i uwięzionych całych narodów. Rzucenie w twarz Bogu, że jest nie ojcem ale carem wygląda na odruch niegrzecznego dziecka albo, najwyżej, obrazę majestatu. W istocie gra toczy się o znacznie większą stawkę i żeby o tym się przekonać, należy pamiętać o bohaterach Dostojewskiego, których dręczy ten sam problem.

Niesympatyczny ale genialny młodzieniec, Iwan Karamazow, nie jest tam żadnym ateistą, to dla niego za prymitywne. On po prostu Boga unieważnia na zasadzie moralnej, ponieważ porządek Stworzenia jest moralnie niezadawalający:

„U sedna problemu Iwana Karamazowa tkwi jakaś kłamliwa rosyjska uczuciowość i sentymentalność (*kakaja-to łożnaja ruskaja czustwitielnost i santimentalnost*'), kłamliwe litowanie się nad człowiekiem, doprowadzone do nienawiści wobec Boga i boskiego sensu życia na świecie. Rosjanie często stają się nihilistami-buntownikami z kłamliwego moralizmu. Rosjanin wytacza Bogu sprawę o jedną łzę dziecka, zwraca bilet, odrzuca wszelkie wartości i świętości, nie może znieść cierpień, nie chce ofiar. Ale nie robi nic, żeby łez było mniej, zwiększa ilość przelanych łez, robi rewolucję, która cała jest oparta na niezliczonych łzach i cierpieniach” (Bierdiajew).

Niedarmo też Iwan Karamazow jest także autorem Legendy o Wielkim Inkwizytorze. Z chwilą kiedy Bóg został „unieważniony”, przeciwstawność dobra i zła, prawdy i kłamstwa straciła wszelki fundament i wszechwładna okazała się Natura poddana swoim własnym prawom. Jezus odrzucił trzy pokusy przełamania tych praw, stąd też Wielki Inkwizytor, który chce uszczęśliwić ludzkość („poprawiając” Jezusa) decyduje się działać rozumnie tj. w zgodzie z prawami i Natury i natury ludzkiej. Te jednak są w zarządzie potężnego Ducha Niebytu. I oto Wielki Inkwizytor

(czyli sam kochający dzieci Iwan Karamazow) musi traktować tych którymi rządzi i jak dzieci i jak niewolników.

Gdyby Konrad nazwał Boga carem, musiałby uznać, że wszechświat toczy się swoim własnym torem, bez żadnej boskiej opieki, czyli powtórzyłby rozumowanie, jakie później stało się udziałem Iwana Karamazowa. Stawką jest więc albo wszechświat jako absurd albo wszechświat jako ład. Konrad, wierny polskiej tradycji, szczególnie wobec pesymistycznego rozwiązania odpornej, wybierze to drugie, co możliwe jest tylko dzięki wstawiennictwu czyli modlitwie innych. Niemal logicznym następstwem takiego wyboru staje się następny poemat Mickiewicza, *Pan Tadeusz*, jako swoista teodycea czyli usprawiedliwienie Stwórcy — bo jest Stwórcą Ziemi-ogrodu.

Zbliżanie się do Mickiewicza okólnie, poprzez Dostojewskiego, pozwala zapomnieć o różnych szkolarskich banałach. Ktoś z Rosjan zauważył, że uczucie wszechpotęgi w Wielkiej Improvizacji przypomina stany przed epileptyczne znane niektórym bohaterom rosyjskiego powieściopisarza: czas wtedy zatrzymuje się i epileptyk Mohamet w jednej z takich chwil zawędruje aż pod sam tron Allaha zanim zdąży wylać się woda z przewróconego dzbanka. Można założyć niewspółmierność pomiędzy szczytowymi sekundami jakie przeżywa Konrad i jego monologiem, który rozciąga się na wiele minut. Ciekawe, że Konrad w swoim uniesieniu uważa się za człowieka-boga, podobnie jak przed-epileptyk Kiryłow w *Biesach*.

Dziady byłyby wielkim dramatem chrześcijańskim gdyby nie wkradająca się herezja, ta sama, która nadaje szpetne rysy publicystyce Dostojewskiego, ale nie tylko, bo kładzie się także skazą na niektóre rozdziały jego powieści. Polega ona na zatarciu granic pomiędzy religią i „ideą narodowości”. Szatow w *Biesach* oświadcza: „Wierzę w Rosję, wierzę w jej prawosławie... Wierzę w ciało Chrystusowe... Wierzę, że nowe przyjście nastąpi w Rosji...” ale zapytany czy wierzy w Boga, odpowiada: „Ja... ja będę wierzyć w Boga”. Tylko „będę”. Niemniej Szatow zostaje przez Dostojewskiego zbawiony, na zasadzie nieco naciąganego sylogizmu: kto kocha naród rosyjski posiada cnotę *caritas* czyli tym samym jest już zdolny kochać bliźniego i przebaczać mu winy, tak jak Szatow przebacza żonie. Zbliżone rozumowanie tu i ówdzie przegląda w tekście *Dziadów* i kulminuje w widzeniu księdza Piotra. Od nieszczęścia inwazji może łatwo pomieszać się w głowie ale szanując czyjś gniew sprawiedliwy nie nabywamy jeszcze prawa do powstrzymania się od krytycznej oceny. Ciało zbiorowe rozpięte na krzyżu i odkupiające grzechy ludzkości? A któż to jest „wskrzesiciel narodu”, „namiestnik”, „nad ludy i nad króle podniesiony” dlatego że swój naród kocha?

Dajmy na to, że zamiar Słowackiego w Prologu do *Kordiana* był satyryczny. Ale odczytał on Widzenie Księdza Piotra tak chyba tylko jak to się narzuca każdemu, tj. jako trawestację *Objawienia* Św. Jana, w której sam Mickiewicz występuje jako, ni mniej ni więcej, Syn Człowieczy, alfa i omega, czyli Logos („szata w długość szczodra // Spływa do stóp, pas złoty przewiązał mi biodra, // Głowę kryje włos biały, jak śniegi, jak wełna; // Z oczu skra leci ogniów diamentu pełna”). Innymi słowy, dramat chrześcijański, zwycięstwa, zmienia się w dramat klęski: diabeł zostaje egzorcyzmami Księdza Piotra wygnany z Konrada ale spryt jego niemały, bo wstępuje w egzorcystę i dyktuje mu Widzenie — czego, niestety, nie jest świadomy sam poeta. Konrad chciał być człowiekiem-bogiem ale cofnął się w porę, wspomagany modlitwami bliźnich. Któż jednak uratuje samozwańczego człowieka-boga jakiego Ksiądz Piotr przepowiada w swoim Widzeniu?

Dziady są niebywałym przedsięwzięciem jako wizja przestrzeni teatralnej. Jest to potężny akt wyobraźni, który jednak nie byłby możliwy gdyby nie stale obecny w dramacie świat nadprzyrodzony. Otóż stajemy tutaj wobec zupełnie lekceważonych i ledwo przeczuwanych trudności. Duchy, diabły i anioły mają w *Dziadach* określone kształty i nic nie upoważnia do zastępowania postaci zaświatowych głosami przez megafon, co zapoczątkował swoją inscenizacją Leon Schiller. „Cudowność” na której tak Mickiewiczowi zależało, jest bardzo dotykalna i ona to otwiera przestrzeń. Nie tylko zostaje obalona scena pudełkowa i tłoczą się ruchome obrazy z różnych miejsc — cmentarz, kaplica, cela więzienna, salon w Wilnie, salon w Warszawie itd., nie tylko oprócz ruchu poziomego po powierzchni ziemi mamy ruch pionowy (duchy na obrzędzie zstępujące skądś z góry, unoszące się „pod cerkwi wierzchołkiem”) ale goście z zaświatów poszerzają przestrzeń o tę „niby-przestrzeń” innego gatunku z której przybywają.

Jaki jest status duchów? To oto zaczynają się trudności. Czy istnieją? Uczciwie wniknąwszy w siebie, czytelnik albo widz odpowie, że tak, dla nas w *Dziadach* istnieją, w równym stopniu jak Gustaw-Konrad, Nowosilcow, Doktor etc. Ależ jak można równouprawniać ludzi i twory wyobraźni? Ba, któż to jest Gustaw-Konrad, czy nie jest tworem wyobraźni? I czy istniał kiedykolwiek poza stronicami *Trylogii* Longinus Podbięta — choć przecie wierni czytelnicy na mszę za jego duszę dawali? Albo Wokulski poza *Lalką*, choć w domu gdzie „mieszkał” wbudowano pamiątkową tablicę? Czy też może ktoś zechce lekko zbyć istnienie Don Kichota albo Hamleta, też tworców wyobraźni „i nic więcej”?

Gdzie indziej już pisałem jak niepokojące jest pod tym względem *Piektó* Dantego, poemat pisany w wieku wiary, a więc zdawałoby się wolny od traktowania figur zaświatowych jako twórców „na niby”. U Dantego roi się od postaci wziętych z mitologii i literatury starożytnych, toteż czytelnik, który chciałby bezpiecznie obcować z „mentalnością średniowieczną” nagle spostrzega, że Dante płata mu figla, bo obok istot w których realność średniowieczny poeta powinien wierzyć, umieszcza najoczywistsze, z chrześcijańskiego punktu widzenia, fikcje. *Piektó* nasuwa tedy podejrzenie, że nic właściwie nie wiemy co znaczy „wierzyć” i „nie wierzyć” w istnienie czegoś czy kogoś, jak też że umysł człowieka wymyka się uproszczonemu podziałowi na „wyobrażone” i „rzeczywiste”, na „dosłowne” i „przenośne”. Czy gdyby było inaczej średniowiecze pozwalałoby sobie na *les diableries*, te bezeceństwa wyprawiane w Mięsopest przez tłumy diabłów z przylepionymi rogami i długimi ogonami? A Mickiewicz, nie zapominał, jest autorem *Darczanki*, w której pewnemu mnichowi, dokładnie w chwili kiedy jest zajęty gwałceniem Joanny D’Arc, ścina rycerz głowę, wskutek czego mnich od razu trafia do Piektła, gdzie spotyka założyciela swego zakonu, Św. Dominika, tudzież mnóstwo innych świętych i papieży. Mickiewicz jest również autorem ballad: cóż np. z groteskowym posłem Mefistofela w *Tukaju* czy z cyrografem w *Pani Twardowskiej*? I dlaczego w *Dziadach*, jeżeli mamy odnosić się do zaświatów poważnie, diabły kwiczą, kopią się, a w scenie egzorcyzmu mówią różnymi językami, głównie po francusku? Komiczny diabeł z folkloru służy też w *Dziadach* do odsłonięcia centralnej prawdy optymizmu. Niby mądry i potężny, zły duch jest naprawdę głupi, bo im bardziej niszczy, rujnuje, depcze, tym bardziej działa na szkodę swojej sprawy: „Zrobił rogiem rów w ziemi i nasypał żytem // Naplwał i ziemią nakrył, i przybił kopytem”.

Dobrze, powie zrozpaczony czytelnik, niech będzie, że duchy mają w *Dziadach* równe prawa z innymi bohaterami. Ale kiedy na scenie poruszają się ludzie, my wiemy, że reprezentują oni ludzi rzeczywiście chodzących po ziemi, więc czy wreszcie te duchy istnieją poza obrębem dramatu czy nie? Pytanie niebezpieczne. W czasach młodości Mickiewicza powieść gotycka, poezja i dramat lubowały się w upiorach, wilkołakach, zjawach, duchach pozaziemskich i ziemskich (rusałki, ondyny). Na ogół istnienie tych stworów było dość umowne, nieco pokrewne konsystencji wolteriańskiego Piektła w *Darczance*. Takie sprzężenie jak w *Dziadach* jest wyjątkowe: duchy rozszerzają teatralną przestrzeń i uczestniczą w Świętych Obcowaniu, które z kolei pokonuje zarówno przestrzeń jak czas tzn. staje się obcowaniem

pokoleń w historii. Literatura światowa nie zna równie wybuchowego związku, bo dwa składniki, „nadprzyrodzoność” i historyczność wzmacniają się w nim wzajemnie. One też zdaniem Mickiewicza (Lekcja XVI w College de France) miały stanowić specyficzną cechę przyszłego dramatu słowiańskiego. Ponieważ polski przynajmniej dramat, romantyczny i neo-romantyczny, poszedł torem wytyczonym przez *Dziady*, odpowiedzi na pytanie o byt duchów trzeba szukać porównawczo, w przygodach polskiej sceny w ogóle. Dalekim już ogniem jest Wyspiański. Otóż tam zachowana jest i przestrzeń otwarta i obcowanie pokoleń w historii, całkowicie natomiast jest już nieobecny wymiar metafizyczny ukształtowany według wyobrażeń chrześcijańskich. Bóstwo u Wyspiańskiego jest wyłącznie nacjonalistyczne i jest nim Polska. Inni bogowie i zjawy natomiast są alegoriami zaczerpniętymi z lekcji greki w krakowskim gimnazjum albo „tym co się w duszy gra”, czy więc nada im się, w *Weselu* np., wygląd halucynacji czy gości weselnych, jest właściwie obojętne. Wiadomą jest rzeczą, że Pallas Athene czy Ares czy Apollo, jeżeli posługuje się nimi autor nowoczesny, służą za figury literackiej mowy, podczas kiedy przybysze z Nieba, Czyścica czy Piektła są nadal mocni wiekami chrześcijaństwa, przy czym ich obecność w miejskim nawet folklorze i humoryście jest raczej miarą żywotności. A skąd przybywają Stańczyk albo Szela? Jasne że tylko z ksiązek o narodowej historii. Porównawczo tedy i doświadczalnie przekonujemy się, że *Dziady* i dramaty Wyspiańskiego nie z tego samego są materiału. „A gawieź wierzy głęboko”. Wierzył i Mickiewicz, dlatego *Dziady* są tak olbrzymim moralitetem.

5. Kiedy Mickiewicz pisał *Romantyczność*, niezwykle drobna część ludzkości coś słyszała o „szkiełku i oku”. Zachodnio-europejskie pomysły nie tylko nic jeszcze nie zmieniły w wioskach Litwy i Białorusi, nietknięte nimi były całe cywilizacje Azji, Afryki i, w znacznym stopniu, Ameryki. Od 1821 roku do dziś cywilizacja „szkiełka” zdążyła poddać technice całą Ziemię — a także samą siebie. W okresie Renesansu krążył po różnych literaturach wiersz o ruinach Rzymu, przekładany z łaciny, także na polski (przez Sępa Szarzyńskiego): „To miasto świat zwalczywszy i siebie zwalczyło, // Bo nic nie zwalzonego od niego nie było”. Co jest o tyle aktualne, że i nowy Rzym tj. państwo ogólno-światowe i jego wewnętrzna stagnacja nie leżą poza sferą prawdopodobieństwa. Biblioteki napisano o coraz ciemniejących naszych perspektywach i aż śmiesznie, bo raptem wszystko układa się w stary, od tysiącleci znany wzór: autorytet rodzicielski zakazuje i ostrzega, krnąbrne dziecko nie posłucha i sobie zaszkodzi.

dzi. Mnóstwo przysłów i maksym w różnych językach: „Nie słuchałeś ojca i matki, będziesz słuchał psiej skóry”; „Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz”; czy z Ewangelii: „Po ich owocach poznacie je”. Nie można narzekać na brak ostrzeżeń i dość dokładnych przewidywań ku czemu będą zmierzać opcje osiemnastowiecznej nauki i filozofii. Niestety ostrzeżenia przybierały zwykle postać konserwatywnych zżymań się na tzw. prawa postępu, łatwo więc było je wyszydzić. W czasach Mickiewicza spór pomiędzy dwoma orientacjami został uznany przez Hoene-Wronskiego (który *nota-bene* nie znosił „wierszoklety” i jego „bandy mistycznej”) za starcie pomiędzy zasadą *Etre* i zasadą *Savoir*, co z grubsza odpowiadało podziałowi na zwolenników monarchii dziedzicznej i republiki z woli ludu, a w Rosji na słowianofilów i zachodników. Polityczne radykalizmy Mickiewicza nie mogą zmienić faktu, że jego filozofia jest całkowicie po stronie *Etre*. „Spełnili mędrcy na Boga pogrzebie // Kielich swej pychy” — pisał w 1830 r. A w kilka lat później: „Kiedy nad naukami bezbożnik pracuje, // Strzeż się go: jest to zbójca, który broń kupuje”. Zdania te mile brzmiałyby w uszach konserwatystów, przeciwników aroganckiej klasy średniej, która wszędzie na zachodzie Europy żądała przeróżnych swobód oraz władzy dla swoich parlamentów.

Mickiewiczowskie utożsamianie książkowej abstrakcji z działaniem złego ducha — w lirykach rzymskich, w *Dziadach*, w *Zdaniach i uwagach* — nie zasługuje na zbycie żarcikami, podobnie jak nie zasługuje na to demonologia Dostojewskiego w *Biesach*. Nie chciałbym jednak, żeby te rozdziały o Mickiewiczu zostały zrozumiane jako lament nad utraconą niewinnością czy chęć powrotu do wymaginowanej sielanki sprzed rewolucji naukowo technicznej. Wiara przeciwstawiona rozumowi, nasza subiektywność jako ostoja wobec naporu „obiektywnych” konieczności i poddanego tym koniecznościom ruchu — ta romantyczna taktyka nie bardzo się udała, ani w jej wczesnej odmianie, której przykładem jest *Romantyczność*, ani w jej odmianach późnych, posługujących się stylem sarkazmu, ironii, oraz „polifonią” w powieści. Wyobraźnia wskazuje gdzie może być ratunek: nie w oskarżaniu nauki, rzekomo odpowiedzialnej za wielkie nices-twienie, ale w zupełnie innym obrazie człowieka i świata, niż ten, jaki ofiarowuje nam nauka osiemnastowieczna i jej pochodne po dziś dzień — o czym marzył Goethe prowadząc swoją „Wojnę Trzydziestoletnią przeciwko Newtonowi”.

Czesław MIŁOSZ

Dziennik pisany nocą

Neapol, 15 stycznia 1976

Czym dla memorialisty jest „dziura w pamięci”, tym dla prowadzącego dziennik „dziura w reakcjach”. Reaguje się niby na świat, tkwi się w nim dostatecznie głęboko, by „normalnie funkcjonować”: ale samymi odruchami, bez smaku i ciekawości, nakręcając zegar własnego życia i popychając zmęczone wahadło, ilekroć słabnie dźwięk wybijanych godzin. Więc „dziura” którą mam na myśli byłaby zbliżona raczej do małego ataku acedii, gdy wszystko obojętnieje i matowieje, staje się sypkie i miałkie, bez wpływu pozornie na codzienne zajęcia i nawyki. Nieuchwytny jest moment nastania takiej przerwy, mglisty moment jej końca. Chwyta się tylko sygnały końca, bywa to czasem wzruszenie szybkie i niewspółmiernie gwałtowne w stosunku do błahiej i przypadkowej podniety. W ostatnich dniach grudnia wracałem z Paryża do Neapolu, o dziewiątej wieczorem pociąg zatrzymał się w Dijon, po krótkim postoju ruszył i zatrzymał się znowu na przejeździe kolejowym. Z okna wagonu widać było niskie, migocące światłami i pokryte śniegiem, kamieniczki przedmieścia. Ten banalny obrazek zimowy jakim ukłuciem wytrącił mnie nagle z drętwy? Kiedy o świcie zwlokłem się z kuszetki i zobaczyłem suchy pejzaż wiosennych prawie Włoch, była to podróż poprzez lata w ciągu jednej nocy, od zaśnieszonych miaszeczek młodości i wojny do, do...

17 stycznia

Kilka godzin na Capri, niespodzianych, za sprawą tak zwanego nieodpartego impulsu. Wprost z placyku poszedłem na

Monte Tiberio. Słonecznie, pusto, chłodno, morze z góry jak płynny ołów, nawet pod osłoną ruin pałacu Tyberiusza przenikliwy i piekący wiatr.

„Ziemią magów i proroków jest ziemia Orientu i nie zdziwiłbym się gdyby ta religia Chrestosa która, o ile wiem, zwraca się do niewolników, do nędzarzy, do rybaków, do rzemieślników, zdobyła sobie więcej zwolenników, niż Spartacus wśród zbiegłych z *carceres* i z aren amfiteatrów. Ale kurierzy donoszą mi to, czego ty nie mówisz: że Chrestos z Nazareth zmartwychwstał jakoby po śmierci, i że jego zjawienie się zyskało mu nowych uczniów i wyznawców. Jest moją wolą, Poncjuszu, aby tych zwolenników Chrestosa z Nazareth pozostawiono w spokoju, i aby mogli bez przeszkód wyznawać swą wiarę. A jeśli ktokolwiek miałby być oskarżony przez Synagogę, chcę go sądzić sam w moim trybunale na Capri. *Vale!*”

Imaginacyjny list do gubernatora Judei z książeczki Amedeo Maiuri, sławnego archeologa neapolitańskiego, *Lettere di Tiberio da Capri*. W rzeczywistości wiemy jedynie od Tertulliana (on zaś wyłowił tę informację z *Acta Pilati*), że Poncjusz przesłał Tyberiuszowi na Capri raport o procesie, skazaniu na śmierć i ukrzyżowaniu „Chrestosa z Nazareth”.

Gregorovius opisuje w *Wanderjahre in Italien* przyjęty od wczesnego Średniowiecza zwyczaj hołdu, jaki Żydzi rzymscy składali każdemu nowoobranemu Papieżowi. Wychodzili z getta, śpiewając hymny pochwalne i niosąc Pięcioksiąg, przystawali w oznaczonym miejscu na trasie orszaku papieskiego. W tłumie obrzucano ich niekiedy drwinami i obelgami. Zaledwie nadjeżdżał Papież, padali na kolana i wznosili ku niemu Zwój Prawa. Czytał (lub udawał że czyta) chwilę, wręczał pergaminowy klocek komuś ze świty i wypowiadał rytualną formułę: „Zatwierdzamy Prawo, lecz potępiamy Żydów i ich interpretację”.

Najdokładniejszy jest przekaz ceremonii w dniu intronizacji Innocentego VIII, w roku 1484. „Gdy Papież znalazł się na wysokości Zamku Anioła, dał orszakowi znak pauzy. Żydzi, oczekujący w wyłomach strzelnic na dolnym poziomie Zamku, zbliżyli się do Ojca Świętego i podali mu swoje Prawo z prośbą by je uszanował. Ozwali się doń po hebrajsku w te słowa: „Najświętszy Ojcze, my Hebrajczycy składamy na Twoje ręce petycję w imieniu naszej Synagogi. Uznaj nas za godnych, rozkaż by nasze Prawo, dane naszemu kapłanowi Mojżeszowi na górze Synaj przez Wszechmogącego Boga, otrzymało aprobatę i sankcję. Jak to czynili inni Papieże, poprzednicy Waszej Świątobliwości. Papież odparł: 'Sankcjonujemy Prawo, lecz waszą wiarę i interpretację potępiamy; gdyż ten, o którym mówicie że przy-

dzie, przyszedł; Pan nasz Jezus Chrystus, jak głosi i uczy nas Kościół. Po ceremonii Żydzi wycofali się na stronę”.

Wysoki zakątek Capri, gdzie Tyberiusz tysiąc dziewięćset czterdzieści trzy lata temu studiował raport Piłata (pewnie w zadumie, jak przystało władcy który sam siebie nazywał *tristissimus hominum*), sprzyja rozmyślaniom o dwojakiej strukturze duszy religijnej. Maiuri, w imaginacyjnym liście Imperatora, zbyt duży nacisk kładzie na społeczny podtekst pęknięcia. Synagoga i „Chrestos z Nazareth” to na jednym biegunie Prawo, na drugim Miłość i Litość; na jednym Sąd i Wyrok, na drugim Cierpienie. Jeszcze w Średniowieczu, mimo całej instytucjonalnej deformacji papieństwa, w duszy religijnej odbywał się pojedynek judeo-chrześcijański. Jego ostatnim wielkim poetą był Kafka (dałoby się odczytać, na dobrą sprawę, główne „obsesje” Kafki jako przedłużenie scen odkurzonych przez Gregoroviusa w tej części *Wanderjahre*, która traktuje o dziejach getta rzymskiego). Jego ostatnim anachronicznym epizodem było przejście z chrześcijaństwa na judaizm garstki chłopów apulijskich w San Nicandro, odkrywców religijnego Prawa, zagniewanych naraz na religijną *Pietas*.

18 stycznia

Przed czterema laty umarł Nicola Chiaromonte, dziś rocznica. Wyjdą wkrótce dwa pierwsze tomy jego pism wybranych; M. przygotowała już do druku, i dała mi do przejrzenia, trzeci.

Piękny jest nekrolog Camusa z roku 1960. Nicola poznał go w kwietniu 1941 roku w Algierze, dokąd uciekł z okupowanej Francji. Camus był wtedy w Oranie znakomitością lokalną, mentorem grupy młodych dziennikarzy, pisarzy, aktorów. Przygarneł serdecznie włoskiego emigranta, ale był tak przejęty „poczuciem nadejścia roku zero w dziejach człowieka”, tak po katastrofie samotny w resztkach starych dekoracji, że nawiązana przyjaźń pozostała na powierzchni. Dopiero potem zrozumiał jak dalece myśli małomównego Camusa szły w identycznym kierunku, potem gdy nazajutrz po wojnie witał w porcie nowojorskim autora *Cudzoziemca* i *Mitu Syzyfa* i *Kaliguli*. Zachował notatkę z odczytu Camusa na *Columbia University*, i wystarczy jeden jej fragment by sobie wyobrazić z jaką satysfakcją zapisywał słowa odnalezionego przyjaciela: „Nie ma Hitlera, lecz po jego zniknięciu wiemy kilka rzeczy. Po pierwsze, że trucizna którą był naładowany hitleryzm nie została usunięta; jest nadal w każdym z nas. Ktokolwiek dzisiaj mówi o ludzkiej egzysten-

cji w kategoriach władzy, wydajności, zadań historycznych, szerzy tę truciznę; jest zbrodniarzem, rzeczywistym lub potencjalnym. Jeśli bowiem problem człowieka sprowadza się do zadań historycznych, wszystko jedno jakich, człowiek staje się wyłącznie surowcem historii i można z nim zrobić wszystko co się zechce. Po drugie, nauczyliśmy się że nie wolno nam przyjąć żadnej optymistycznej koncepcji bytu ludzkiego, żadnej idei szczęśliwego końca. Ale wiedząc że optymizm jest głupotą, wiemy także że pesymizm wobec działania człowieka wśród innych ludzi jest tchórzostwem. Stawiliśmy opór terrorowi, gdyż terror jest sytuacją w której jedyną alternatywa brzmi: zabić lub być zabitym, bez możliwości komunikacji. To jest powód odrzucania przez nas każdej ideologii, która rości sobie globalne prawa do życia ludzkiego”.

Z myślą Camusa łączyła go właśnie nienawiść do uroszczeń „globalnych” wszelkich ideologii, wiara w nieusuwalny sekret zamknięty w sercu każdego człowieka, w transcendencję człowieka wobec historii (stąd podziw dla Tołstoja), w prawdę której nie potrafią zatrzeć żadne imperatywy społeczne. Nie lubił Kafki, lecz często i chętnie powoływał się na jego refleksję, że człowiek nie może żyć bez uporczywej ufności w coś niezniszczalnego w sobie samym, bywa jednak przez całe życie nieświadomy owego niezniszczalnego „jądra” w sobie i jedną z form tej ustawicznej nieświadomości jest wiara w Boga. Nicola, podobnie jak Camus, chciał Boga zastąpić pełną świadomością. Kiedyś, po przeczytaniu *Dżumy*, napisałem o „laickiej świętości” Camusa. Nicola dochodził czasem (szkic *Granice duszy* w trzecim tomie) do progu laickiego mistycyzmu. Był humanistą odmawiającym wyboru: Bóg albo człowiek poddany „prawom” historii.

Ale ten wybór wciąż istnieje, więcej: nabiera z dnia na dzień ostrości, pogłębiając osamotnienie myślicieli takich jak Camus czy Nicola. Jednym z dopływów hitleryzmu był nihilizm Ernsta Juengera, z jego proklamacją że „nowy typ człowieka będzie syntezą wysokiej zdolności organizacyjnej i zupełnego daltonizmu w obliczu ludzkich wartości, wiary bez przedmiotu wiary i dyscypliny bez uzasadnienia”; z jego wskazaniem „nowego typu człowieka” w żołnierzu i robotniku nowoczesnego przemysłu, jako że obaj urzeczywistnili „wyższy stopień abstrakcji”. Juenger oddalił się od hitleryzmu w roku 1939 nowelą *Na marmurowym urwisku*, którą zamykała piosenka o gorzkim dwuwierszu końcowym: „Skoro więc nie może nam przyjść z pomocą żaden człowiek, zwracamy się w naszej wielkiej potrzebie do Boga”. Nihilizm komunistyczny wywołuje, u części spustoszonych nim ludzi, analogiczną reakcję. Zwłaszcza na Wschodzie. Co do Zachodu, w szczytowym stadium zamętu i pomieszania wszystkich

języków, można powiedzieć tylko jedno: kurczy się coraz bardziej teren, na którym po klęsce hitleryzmu odżył humanistyczny mit Syzyfa, człowieka zbuntowanego równocześnie przeciw nadrzednemu sensowi historii i nadprzyrodzonej łasce.

23 stycznia

„Gdybym był ogniem spaliłbym świat”, mawiał Campanella. Oczywiście by na jego miejscu zbudować inny i lepszy, Gród Słońca. Ogień zniszczenia rozgrzewa wyobraźnię twórców Utopii rozumnych i szczęśliwych. Jego odbłask jest też obecny w *Podróżach Guliwera*. Pierwsze trzy części służą Swiftowi do wyrażenia pogardy dla człowieka; czwarta doprowadza pogardę do niepohamowanego wstępu. Ideałem jest wyspa rozumnych i szczęśliwych koni, Utopie są na ogół wyspami. Społeczeństwo istotnie doskonałe, tyle tylko (jak słusznie zauważył Orwell) że totalitarne. Konie żyją w harmonii i dostatku, mają sprawne urządzenia społeczne, nie znają słowa „pogląd” (odmienny), trapi je wyłącznie pytanie co zrobić z obrzydliwymi Yahoo, człekokształtnym plugastwem rozmnożonym na wyspie: wytępić doszczętnie, czy za radą Guliwera wykastrować (biedny Guliwer, nie udaje mu się zostać koniem *honoris causa*, skazują go na wygnanie z końskiego raju!). Pytanie nie obce nowoczesnym Utopiom, jeśli projekcję Doskonałego Konia zobaczymy w Doskonałym Aryjczyku lub w Doskonałym Proletariuszu.

26 stycznia

Niezbyt ładna, niezbyt mądra, niezbyt miła, wpatrzona w męża z uczuciem bezgranicznej i bezkrytycznej adoracji, młodsza od niego na tyle że mogłaby być jego córką, Anna Dostojewska zasługuje na pomnik idealnej żony genialnego pisarza. I wcale nie ofiary, bo nie ma powodu nie wierzyć jej zapewnieniom, że spędziła z Dostojewskim czternaście najszczęśliwszych lat życia. On zaś, zaangażowany w roku 1866 stenografistkę Anię dla przyspieszenia terminowej pracy nad *Gracem*, wygrał wielki los na loterii. Stanisław Mackiewicz nie przesadza: „To Ani zawdzięczamy Dostojewskiego, bez Ani nie byłoby Dostojewskiego... Ania poniosła takie poświęcenia, o jakich nie słyszałem, nie widziałem, nie przypuszczałem, aby je zdolna była ponieść inna jakaś żona dla innego jakiegoś pisarza”. Z jedną poprawką: Ania, gdyby ją o to zapytano, gotowa byłaby przyjąć że to Dostojewski poświęcił się biorąc za żonę ją, uosobie-

nie przeciętności, dziewczynę niezdatną do niczego poza czernieniem znaczkami stenograficznymi białych kartek papieru...

Dzięki umiejętnościom stenograficznym powstał jej *Dziennik* z pierwszego okresu po małżeństwie, przetłumaczony kilka lat temu przez Przybylskiego. Napomknąłem o nim w swoim czasie, nazywając go zapisem „piekła”, portretem Dostojewskiego „opętanego” i „satanicznego”. Teraz, gdy Podgórzec przełożył *Wspomnienia* Anny Dostojewskiej, pisane pod koniec życia przez starą kobietę, u wielu ich czytelników zrodzi się pokusa zawyrokowania: prawdę utrwaliła młodziutka stenografistka Ania, zakochana i zadręczona, na przemian smagana piekielnymi podmuchami i wniebowzięta, a nie dostojna jejmość Anna Grigoriewna, świadoma już swej roli, dumnie wobec otoczenia wyprostowana, bijąca niskie pokłony przed ikoną Fiodora Michajłowicza, kłótniwa ilekroć ktoś waży się dostrzec na niej plamę czy choćby plamkę, po olimpijsku przemykająca się nad śladami ran z własnego dziennika. Byłby to sąd niesprawiedliwy. Prawdę, zresztą na pewno nie całą, przedstawiają *Wspomnienia* i *Dziennik* razem; kiedy matrona Anna Grigoriewna oburza się na Strachowa za jego „oszczerzy” list o mężu do Tołstoja, dwudziestoletnia Ania odwraca przerażoną i zapłakaną twarz; obie przybliżają wspólnie Dostojewskiego do formatu postaci z Dostojewskiego. Podczas lektury *Wspomnień* należy ciągle podkładać pod nie *Dziennik*.

3 lutego

Artykuł Kotta o Tadeuszu Borowskim w *Wiadomościach* zachęcił mnie do poszperania w starych szpargałach. Moja nota na marginesie *Pożegnania z Marią* ma datę 1948.

O rzeczach nieludzkich mówi się w *Pożegnaniu z Marią* tak, jak gdyby były najzupełniej normalne, naturalne i ludzkie. Przez całkowite usunięcie analizy motywów postępowania ludzkiego i własnego komentarza autorskiego, Borowskiemu udało się pozabawić człowieka człowieczeństwa i dojrzeć w nim mechanizm czystych odruchów biologicznych. Nie ulega wątpliwości, że na poziomie zwierzęcej wegetacji obozowej było to jedyne spojrzenie, gwarantujące „rzeczowość” obserwacji pisarskiej. Ale złudzeniem jest pogląd, że pisarz może osiągnąć taki stopień „rzeczowości”, na którym zatracą już wszelkie stosunek do opisywanych rzeczy. „Nie mieć żadnego stosunku”, wykształcić w sobie według recepty Juengera „daltonizm wobec ludzkich wartości”, znaczy stanąć otwarcie i niejako „programowo” na ruchomym piasku nihilizmu. W wypadku Borowskiego sprawa komplikuje

się dodatkowo: jest autorem i bohaterem *Pożegnania z Marią*. Jako więzień zachowuje się i postępuje tak, jak zwierzę osaczone przez nagonkę: wytycza całą inteligencję, by przeniknąć manewr obławy i chwycić w lot reguły walki o życie. W obozach niemieckich wytworzyła się pomiędzy więźniami i oprawcami swego rodzaju zgodność poglądów na wartość, wytrzymałość i przebiegłość ciała ludzkiego. Więzień rozumował podobnie jak jego prześladowca, z tą różnicą że swoje „doświadczenie w sprawach ludzkich” oddawał na usługi zachowania własnego, a nie zniszczenia cudzego życia. Pierwszym przykazaniem katechizmu obozowego jest pogarda dla słabości i kult chytrłości, czyli afirmacja inteligencji zwierzęcej. I powstaje pytanie w jakiej mierze ten obraz człowieka obozowego stał się z biegiem czasu obrazem człowieka w ogóle, czyniąc z zasad życia w obrębie odrutowanej zony dekalog praw rządzących również światem poza drutami. Granica między stanem wyjątkowym i jego „uogólnieniem filozoficznym” jest tu bardzo niewyraźna, łatwa do przekroczenia. Borowski moralnie agresywny, zuchwały w podsuwaniu metra kacetowego do pomiarów świata w ogóle, każe myśleć o zdaniu Camusa z *Listu do przyjaciela Niemca*: „Pan przypuszczał, że nie istnieje moralność ani ludzka ani boska, że jedyne wartości jakie panują nad światem to te, które rządzą światem zwierzęcym — gwałt i chytrność”.

Jak na rok 1948, wcale nieźle. W dwa lata później napisałem w *Innym Świecie*, w rozdziale o głodzie: „Człowiek jest ludzki w ludzkich warunkach, uważam za upiorny nonsens naszych czasów próby sądenia go według uczynków, jakich dopuścić się w warunkach nieludzkich”.

Kott nazywa Borowskiego „największą nadzieją literatury polskiej wśród okrutnie przetrzebionego przez wojnę pokolenia jego rówieśników”; co jest prawdą, chociaż dla bystrzejszych ta nadzieja łączyła się od pierwszej chwili ze smutnymi przeczuciami. Nazywa go dalej „największą nadzieją komunistycznej partii, jej wyznawcą, apostołem i inkwizytorem”; co jest prawdą połowiczną, a byłoby pełną gdyby „wyznawcą” i „apostoła” zastąpić powiedzmy „szturmowcem”. I dodaje: „Musiało minąć wiele lat, zanim wielu z nas zrozumiało, że był również jej męczennikiem”; co jest brednią. Nie, Borowski nie był „męczennikiem” komunistycznej partii, dostawał od niej tyle ile jej z własnej i nieprzymuszonej woli dawał. Wrócił z Oświęcimia zatruty nihilizmem słabych, pociągał go (bez żadnych złudzeń) nihilizm innego znaku po stronie silnych. Myślę że 1 lipca 1951 roku otworzył kurek od gazu, zrozumiawszy jasno, że jest przepalony do cna nicością absolutną, niezdolny już do szukania ratunku w niczym; ani w „jądrze” ukrytym niegdyś głęboko w

sobie samym, ani w wierze w Boga. Może tylko przemknęło mu przez głowę: okazuje się że z dwojga złego znośniejsze jest „nic” ofiar, niż „nic” prześladowców. Jego samobójstwo nie było męczeństwem, lecz wyzwoleniem. I dowodem, który byłoby mu najtrudniej uznać, że istnieją jednak jakieś „ludzkie wartości” i że nie takie to proste wyrzucić je na złom.

6 lutego

25 marca 1938 roku Ettore Majorana, trzydziestodwuletni fizyk włoski, znikł bez śladu. Fermi uważał go za geniusza „z rodu Galileuszów i Newtonów”, Heisenberg bodaj też (w każdym razie w Lipsku jedynie z nim prowadził długie rozmowy w cztery oczy), Amaldi podkreślał jego „naturalną skłonność do prekursorstwa z odcieniem prawie profetycznym”. Utało się wśród naukowców sądzić, że gdyby Majorana był mniej „dziwny” i posiadał więcej „zdrowego rozsądku”, gdyby nie darł na strzępy swoich odkrywczych formuł natychmiast po ich zapisaniu, przyznano by mu nagrodę Nobla przed innymi luminarzami fizyki nuklearnej.

25 marca wieczorem wsiadł na statek Neapol-Palermo. Nazajutrz jego neapolitański kolega uniwersytecki otrzymał list z którego wynikało, że Majorana zamierza w drodze na Sycylię popełnić samobójstwo, jakkolwiek w tekście była mowa tylko o „nagłym zniknięciu”. W jego kawalerskim pokoju w Neapolu znaleziono list do rodziny, potwierdzający *implicite* zamiar samobójstwa: prosił o przebaczenie i o ograniczenie żałoby do trzech dni. W dzień później nadszedł od niego z Palermo list na papierze hotelowym: „odepchnęło mnie morze”, szczegóły po powrocie do Neapolu. Nie wrócił jednak. A raczej wrócił może (widziała go jakoby przelotnie na ulicy znajoma pielęgniarka), ale nie odezwał się już ani do kolegów ani do rodziny. W trakcie poszukiwań przeor jednego z klasztorów neapolitańskich doniósł policji, że w ostatnich dniach marca lub w pierwszych dniach kwietnia miał wizytę młodego człowieka (rysopis zgodny z rysopisem poszukiwanego), kandydata do klasztornej izolacji; wyznaczył mu spotkanie na następny dzień; kandydat nie stawiał się na nie. Od tej chwili Majorana przestał istnieć, rozplynął się nie pozostawiając najmniejszego tropu. Policja skłaniała się do hipotezy samobójstwa, mimo że morze zwraca na ogół zwłoki utopionych. Matka napisała do Mussoliniego: „Był zawsze mądry i zrównoważony, dramat jego duszy i jego nerwów wydaje się więc tajemnicą. Lecz jedno jest pewne, potwierdzają to stanowczo wszyscy przyjaciele, rodzina, wreszcie ja, jego matka: nie

zauważało się w nim nigdy precedensów klinicznych czy moralnych, które mogłyby nasuwać myśl o samobójstwie; przeciwnie, pogoda i surowość jego życia i jego studiów pozwalają, a nawet nakazują, uważać go wyłącznie za ofiarę nauki”.

La scomparsa di Majorana, sugestywna książeczka Leonardo Sciascia, stanowi rekapitulację tego co wiadomo o „tajemniczym dramacie duszy i nerwów” fizyka włoskiego. Sciascia opowiada się zdecydowanie przeciw hipotezie samobójstwa, jest za zniknięciem i to dokładnie uplanowanym w każdym detalu przez umysł nawykły do ściśłości. Ale nie znika się bez głębszego powodu, w końcu i trzydziestodwuletni uczony ma prawo jawnie przenieść się w stan spoczynku. Powodem była wizja, jaką „prekursorski” i „niemal profetyczny” Majorana ujrzał już w roku 1938: wizja grzyba atomowego na horyzoncie fizyki nuklearnej. Majorana chciał swoim zniknięciem zarysować „mit odepchnięcia nauki”, potwora szykującego się do owdładnienia uczniem czarno-księżnika. „Był człowiekiem religijnym (twierdzi Sciascia) i religijny, dodałbym: pascalsowski, był jego dramat”.

Sugestywność książeczki osiąga punkt kulminacyjny w epilogu. Sciascia opisuje w nim swoją wyprawę do sycylijskiego klasztoru kartuzów, o którym tuż po wojnie krążyła legenda że dał schronienie „jakieś wybitnemu uczonemu”. Oprowadza go stary zakonnik holenderski, pogodnie uśmiechnięty i lakoniczny, nieskory w odpowiedziach do wyjścia poza monosylaby lub milczące rozkładanie ramion. Przed pożegnaniem wstępują na cmentarzyk klasztorny. Trzydzieści grobów usypanych z czerwonej ziemi i ubitych na kształt pokryw sarkofagów, na każdym czarny drewniany krzyż bez imienia „ojca” czy „braciszka”. Między krzyżami nienaruszalna cisza. Cisza po burzy. Odkąd przekroczył próg klasztoru, Sciascia powtarza sobie w duchu słowa Prospera o „nikczemnym spisku zwierzęcego Kalibana przeciw życiu”. Pamięta że Majorana, bardzo czytany, wielbił dwóch pisarzy: Szekspira i Pirandella. Nie jest, z całą pewnością nie jest, kluczem do jego zniknięcia pirandellowski Mateusz Pascal. Z daleka, jakby sączone w ciszy krople, dobiegają wiersze *Burzy*: „Aktorzy, jak ci mówiłem, to wszystko są duchy, które w powietrzu we mgłę się rozwiały. Tak jak nietrwała budowa tej złudy, tak wieże chmur sięgające, olbrzymie pałace, piękne świątynie, glob cały i wszystko na nim w nicłość się obróci i niby zwiewne widowisko zniknie bez śladu. Myśmy z tej samej materii co mary senne i krótkie to życie kończy się snem”. Może ktoś w tym klasztorze ocalał się przed zdradą, zdradzając spisek przeciw życiu?

Legenda o „dziwnym” uczonym współczesnym, „mit ode-

pchnięcia nauki" przez naukowca pozbawionego „zdrowego rozsądku”? Cokolwiek powiemy, półdokumentarna powiastka filozoficzna pisarza sycylijskiego zawiera coś ożywczego, krzepiącego. Dla mnie jest powiastką o ucieczce od diabelskich podszeptów o „wszechmocy” człowieka.

9 lutego

Marchais skreślił z programu partii „dyktaturę proletariatu” i wezwał towarzyszy, by zaprzestali salutowania zaciśniętą pięścią. Odtąd ma obowiązywać wyciągnięta ręka. Wyciągnięta do kogo? Raczej do sierot Generała, niż do rozmnożonego niepokojąco potomstwa Mitteranda. Z trybuny kongresu proklamowano, zawiesiwszy na kołku „front ludowy”, francuską edycję włoskiego „kompromisu historycznego”.

Dobre maniere „kompromisu historycznego” wymagają wytknięcia Związkowi Sowieckiemu pewnych drobnych defektów urody; żaden przyszczyk nie powinien szpecić pięknego oblicza socjalizmu. Komunistów francuskich przynębił przyszczyk trzminutowej migawki telewizyjnej, w której milionom widzów pokazano sfilmowany z dużej odległości obóz koncentracyjny pod Rygą. Oglądałem ten film, był ułamkowym i błahym świadectwem samego istnienia łagrów, nie mógł zresztą być niczym więcej. Ukazały się setki książek na temat „innego świata”, *Archipelag* zbliża się już po francusku do miliona egzemplarzy, ale dopiero trzy minuty w telewizji skłoniły Marchais do okrzyku zgorszenia: a więc coś takiego profanuje świętą ziemię sowiecką, nie do wiary, nie do wiary, jeżeli to prawda, z ubolewaniem zakładamy uroczysty protest w imię nieskazitelnej czystości socjalizmu! W operacji komunistów francuskich, gotowych (chcąc nie chcąc) ponieść koszt (możliwie niski) „kompromisu historycznego”, nie oburza ich hipokryzja; ostatecznie jest i była zawsze elementem składowym „taktyki rewolucyjnej”. Prawdziwą zgrozą przejmuje myśl o postępującej autodegradacji Zachodu, który z bardzo nielicznymi wyjątkami oklaskuje tę komedię jako „akt niewątpliwej ewolucji demokratycznej i wolnościowej PCF”.

Kongresowi towarzyszyła na boku konferencja prasowa Piuszcza. Opowiadał rzeczy koszmarnie o sowieckich *psychuszkach*. Podawał się, mimo wszystko, za komunistę czy „neomarksistę”. Zapytano go co to znaczy. „Dla mnie znaczy to dążyć do społeczeństwa, w którym nie toczy się zwierzęca walka typu darwinowskiego”. Jest zdaje się w przygotowaniu francuski przekład *Wiernego Rustana* Władimowa, powieści o „zwierzę-

cej walce typu darwinowskiego”; i o tresurze, jedynej „ideologii” jaką zdołano stworzyć w „ojczyźnie socjalizmu”.

Rzym, 12 lutego

W Ognisku Polskim wieczór poświęcony Memoriałowi Pięćdziesięciu Dziewięciu, zagałęm go do spółki z Dominikiem Morawskim.

Miesiąc temu nazwałem Memoriał w *Giornale* dokumentem o znaczeniu historycznym. Tę ocenę potwierdziła fala dalszych wystąpień przeciw zmianom i uzupełnieniom konstytucyjnym, fala w której uderza przelanie się poza „środowisko”, jakby zapoczątkowanie ruchu ogólnospołecznego i ogólnonarodowego. Czemu to przypisać? Przecież zmiany i uzupełnienia konstytucyjne są tylko arbitralną ratyfikacją podwójnej polskiej niesuwerenności, wobec komunistycznej Monopartii i wobec moskiewskiego Nadsuwerena, czyli stanu trwającego od końca wojny. Dlaczego opieczętowanie „sytuacji realnej” podziślało nagle jak wstrząs?

W więzieniach sowieckich byliśmy ludźmi wyjętymi spod prawa, zdanymi na łaskę i niełaskę nadzorców, w naszej bezwoli i impotencji pogłębiał się niepowstrzymanie apatyczny stosunek jednostki do państwa totalitarnego. A jednak, pamiętam to doskonale, u większości znanych mi więźniów nadchodził moment szarpnięcia się: gdy po krótszych czy dłuższych okresach śledztwa, nocnych *doprosow*, wzywano nas dla wysłuchania wyroku zaocznego z sakramentalnym *razpisiś*. Owo *razpisiś* prowokowało do szarpnięcia się z kilku psychologicznych powodów: chociaż pod przymusem, podpis miał być złożony moją własną ręką, co wprowadza do gwałtu cień współnictwa; wyrok ociera się zawsze o poczucie definitywności; jego zaoczność podkreśla w jaskrawy sposób depersonalizację.

Przypuszczam, że w psychologii zniewolonego narodu zachodzi proces pokrewny. Konstytucyjne opieczętowanie zniewolenia, „realnej sytuacji” niesuwerenności, staje się katalizatorem oporu, wyjścia z apatii. Można oczywiście dociekać w jakim celu Breżniew zwrócił się do Polaków za pośrednictwem Gierka ze swoim *razpizitief*, i co sprawiło że Gierek podjął się tej misji. U Rosjan zagrała prawdopodobnie słabość do papierków, do *oformlenja* własnej dominacji (jak w Helsinkach), łącznie z poważniejszymi i bardziej dalekosiężnymi planami integracji bloku. Gierek zdecydował się prawdopodobnie zapłacić cenę konstytucji za przedzjazdową prolongatę zaufania ze strony Nadsuwerena, nie spodziewając się (jako „pragmatysta”) że po trzydziestu la-

tach panowania „sytuacji realnej” Polacy przywiązują jeszcze wagę do podpisów i stempli. Tak czy owak, obaj popełnili ciężki błąd (którego nie łagodzą pośpieszne retusze do pierwotnego projektu zmian i uzupełnień konstytucyjnych), według mnie zbawienny na przyszłość. Memoriał Pięćdziesięciu Dziewięciu otwiera nowy rozdział „oporu anty-konstytucyjnego”, znacznie niebezpieczniejszego niż mgliste i często dwuznaczne „nastroje anty-komunistyczne”.

Neapol, 18 lutego

Eseista niemiecki Walter Benjamin, któremu z dużą przesadą wystawia się ostatnio kapliczki pośmiertne, w latach dwudziestych i trzydziestych wypróbowywał na sobie działanie haszyszu i opium. Ogłoszono protokoły tych eksperymentów, doczepiając Benjaminowi do znakomitego szeregu De Quincey-Baudelaire-Huxley-Benn. Nowe „sztuczne raje” są nudnawe i dość jałowe, widocznie doświadczenia tego rodzaju nie mogą się obyć bez większej nieco dozy wyobraźni przyrodzonej. Ale nawet z protokołów Benjamin da się wyłuskać parę ciekawostek, świadczących że narkotyki wywołują efekt pokrewny pewnym „na trzeźwo” euforycznym stanom (i procedurom) poetyckim.

W ciągu dnia przepływa przez nas mnóstwo obrazów z których większość spychamy natychmiast do „piwnicy”, a tylko nielicznym przyglądamy się przelotnie i z przytępioną świadomością selekcyjną, zależnie od głównej osi naszej uwagi. W jednym z protokołów Benjamin notuje, że w odurzeniu narkotycznym wszystkie przepływające przez nas „ze zgiełkiem” obrazy ożywają i zapalają się, jakby eksponowane na ciemnej dotąd taśmie niewidzialnym światłem, niezależnie od tego na czym skupiona jest nasza uwaga. Jeśli tak, to za „narkomana” wolno uznać Joyce’a, za „narkotycznie” przeżyty jego dzień w *Ulyssesie*. Z tym że naświetloną rzeczywistość monologu wewnętrznego Joyce poddaje przecież jakiejś idei porządkującej artysty, podczas gdy „sztuczne raje” palaczy opium i haszyszu są euforią chaosu.

Jeszcze ciekawsza wydaje mi się notatka z seansu, w którym Benjamin ma doznanie lingwistyczne. „Wyciągamy z miłością ramiona do tego, co znajduje się przed naszymi oczami. Lecz dotknięty językiem, słowem (czyli po prostu nazwany), przedmiot naszego oglądu błyskawicznie wiecznie, starzeje się, umiera; nasza miłość wyczerpała go w okamgnieniu”. Czytając to pomyślałem o Leśmianie, o jego zachwycającym poetyckim pragnieniu dotarcia do „rzeczy samych w sobie”, które więdną i umie-

rają skoszone językiem, nazwane. Przed wielu laty wypełniłem taką „fiszkę” po zamknięciu (czy prędzej wypiciu) *Napoju ciemnego*.

Świat rozbity na czyste kryształy barw i form zaczyna się rozchwiewać i zacierać w swych zarysach, zaludnia się cieniami i zjawami. Leśmian traci stopniowo poczucie rzeczywistości i materialności, porusza się wśród swych widm niepewnie i po omacku. Miejsce bujności i zachłanności zajmuje znikliwość i nijakość. Poza „krawędziami bytu” rozpościera się pustka. Kwiaty, którym odebrano „zieleni samą w sobie”, usychają. Jakież tragiczne widowisko! Jakież smutny koniec wielkiej przygody poetyckiej! Nasycony i napojony życiem ponad miarę, leży oto „topielec zieleni”, „widemko niemrawe”, czarodziej który wyzwolił czystą urodę świata i przekonał się, że poza granicami czasu i przestrzeni to ona, ona właśnie, jest martwością i śmiercią.

Wracając do Benjamin. Motywem dominującym po seansach jest zaostzona samotność. Płaci się drogo za „sztuczne raje”, drożej niż za uwikłanie w piekielnej sieci codzienności.

23 lutego

Znowu głosy, że powieść dogorywa. Nie brałem ich przedtem zbyt poważnie, teraz jednak nie jestem wcale pewien czy wolno je bagatelizować, wymieniając kilka i wciąż tych samych tytułów które zdają się im przeczyć. Rośnie niepokojąco ilość powieści o niemożności napisania powieści. Powstanie powieści „samotematycznej” było niegdyś przełomem płodnym, ale chodziło w nim o coś zupełnie innego. Obierając za temat powieści samo jej napisanie, Proust czy Gide w *Fatszerzach* przepuszczali jakby rzeczywistość przez podwójny filtr, wzbogacali ją o nieznany wymiar i odnawiali „zmęczony” gatunek. Ich dzisiejsi epigoni, powieściopisarze „samotematyczności” negatywnej, próbują na siłę przedłużać gatunek w który już nie bardzo wierzą; nawet za cenę otwartego przyznania się do własnej bezsilności.

Skąd ta bezsilność? Pierwszym chyba diagnostą choroby powieści był w roku 1947 Ortega y Gasset. Jego recepta, po skrupulatnym opukaniu i osłuchaniu pacjenta: „Konstruowanie dusz ludzkich jest głównym atutem przyszłej powieści, wszystko na to wskazuje. Zainteresowanie zewnętrznym mechanizmem akcji powieściowej zostało obecnie sprowadzone do minimum. Powieść zatem musi dążyć do zainteresowania wewnętrznym mechanizmem występujących w niej osób. Nie w wymyślaniu intrygi, akcji powieściowej, lecz w kreowaniu ciekawych postaci leży cała na-

dzieja". Dość lekkomyślna recepta. Nic dziwnego że chora powieść, zastosowawszy się do przepisanej kuracji, majaczy w górach: jedyne co mogę to wyrazić moją niemożność. Byłoby niedorzecznością mówić o jakichś sztywnych regułach powieści, do pewnego stopnia każdy autentyczny pisarz ustala je sobie sam. Ale „konstruować dusze ludzkie” w oderwaniu od ludzkich historii, dłużyć w „wewnętrznym mechanizmie” postaci z lekceważeniem „zewnętrznego mechanizmu” akcji, *działania* człowieka, znaczy tyle co zabić w powieści jej istotę: sztukę opowiadania. Powieść cierpi na atrofię zmysłu czy smaku narracji. Nie przywróci jej tego zmysłu „psychologia imaginacyjna” (jak chce Ortega). I ileż uchowało się dziś jeszcze luzu dla powieściowej „psychologii imaginacyjnej”, w świecie zasypanym mniej lub więcej naukowymi traktatami psychologicznymi?

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Przedpłata na książkę pt.:

„W TAJNEJ SŁUŻBIE”

M. Z. Rygor-Słowikowski ogłasza przedpłatę na swoje wspomnienia, które dotyczą działalności polskiej służby wywiadowczej w czasie drugiej wojny światowej. Książka ma się ukazać w bieżącym roku. Cena w przedpłacie będzie wynosić £.4.75 (wraz z przesyłką), po ukazaniu się cena wyniesie £.6.75. Pieniądze należy przesyłać:

M. Z. Rygor-Słowikowski,
72, Sudbourne Rd., London, S.W.2. 5AH

Archiwum polityczne

Korespondencja z Rzymu

„Salvare il salvabile”

„Uratować to co jest do uratowania” — tzn. domagać się usunięcia najbardziej rażących nonsensów i wyraźnych zagrożeń dla moralnej i materialnej egzystencji narodu. Tą dewiza kierowali się polscy biskupi w swej opozycji wobec projektowanych, a zatwierdzonych przez sejm w dn. 10 lutego, zmian konstytucyjnych. Komunikat z konferencji plenarnej Episkopatu z 20 lutego, nawiązując do memoriałów wysłanych (9 i 26 stycznia) w imieniu Episkopatu przez Prymasa Polski do przewodniczącego „komisji nadzwyczajnej dla przygotowania projektu ustawy o zmianie Konstytucji PRL”, stwierdza m.in.:

„Uchwalone zmiany nie uwzględniają wszystkich dezyderatów zgłaszanych przez społeczeństwo, choć trzeba przyznać, że sejmowa komisja nadzwyczajna, zdając sobie sprawę z szerokiego niepokoju opinii katolickiej, wyszła jej naprzeciw. Utrzymują się jednak nadal obawy co do tego, w jaki sposób przepisy odnowionej Konstytucji będą interpretowane i realizowane”.

W pewnym środowisku katolickim narzekają, iż tekst ten jest za słaby — dla władz partyjnych, natomiast, jest on za mocny. Zaprotestował nawet na piśmie szef Urzędu d/s Wyznań, min. Kąkol — jego zdaniem nie było mowy o jakichkolwiek ustępstwach, dokonanych pod naciskiem opinii publicznej. Niechlujny przekład tego komunikatu przez agencję Reutera (co pozwoliło mylnie interpretować stanowisko Episkopatu) spowodował konieczność dodatkowego oświadczenia Rady Głównej Episkopatu (tekst ten dotąd tu nie dotarł). Niezależnie od różnych kosmetycznych zabiegów, dokonanych w ostatecznej redakcji ustawy, zawiera ona według biskupów następujące, poprawki w zestawieniu z pierwotnym projektem i późniejszymi wersjami:

1. Usunięto niedopuszczalne i groźne w skutkach *iunctim* pomiędzy prawami obywatelskimi i „obowiązkami wobec ojczyzny”, które, praktycznie biorąc, są określane przez partię.

2. „Rola przewodnia partii” (co czyniłoby z niej organ identyfikujący się formalnie z państwem) znikła na rzecz złagodzonego sformułowania „przewodnia siła polityczna”... „stanowiąca podstawę Frontu Jedności Narodu”.

3. W art. dotyczących wychowania i kultury przymiotnik „socjalistyczny” został zastąpiony przez „narodowy”.

4. W art. dotyczącym rolnictwa „poparcie i pomoc techniczną” państwa otrzymują nie tylko „spółdzielnie produkcyjne”, ale również „indywidualne gospodarstwa rolne”.

5. Art. dotyczący stosunków ze ZSSR: zamiast „wieczyste przyjaźni i sojuszu” mówi o „umacnianiu współpracy i przyjaźni ze ZSSR i innymi państwami socjalistycznymi; ponadto dodano: „stosunki z państwami o odmiennych ustrojach społecznych, oparte są na zasadach pokojowego współistnienia i współpracy”.

6. W art. dotyczącym roli „związków wyznaniowych”, w jakich pierwotnie należało domyślać się istnienia Kościoła, wyodrębniono go w nowym sformułowaniu (rzekomo sam Gierek na posiedzeniu Biura Politycznego argumentował, że rola Kościoła katolickiego w Polsce jest historycznie inaczej uwarunkowana niż w krajach protestanckich i prawosławnych).

Kiedy różne środowiska społeczne i zawodowe słały do władz memoriały i petycje w sprawie rewizji Konstytucji, trwała naganka na Katolicki Uniwersytet Lubelski. Na początku lutego sąd rejonowy w Lublinie nakazał poddać badaniom psychiatrycznym studenta KUL'u Stanisława Kruszyńskiego, aresztowanego 23 października ub. roku i ciężko chorego na zapalenie ucha środkowego. Oskarżono go o „rozpowszechnianie fałszywych wiadomości, których treść godzi...” (art. 271 K.K.). Faktycznie, jak dowiadujemy się z pisma wysłanego przez żonę oskarżonego do *Amnesty International* w Londynie, powodem aresztowania był „fakt wyrażania krytycznych opinii w prywatnych listach”. Obrońca, adw. W. Siła-Nowicki, wskazywał na rozprawie że uwzględnienie wniosku prokuratora do negatywnych skutków społecznych”. Jest to bowiem „proces polityczny, w którym sędzi się za krytykę władzy, może więc nasunąć się przypuszczenie, że tak zostanie potraktowany każdy inny, kto ośmieli się podjąć jakąkolwiek krytykę”. W grudniu aresztowano innego studenta KUL'u Mariana Piłkę, za rozpowszechnianie klepsydry rocznicowych o następującej treści: „dn. 14. XIII. 1975 r. o godz. 18-ej, w kościele Niepokalanego Poczęcia NMP przy ul. Staszica, odbędzie się msza św. za śp. robotników poległych w Grudniu 1970 roku”. Podczas przesłuchania w dn. 13 i 18 grudnia próbowano wymusić na nim zeznania „przy pomocy obelg, gróźb i czynnego znieważania”. Sygnalizowane są inne przypadki przesładowania studentów i absolwentów KUL'u, dyskryminowania ich w uzyskiwaniu pracy. Lokalne instancje państwowe i par-

tyjne nie od dziś *nota-bene* starają się infiltrować KUL, stwarzając sztuczne przeszkody w normalnej działalności tej uczelni, ograniczają liczbę studentów i wykorzystują habilitacje do różnego rodzaju nacisków.

Tego typu sprawami nie zajmował się oczywiście stycziński zjazd PAX'u z okazji 30-lecia powstania „ruchu społecznie postępowego katolików”. Jubileusz przesunięto z listopada (kiedy przypadała historyczna rocznica) by „nie zaciemniać blasku VII Zjazdu PZPR” (poważnie). Tak tłumaczono gościom zagranicznym. Na uroczystej akademii w Filharmonii Narodowej w dn. 26 stycznia Piasecki użył 54 razy słowa „socjalizm” lub „socjalistyczny”. Szef Urzędu d/s Wyznań, min. Kąkol w przemówieniu powitał nym ograniczył się do połowy tej liczby. Piasecki reklamował nawet „rodzinę socjalistyczną” — Kąkol, bardziej umiarkowany, mówił o rodzinie „narodowej”. W prezydium akademii obok przywódców PAX'u zasiedli: I sekr. Ambasady ZSSR, G. Goetting, prezes wschodnio-niemieckiej CDU oraz kanonik I. Varkonyi, sekr. komisji zagranicznej węgierskiego episkopatu. Losy tego ostatniego przypomina padre Werenfried van Straaten, dyrektor międzynarodowego Ośrodka Pomocy dla Kościoła Cierpiącego (*Aiuto alla Chiesa che soffre*), często cytowany na tych łamach. W nocy opublikowanej w styczińskim biuletynie tego ośrodka czytamy m.in.:

„... Varkonyi należy do twórców ruchu 'księży pokoju', którego 25-letni jubileusz obchodzono uroczystie we wrześniu ub. roku. Większość nowych biskupów jest aktywnymi członkami tego ruchu. W roku 1957 Stolica Apostolska obłożyła ekskomuniką Varkonyiego i dwóch innych księży jako grabarzy autorytetu Kościoła. Po 12 latach współpracy tej trójki z prześladowcami Kościoła, w 1971 roku kompetentni biskupi węgierscy otrzymali od Watykanu upoważnienie do zwolnienia ich z ekskomuniki pod warunkiem, że podporządkują się odpowiedniej władzy kościelnej i powstrzymają się od działalności politycznej. Podpisali wówczas oświadczenie w tym sensie czego jednak nigdy nie dotrzykali... Z okazji jubileuszu dziesiątki wikariuszy, prałatów, kanoników, opatów, otrzymało wysokie odznaczenia państwowe. Z listy tej wynika do jakiego stopnia administracja kościelna — od kurii diecezjalnych do dziekanatów — jest obsadzona przez 'księży pokoju'. Niech Bóg strzeże Kościoła i lud węgierski od zdrajców typu Varkonyiego...”

W komentarzu do listów napływających od duchownych i świeckich z krajów Europy Wschodniej, padre Werenfried pisze:

„w rzeczywistości mamy do czynienia w niektórych z tych krajów ze schizmą, ze separacją duchową pomiędzy bohaterami i tchórzami, wiernymi i zdrajcami. Listy te mówią zarówno o dekadencji jak chwale Kościoła prześladowanego”.

U schyłku pontyfikatu

Na „poród bękartu”, jak warszawiacy określają narodziny

nowej Konstytucji, zjawił się niespodziewanie 8 lutego wysłannik watykański, mons. Poggi. Jego podróż do kraju była, jak donosiłem, projektowana na drugą połowę marca, a obecnie przełożono ją na kwiecień i bp Dąbrowski, sekretarz Episkopatu, przyjechał tu 5 bm. m.in. dla przygotowania jej programu. Skąd ten pośpiech? Mons. Poggi przyjechał do Warszawy jako delegat Stolicy Apostolskiej na konferencję UNESCO, obradującą nad konserwacją zabytkowych centrów miejskich, przy udziale przedstawicieli w randze nie wyższej niż dyrektor departamentu. Wysłannik papieski nic tam oczywiście nie miał do powiedzenia. Agencja PAP doniosła, że „pełnomocnik Stolicy Apostolskiej dla stałych kontaktów z rządem polskim” był przyjęty przez ministra spraw zagranicznych Olszowskiego. Rozmawiał również z wiceministrem Czyrkciem (podlegają mu sprawy negocjacji z Watykanem) oraz z szefem Urzędu d/s Wyznań, min. Kąkolem, którego na gwałt wezwano do Warszawy z wizytacji na prowincji. Wysłannik papieski, niezależnie od tego co sam myślał o tej niewydarzonej misji, musiał robić dobrą minę do złej gry i choć skonfundowany tłumaczył się, że rozmawiał jedynie „grzecznościowo” o pogodzie i pokoju, nie był przyjęty przez Prymasa Polski. Biskupi zaś, którzy z nim grzecznościowo rozmawiali w przerwie obrad konferencji plenarnej (pobył Poggi'ego w Warszawie trwał 12 dni) powiedzieli mu „nie obwijając w bawełnę”, co myślą o tego rodzaju zagraniach jego zwierzchników. Rada Główna Episkopatu wystosowała *nota-bene* w tej sprawie energiczny protest do Sekretariatu Stanu.

Jak należy sobie tłumaczyć to nieprzewidziane posunięcie ze strony Watykanu? W ostatnim roku nie było żadnych poważnych zakłóceń — przeciwnie można było sądzić, iż Watykan przykładą wielkie znaczenie do harmonijnego układania się stosunków z episkopatem na odcinku „kontaktów roboczych” z rządem PRL. Nie jest to jedyny przykład zaskakującego postępowania dyplomacji papieskiej w ostatnich miesiącach. W poprzedniej korespondencji donosiłem, w związku z wyjazdem mons. Poggi do Budapesztu, że Stolica Apostolska postanowiła odłożyć załatwienie sprawy sukcesji po kardynale Mindszentym. A tu nagle 12 lutego ogłoszono w Watykanie, że nominację na arcybiskupa Esztergom (siedziba prymasowska) otrzymał bp László Lekai, dotychczasowy administrator apostolski. Już gotów byłbym bić się w piersi z powodu nietrafnej oceny sytuacji (wprawdzie nominat niewiele lepszy od bp. Cserhatiego, pretendenta narzucanego przez reżym) tymczasem z miarodajnego źródła otrzymałem następujące wyjaśnienie: „pańska analiza w tym punkcie („Watykan nie śpieszy się z wynegocjowaniem sukcesji po kard. Mindszentym”) była słuszna. Mons. Poggi miał rzeczywiście odbyć jedynie podróż rekonesansową i żadne rozmowy na temat nominacji nie były przewidywane. W ostatniej jednak chwili (dosłownie na dwa dni przed wyjazdem Poggi'ego do Budapesztu). Paweł VI wydał polecenie załatwienia tej sprawy. Wysłannik papieski nie napotkała na trudności — władze węgier-

skie były nawet zaskoczone decyzją watykańską i szybko wyraziły zgodę”. Wiadomość o nominacji Prymasa Węgier *Trybuna Ludu* ogłosiła na pierwszej stronie zgodnie z przestrzegana zasadą chwaleńca wszystkiego co świadczy o „realizmie” Pawła VI-tego. Informacja natomiast o nominacji bp. Gulbinowicza na wakującą od dwóch lat stolicę metropolitalną wrocławską pojawiła się jako mało ważna wzmianka i w dodatku oceniana. Z oficjalnego komunikatu watykańskiego skreślono słowa: „za zgodą rządu PRL”, co dowodzi iż „realizm” papieski podlega podwójnemu kryterium oceny — ponieważ w tym przypadku wyrażał stanowisko episkopatu polskiego „realizm” osądzono negatywnie. A *propos* tej nominacji: trzeba sprostować poważną nieścisłość jaka zakradła się do komentarza nadanego przez radio „Wolna Europa” (*Na Antenie*, luty, str. 20). Wymienia się tam bp. Wł. Rubina wśród kandydatów sugerowanych uprzednio przez czynniki rządowe. Oczywiście pomyłono go z bp. Urbanem, sufraganiem wrocławskim. Kandydaturę bp. Rubina, o czym pisałem, wysunął Paweł VI-ty — rząd zaś nie wyraził nań zgody, twierdząc, że reprezentuje „Polskę sanacyjną” (!). Przypomnijmy że bp Rubin otrzymał święcenia kapłańskie w Bejrucie w 1946 r.

Wróćmy, po tej dygresji, do zaimprovizowanych misji mons. Poggi w Budapeszcie i Warszawie. Nerwowo pośpiech wydaje się sprzeczny z dotychczasowym mechanizmem ostrożnej i raczej powolnej elaboracji decyzji podejmowanych przez dyplomację papieską. Czy weszliśmy w okres schyłku pontyfikatu? Wiele oznak na to wskazuje. Paweł VI-ty, osłabiony trawiącą go chorobą (cierpi m.in. na przewlekły atretyzm kręgosłupa) coraz ciężiej daje sobie radę z kalendarzem zajęć. Ostatnio nie brał udziału w tradycyjnej procesji w Środę Popielową na Awentynie. Nie był w stanie przejść stu kroków w bazylice św. Piotra w pierwszą niedzielę wielkopostną. Watykanolodzy z niedowierzaniem piszą w tutejszej prasie o uspakajających komunikatach watykańskiego biura prasowego. Mówi się zresztą, że w przyszłym roku, kiedy skończy 80 lat, Papież poda się do dymisji. Skoro bowiem wprowadził nowy przepis o tej granicy wieku dla kardynałów uprawnionych do uczestniczenia w *conclave*, uznano prawdopodobnie za stosowne w konsekwencji, że sam nie może sprawować najwyższego urzędu w Kościele Powszechnym. Tam gdzie może, stara się więc pozatalwiać istotne sprawy, którym nadał bieg, przyspieszając rytm normalizacji stosunków w ramach tzw. *Ostpolitik*. Tam, natomiast, gdzie nie wypada lub niewygodnie mu podejmować inicjatywę, pozostawia wszystko po staremu. Stąd panujący szablon i immobilizm, jaki coraz bardziej daje się odczuwać. Papież odwleka ciągle termin zwołania Konsystorza. Nie chce prawdopodobnie wprowadzać zmian personalnych w ekipie swych najbliższych współpracowników w Kurii Rzymskiej. Kapelusze kardynalskie dla mons. Casaroli, mons. Benelli, subtytuła Sekretarza Stanu, pociągały za sobą przesunięcie ich na stolicę metropolitalną i konieczność mianowania następców. Schyłek pontyfikatu nasuwa poniekąd analogię z rokiem wyborów

prezydenckich w USA. Zasadnicze decyzje, zwłaszcza w polityce zagranicznej, bywają odkładane i zablokowane w oczekiwaniu na Następcę.

Dominik MORAWSKI

Pisane 8 marca 1976

P.S. Kardynał Wojtyła rozpoczął 7 marca w Watykanie prowadzenie wielkopostnych rekolekcji dla kardynałów i wysokich funkcjonariuszy kurialnych, w jakich bierze udział Paweł VI-ty. Organ watykański zamieścił zapowiedź o tych „duchowych ćwiczeniach” na pierwszej stronie w specjalnym komunikacie. Jest to wyróżnienie osobiste dla metropolity krakowskiego, uznanie dla polskiego Kościoła i zarazem wypadek bez precedensu (do tej pory rekolekcje na najwyższym szczeblu powierzano zawsze włoskim purpuratom lub teologom).

D. M.

Widziane z Brukseli

„Knut und knebel”

Każdy człowiek z jakim takim wykształceniem — nawet bez tytułu pomarcowego docenta — zna co najmniej trzy rodzaje marksizmu. Po pierwsze zna Karola Marksa z Niemiec. Po drugie zna Marksa i Spencera z Londynu. Po trzecie zna braci Marks z Hollywood. Po przybyciu na Zachód poznałem jeszcze czwarty marksizm. W trzech pierwszych nie ma nic: ani wiedzy Karola, ani bogactwa kupieckiej pary z Londynu, ani cudownej zabawy zwariowanej trójki. Zrodzony gdzieś u twórców Gułagu, jest ponury i groźny, polega na zastąpieniu argumentów wyzyskami, dowodów — kalumniami, a siły przekonywania — kneblem i knutem. Jego cechą szczególną jest to, że jest to jedyny marksizm wymyślony samodzielnie przez komunistów i że jest to zwyczajny rasizm.

Po tym wstępie teoretycznym, potrzebny jest wywód praktyczny. Przepraszam, że muszę o sobie, choć tego nie lubię i unikam, ale będzie krótko i pasuje. Otóż kiedy po przybyciu do Belgii, zacząłem nieśmiało publikować moje poglądy, i kiedy zdarzyło mi się komentować niektóre wydarzenia w miejscowym radio i telewizji, organ belgijskiej partii komunistycznej ogromnie się na mnie pogniewał i ostro naskoczył na kierownictwo radiowo-telewizyjne. Państwo zapewne sądzą, że była to polemika z moimi poglądami, że komuniści udowodnili błędy i przeinaczenia w moich komentarzach. Nie, wcale nie. Zamiast argumentów

rzeczowych, moi polemiści (nie bez pomocy dokumentacji nadesłanej przez właściwe organy) starali się wykazać, że to „nic dziwnego, że ów pan (to znaczy ja) ma takie poglądy, bo on pochodzi ze wschodu i że jemu (to znaczy mnie) chodzi bardziej o porachunki osobiste, aniżeli o obiektywne komentowanie prawdy”.

Napisałem wtedy (tu nawet z partią komunistyczną można polemizować), że to dziwny ten nowy marksizm. Dziwny, stwierdziłem, albowiem kiedy byłem w Polsce, to polska partia komunistyczna ujawniła, że moje polityczne poglądy wynikają z mojego żydowskiego pochodzenia, kiedy jestem w Brukseli, to belgijska partia komunistyczna odkrywa, że moje polityczne poglądy wynikają z mojego polskiego pochodzenia, a kiedy jestem na występkach za granicą, to miejscowe partie komunistyczne nie wątpią, że moje polityczne poglądy wynikają z mojej belgijskiej burżujskiej przynależności. Nigdzie, jak dotąd, nie udało mi się przekonać komunistów, że *nie* powinni polemizować z pochodzeniem narodowym, społecznym, płcią, charakterem, kolorem skóry czy religią, a *powinni* polemizować z poglądami przeciwników.

Kilka pytań do jednego premiera

Chyba bym już do tego wszystkiego nie wracał, to przecież beznadziejne, gdyby nie premier Francji. Skąd ja, nieborak, do premiera? Otóż, p. Chirac, najniespodziewaniej w świecie postanowił wzbogacić sferę tego nowego marksizmu. On także uznał, iż pochodzenie geograficzne oponenta dyskredytuje jego argumenty, niweczy siłę jego świadectwa. Przy okazji mianowicie konferencji prasowej Leonida Piuszcza, premier francuski, który nie omieszkał naturalnie serdecznie pozdrowić byłego pacjenta szpitala w Dniepropietrowsku, oświadczył:

„Francja była zawsze krajem azylu. Ale ze strony tych, którzy z tego azylu korzystają zakłada to pewne umiarkowanie w dziedzinie politycznej. Jestem zdania, że błędnie postępują ci, którzy korzystają z pobytu we Francji dla prowadzenia działalności politycznej, polegającej m.in. na krytyce kraju, z którego pochodzą. W każdym razie, taka postawa nie jest zgodna z interesem Francji”.

Jeden paragraf, a ile treści. Rozbierzmy powoli, *sina ira et studio* to wzbogacenie marksizmu-rasizmu. Jeżeli mnie pamięć nie myli, to żaden jeszcze premier demokratycznego kraju podobnego wkładu w tę teorię nie wniósł.

Jest to tym bardziej zaskakujące, że p. Chirac jest premierem kraju, który dał życie pojęciu praw człowieka i że Piuszcz opowiadał właśnie jak to kraj „z którego pochodzi” te prawa dokumentnie i stale depcze i gwałci.

Dlaczego p. Chirac, który komunizmu przecież nie uwielbia, aplikuje właśnie komunistyczną zasadę polemiki nie z poglądami

Pliuszcz, a z jego pochodzeniem geograficznym?

Jak to się dzieje, że Pliuszcz jedyny, albo prawie jedyny, świadek prawdy o insulinowym gułagu przeszkadza równocześnie władzy i w ZSSR i we Francji?

Jak to jest możliwe, aby Pliuszcz szkodził równocześnie interesom ZSSR (jak twierdzi Breżniew) i interesom Francji (jak twierdzi p. Chirac)?

Dlaczego Pliuszcz, zmęczony i zadrażniony matematyk, skazany jest na milczenie i w ZSSR i we Francji?

Jak to jest możliwe, żeby Pliuszcz szkodził sprawie światowego pokoju wygłaszając te same poglądy w tak różnych krajach jak totalitarny ZSSR i demokratyczna Francja?

Dlaczego kiedy pani Angela Davies albo pani Jane Fonda opowiadały w Paryżu najzupełniej okropne rzeczy o kraju, z którego pochodzą, to p. Chirac nie uważał, że „ich postawa nie była zgodna z interesem Francji”? Albo pani Allende? Albo pani Felicja Langer, adwokat z Izraela, nie mówiąc już o Palestyńczykach, którzy atakują ambasady i lotniska francuskie, o których jednak p. Chirac nie powiedział, aby ich „postawa nie była zgodna z interesem Francji”?

Czy Mickiewicz też zajmował postawę niezgodną z interesem Francji, kiedy krytykował kraj, z którego pochodził? A przodek księcia Poniatowskiego, obecnego ministra? Czy gdyby Pliuszcz przemilczał swą gehennę w kraju, z którego pochodzi, to Francja i jej interes, by na tym zyskały?

Kto następny do golenia w imię interesu Francji? Sołżenicyn? Maksimow, pani Sacharow, *Kontynent*, Pelikan, Sik? A może *Kultura*? Przecież Warszawa dawno już twierdzi, że postawa *Kultury* nie jest zgodna z interesami Francji. No, a ponieważ w *Kulturze* sporo osób uprawia krytykę kraju, z którego pochodzi...

To może być błąd w karierze...

Dość tych pytań, bo to smutne. Teza komunistów i p. Chiraca sprowadza się po prostu do dwóch wątpliwej wartości operacji intelektualnych.

Po pierwsze, do zamazania różnicy między krytyką kraju, z którego ktoś pochodzi, a władzami — mniej lub bardziej legalnymi — tego samego kraju, i krytyką sposobów, dzięki którym ta władza u władzy się utrzymuje. Jest to operacja wątpliwa, albowiem selektywna. Krytyka Pinocheta i Amina nie jest według tej tezy krytyką Chile czy Ugandy, natomiast krytyka Breżniewa jest krytyką ZSSR.

Po drugie, operacja ta jest wątpliwa, albowiem polega na nader prymitywnej interpretacji „real-polityki”. Według tej tezy tolerując krytykę USA i Izraela — a więc krajów demokratycznych szanujących krytykę i nie wysyłających oponentów do szpitala dla wariatów, a wprost przeciwnie, wysyłających ich za gra-

nicę na gościnne występy — zachowujemy postawę zgodną z interesem Francji. Natomiast krytykowanie Breżniewa i Gułagu jest z tym interesem sprzeczne, albowiem Breżniew krytyki nie lubi ani u siebie w Moskwie, ani w Paryżu.

Premier Chirac to człowiek jeszcze młody, ma opinię bardzo zdolnego, agresywnego polityka, inteligentnego, szybkiego w riposcie, o którym mawiają, że woli działać niż być kochany za bezczynność. Idzie, powiadają o nim z podziwem, jak buldożer, nie patrząc na boki, bierze przeszkody od pierwszego podejścia, rozbija co trzeba, a dopiero potem patrzy do tyłu i oblicza szkody. Aż dreszcz rozkoszy bierze... Brak mu tylko, dodają, ludzkich odruchów. O Stalinie wielbiciele też mawiali, że jego jedynym ludzkim uczuciem był antysemityzm. Czyżby jedynym ludzkim uczuciem p. Chiraca był niechętny stosunek do ludzi, krytykujących kraje, z których pochodzą?

A może tym razem warto spojrzeć do tyłu i obliczyć szkody? Prezydent Ford nie wpuścił Sołżenicyna do Białego Domu i bardzo teraz żałuje. Czyż nie warto się zastanowić nad faktem, iż w dziesięć miesięcy po wizycie autora „Archipelagu Gułag” w USA prezydent Ford uroczystie ogłosił, iż wykreśla ze słownika sowiecką wersję słowa *détente*, czyli czyni dokładnie to, co mu Sołżenicyn radził uczynić?

A jakie słowo zechce wykreślić p. Chirac, kiedy okaże się, że krytyka krytyki Pliuszcz, to nie było najbardziej dalekowzroczne posunięcie w karierze premiera? Osobiście rozumiem, że Breżniewowi coś się od Francuzów należy, choćby dlatego, że nie musi się w Paryżu krytykować Rosji, kiedy krytykę taką uprawia sam pan Marchais, szef kompartii. Ja też pamiętam, że ambasador ZSSR, p. Czerwonienko odwiedził w czasie kampanii wyborczej nie kandydata lewicy, a p. Giscard d'Estaing. No, ale czyżby kwiatki w mauzoleum Lenina nie były wystarczającym aktem wdzięczności? Czyżby ambasador Czerwonienko uzyskał w Paryżu uprawnienia ambasadora Piłotowicza w Warszawie? Czyżby publiczna perswazja generała Haig'a co do obecności komunistów w rządzie francuskim była szkodliwa dla interesu Francji, a dyskretna presja ambasadora Czerwonienki w sprawie Pliuszcz, była z tym interesem zgodna?

Grymas racji stanu

Racja stanu, powiada zapewne p. Chirac. Racja jakiego stanu, pytam. Racja stanu, która dziś pozwala zakneblować Pliuszcz, jest politycznie i moralnie tyle warta co ta racja stanu, która kneblowała świadków Oświęcimia, warszawskiego getta, Katynia... Żaden dyplomatyczny grymas tej prawdy nie ukryje.

Być może, zachodzi tu pewne nieporozumienie. P. Chirac się myli, jeżeli sądzi, że Pliuszcz wyjechał z ZSSR w celach turystycznych, dla kaprysu, w celu spędzenia rekonwalescencji w Saint Tropez, po pobycie w luksusowym sowieckim sanatorium. Pliuszcz

wyjechał albowiem nie chciał przemilczeć prawdy o sowieckich oświeceniach. Pewnie, i Breżniew i Chirac chętnie tolerowaliby Piuszcza męczennika, ale męczennika niemego. Tylko, jeżeli Piuszcz ma milczeć we Francji, to Piuszcz mógł być zostać w domu, zajmować postawę zgodną z interesem i Francji i ZSSR i zamiast spędzić kilka lat w szpitalu dla wariatów mógłby spokojnie popijać czaj i oglądać w telewizji zjazdowy referat Breżniewa na temat wolności, demokracji i praw człowieka w ZSSR oraz na temat serdecznych stosunków między rządami Francji i ZSSR.

Brudny śnieg

Na tej bladej poincie miałem zamiar zakończyć felieton. Taki mnie niesmak ogarnął, że odechciało mi się (i tak bardzo tego nie lubię) pisanie w ogóle. Ale życie jest silniejsze i samo dopisało właściwe zakończenie.

O tym mianowicie jak za pomocą bezbarwnej wazeliny można zabrudzić śnieg, biały, olimpijski śnieg z Innsbrucka.

Jak niektórzy jeszcze pamiętają, Międzynarodowy Komitet Olimpijski wycofał tam, pod krótkotrwałym i głupim technicznym pretekstem, akredytację siedmiu dziennikarzy z Wolnej Europy. Był to skandal, nawet młodzieńcy zapalający dziewczyny znicz rozumieli, że chodzi tu o zwyczajny szantaż i szwindel, dokonany na ogłupiały i trzęsących portkami oficjelach z Zachodu przez kgb-istów ze Wschodu. Działacze, którzy ugięli się pod sowiecką presją i wyrzucili „zatruncy eteru” ku radości „kolegów” z krajów socjalistycznych, twierdzili, iż musieli tak postąpić aby nie zatruć przezycistej atmosfery olimpijskiej. Gdybyśmy, powiedzieli, sami nie ewakuowali olimpijskiej kwatery, to MKO użyłby austriackiej policji.

No to co? Szkoda, że nie użył. Austria ma już sporą tradycję w uleganiu szantażom i terrorowi. Do Palestyńczyków, Carlosa itp., kanclerz Kreisky dopisałby teraz szantaż TASS'a i Nowosti. Przedziwny związek irlandzkiego lorda Kilianina z oficerami KGB dokonał gwałtu na ostatnim niezgwałconym jeszcze kółku olimpijskim, jakim były wolność prasy i swoboda informacji. Dystyngowany lord przyznał bowiem w końcu, w wywiadzie dla NRF-owskiej TV, że podjął decyzję deportowania RWE z Innsbrucka, aby „uniknąć propagandy i polityzacji igrzysk”. Dystyngowany lord raczy się mylić: lord wdepnął w propagandę i politykę, tylko z nieco zaskakującej strony.

Chciałem już napisać miażdżącą pointę o ślepotie Zachodu i moich wolnych kolegów, którzy nie rozumieją, że proces „oczyszczania od zatruncy” zaczyna się tylko od RWE, ale nie wiadomo gdzie się zakończy, kiedy życie się znowu dopisało własne zakończenie. Dowiedziałem się że (dziewięć miesięcy po Helsinkach!) Moskwa odmówiła wizy dwóm dziennikarzom francuskim, pragnącym akredytować się przy XXV-tym zjeździe KPZS. Pow-

strzymałem więc swe pióro, powiedziałem sobie, że lepiej ode mnie wyrazi oburzenie prasa francuska, a przede wszystkim premier Chirac. Nawet mu to, myślałem, będzie na rękę, najpierw obsobaczył Piuszcza, no to teraz, lu, władze sowieckie. Ale, cisza, nikt nie woła! Paryż milczy. Widocznie postawa władz sowieckich wyrzucających dziennikarzy z Innsbrucka i nie wpuszczających dziennikarzy do Moskwy jest zgodna z interesem Francji, podczas gdy krytyka takiego postępowania byłaby prawdopodobnie z tym interesem niezgodna.

Ostatni złoty medal

Cóż za wspaniałe perspektywy! Przecież w roku 1980 odbędzie się olimpiada w Moskwie — sercu prawdziwego, amatorskiego sportu. To dopiero będzie rzeź. Można sobie wyobrazić selekcję w Moskwie, skoro już dziś w 1976 roku udaje się KGB-istom bezkarnie i bez oporu usunąć siedmiu dziennikarzy z Innsbrucka i nie wpuścić innych do Moskwy, pod pretekstem, że nie pisali tego co sobie biuro prasy KC życzyło.

Monachium zostało w historii jako olimpiada krwi, Innsbruck przejdzie do historii jako olimpiada cenzury. Tam złoty medal w konkurencji „strzelanie do bezbronnych” zdobyli Palestyńczycy. Tu złoty medal w konkurencji „kneblowania wolności prasy” zdobyli irlandzki lord i sowiecka policja.

Jeszcze jeden medal, powiecie. Tak, ale jaki?! Nie z byle złota on, a z waty jak knebel i ze skóry jak knut.

Właśnie, à propos knuta.

W czasie uroczystego otwarcia i zamknięcia olimpiady p. Kreisky, p. Kilianin i miliony telewizorów podziwiali gustowny pokaz folklorystycznej zabawy tyrolskiej polegającej na bardzo umiejętnym strzelaniu z knuta.

Niektórzy przewrażliwieni widzowie uznali, że było to widowisko niesmaczne. Kto to widział, mówili knut na olimpiadzie! Nie rozumiem oburzenia. Knut był w Innsbrucku na miejscu i pokaz był jak najbardziej pożyteczny. Jeżeli tak dalej pójdzie to wejdzie on w użycie we wszystkich krajach Europy od Uralu aż po Atlantyk. Jest to najskuteczniejszy, obok knebla, środek kierowania prasą, i państwem w ogóle. Oczywiście pod warunkiem, że strzelają z niego prawdziwi fachowcy i to nie tylko w powietrze...

BRUKSELCZYK

Pisane z niesmakiem 8 marca 1976

NAJWAŻNIEJSZE WYDARZENIA 1975 ROKU

Zamierzaliśmy w nrze marcowym Kultury podać najważniejsze wydarzenia 1975 roku w PRL, ZSSR i na emigracji. Liczyliśmy, że kronikę krajową dostaniemy od naszych przyjaciół w Polsce. Niestety wydarzenia w ostatnim kwartale to uniemożliwiły. Musimy więc ograniczyć się jedynie do ZSSR i emigracji (Redakcja).

ZWIĄZEK SOWIECKI

Jest wiele metod przedstawiania najważniejszych wydarzeń ubiegłego roku: można je klasyfikować według ważności, dzielić na problematykę wewnętrzną i zagraniczną itp. Wybrałem metodę najprostszą — chronologiczną.

30 kwietnia: czołgi sowieckie T-34 burząc bramy wkraczają do pałacu prezydenckiego w Sajgonie. Przywódcy sowieccy wobec niesłuchanej klęski Stanów Zjednoczonych, której rozmiarów nawet nie przewidywali, natychmiast zmieniają swoje plany, biorąc pod uwagę zwycięstwo komunistów w Wietnamie.

Maj: Aleksander Szeliepin, przewodniczący Związków Zawodowych, członek Politbiura, „żelazny Szurik”, zostaje pozbawiony swoich stanowisk. W ramach przygotowań do Zjazdu partii Breżniew usuwa zbyt ambitnego pretendenta.

Czerwiec: Spotkanie w Kosmosie statków Sojuz i Apollo. Związek Sowiecki uzyskuje rewanż za klęskę w wysiugu na księżyc.

Lipiec: w Helsinkach 35 państw podpisuje dokument umacniający status quo w Europie i hegemonię Związku Sowieckiego w tej części świata.

Sierpień: prasa sowiecka triumfalnie podaje o zakończeniu budowy pierwszego odcinka Bajkało-Amurskiej magistrali (BAM) o długości 650 km. od Tiumentia do Surguta. Według planu budowa miała być zakończona w 1970 roku. Budowa BAM-u, która ma ogromne znaczenie strategiczne (cała magistrala o długości 5.000 km. przechodzi przez terytorium graniczące z Chinami) jest prowadzona w najcięższych warunkach: nie ma zabudowań, brak jest maszyn. Gazety apelują by wszystkie te braki zastąpić entuzjazmem.

Wrzesień: Ustawa „o darmozjadach” zostaje preredagowana co daje władzom najszersze uprawnienia do walki z „elementem prowadzącym pasożytniczy tryb życia”. Nie wykluczone, że skazani na podstawie tej ustawy będą zsyłani na budowę BAM-u.

Październik: Rakieta sowiecka sfotografowała Wenus i na niej wylądowała. Jeszcze raz pokazano siłę i precyzność sowieckich rakiet. Podpisano długoletnie porozumienie z USA o dostawach w okresie 5-ciu lat zboża amerykańskiego dla ZSSR.

Listopad: ONZ powzięła uchwałę określającą syjonizm jako formę rasizmu. Prasa sowiecka podkreśliła tę rezolucję jako zwycięstwo sowieckiej polityki odprężenia i pokoju.

Andriej Sacharow otrzymał nagrodę pokojową Nobla.

Związek Sowiecki organizuje most powietrzny dla przerzucania do Angoli sprzętu wojskowego i doradców. Kuba zaczyna przerzucać żołnierzy do obsługi sprzętu sowieckiego.

Grudzień: sowiecki biolog, Siergiej Kowalew został skazany na 7 lat łagru i 3 lata zsyłki za redagowanie samizdatowskiej „Litewskiej Kroniki bieżących wydarzeń”.

Zastępca ministra sprawiedliwości ZSSR, Sucharew, oświadczył, że w Związku Sowieckim nie ma więźniów politycznych, a tylko kryminalni. Liczba więźniów, dodał — „zmniejszyła się od końca drugiej wojny światowej”. A. Amalrik odpowiedział wiceministrowi: „Artykuł Sucharewa napędza mnie radością i obrzydzeniem. Radością, gdyż jest on dowodem jak bardzo rząd sowiecki jest wyczulony na reakcję światowej opinii publicznej na naruszenia praw człowieka w ZSSR. Obrzydzeniem, dlatego że Sucharew kłamie, a każde kłamstwo jest obrzydliwe”.

Izwestia w odpowiedzi na ostrzeżenie amerykańskiego Sekretarza Stanu, Kissingera, na skutek interwencji ZSSR w Angoli, sprzecywała zasadniczą podstawę sowieckiej polityki zagranicznej: „Odprężenie nie oznacza i nie może oznaczać zachowania status quo na świecie”.

L. Breżniew na plenum KC zreasumował osiągnięcia IX pięciolatki. Generalny sekretarz określił ją jako „najlepszą pięciolatkę w historii naszego kraju. Nasza ojczyzna stała się jeszcze bogatsza, jeszcze silniejsza. Ludzie sowieccy zaczęli żyć lepiej. A to jest najwyższą oceną działalności partii”.

Sielskaja Żyźń przyznając, że w riazzańskim, biełgorodzkim, rostowskim, jarosławskim, pskowskim, czelabińskim, lipieckim, gorkowskim, omskim i dniepropietrowskim rejonach są „trudności” w zaopatrzeniu w chleb, tłumaczy to „żym funkcjonowaniem sieci handlowej”.

EMIGRACJA

Proces kurczenia się emigracji postępował nieubłaganie. Około 2 % jej stanu liczebnego opuściło ten padół w 1975 roku. W liczbie tej znalazło się wielu generałów, prezesów, ministrów, działaczy na różnych polach itp.

Równolegle i niezależnie postępował zanik światowego zainteresowania sprawą polską, co w trybie naturalnym spychało emigrację w kręgi marginalnej parafianśszczyzny. Z rzadka tylko i słabo przejawiał się błysk zainteresowania emigracją w świecie zewnętrznym, jej własne oznaki życia zbiorowego były równie słabe. Przy tym wszystkim zewnętrzna fasada emigracji — partie, instytucje, organizacje, pozostała jakby nietknięta. Skarb Narodowy zanotował nawet wzrost wpływów (ok. 30 tys. funtów w porównaniu z 28 tys. w roku 1974), co w pewnym stopniu spowodowane jest spadkiem kursu funta.

Rok zaczął się wydarzeniem niemal na skalę międzynarodową. Oto w styczniu przyjechał do Londynu dla odbycia rozmów z polskim rządem emigracyjnym dr Herbert Czaja, poseł parlamentu w Bonn i członek parlamentarnej komisji spraw zagranicznych. Rozmowy nie miały większego skutku poza tym, że przypomniały — przynajmniej Niemcom — że istnieje emigracja polska, a więc pośrednio, że w Polsce nie wszystko jest w porządku. Pomimo tego rozmowy wywołały furję właśnie na emigracji. Protestowali z zazdrości ci, którzy w rozmowach nie brali udziału, i jeszcze głośniejsi ci, którzy szukają każdej okazji do podkreślenia zgodności swego stanowiska z rządem PRL.

W marcu kolejna wizyta dała emigracji okazję do pokazania, że żyje — *demonstro ergo sum*. Gościem był przewodniczący sowieckich związków zawodowych, b. szef KGB, Aleksander Szelepin. Blisko 4 tysiące Polaków demonstrowało z tej okazji na rzecz Polaków w Związku Sowieckim. Niestety, tzw. świat zewnętrzny nie przyjął tego do wiadomości. Angielskie środki masowego przekazu koncentrowały swą uwagę na Ukraińcach, Łotyszach itd. i uparcie traktowały całą demonstrację jako skierowaną osobiście przeciwko Szelepinowi. I rzeczywiście — w kilka tygodni później Szelepin został usunięty z sowieckiego komitetu centralnego. Dziwna historia.

Dwa miesiące później, w maju, daliśmy tradycyjne emigracyjne przedstawienie. Dwa konkurencyjne walne Zjazdy Stronnictwa Ludowego, jeden w Brukseli, drugi w Londynie, pokazały światu, że zdolność emigracji do rozpadania się nie wygasła. Zjazd brukselski opowiedział się przeciwko pozostawianiu Stronnictwa w rękach londyńskim, zjazd londyński — za.

W listopadzie delegacja emigracyjnego Londynu z ministrem spraw emigracyjnych „na czele” udała się do Waszyngtonu na konferencję z przedstawicielami Kongresów Polonii Amerykańskiej i Kanadyjskiej. Konferencja była sukcesem w tym sensie, że w ogóle do niej doszło, jednocześnie była ona jednak symbolem skończenia się roli przewodniej londyńskiego centrum politycznego wśród Polaków na Zachodzie. *Obit Emigracja, nata est Polonia*.

Z końcem roku z kierownictwa sekcji polskiej Radia Wolnej Europy ustąpił Jan Nowak. Ustąpienie to ma również znaczenie symboliczne. Łączy się ono z wolno lecz konsekwentnie przez Amerykanów przeprowadzaną likwidacją Wolnej Europy, czyli ogólnie z zanikiem zainteresowania Zachodu sprawą uwolnienia Europy Wschodniej. Zdarzenie to powinno posłużyć autorem modnych obecnie porównań między emigracją Wielką a naszą jako przypomnienie roli, którą odegrali Amerykanie w sformowaniu i utrzymaniu charakteru emigracji polskiej po II-ej wojnie światowej.

SAMOCHODY, MATERIAŁY BUDOWLANE, MIESZKANIA, PRZEKAZY

dla bliskich w Polsce

EWA BORMIOLI

Via Pompeo Magno, 94

00192 ROMA — Tel.: (06) 35.65.920.

agent na Włochy

Trudny dialog

Zgrzytliwe echo przeszłości *

W numerze 1/337/75 r. *Kultury*, na str. 120-1, pod powyższym tytułem, ogłoszony jest artykuł, który SAM SOBĄ jest niewątpliwym „zgrzytliwym echem przeszłości”. Zdziwiło mnie zwłaszcza to, iż artykuł ten ogłoszony został w imieniu Redakcji.

Kulturę, stale i na bieżąco, czytam od stycznia 1957 r. (kiedy znalazłem się „na Zachodzie”, w Paryżu). Zdawało mi się, iż dość dobrze poznałem nastawienie Redakcji względem stosunków litewsko-polskich. Okazało się, jednak, iż nie...

Artykuł ten wiąże się z wywiadem udzielonym przez W. Sz. Pana Redaktora Jerzego Giedroycia czasopismu litewskiemu „Tėviškės Žiburiai” (Światła Kraju Ojczystego), wychodzącemu w Toronto (Kanada), oraz z listem art. Dagys’a, który w rubryce „Głosy czytelników” T.Ż. odezwał się na niektóre twierdzenia podane w wywiadzie tym, poczynając od wypowiedzi P.J.G., iż rzekomo, „...u nas (przypuszczam, iż to znaczy w środowisku emigracji polskiej?) nigdy nie mogłyby się ukazać książki tak zabarwione nienawiścią, jak np. Petrasa Česnulisa 'Nužmogintieji'...”. Dalej, zahaczone są wypowiedzi p. Dagys’a o sentymentach Litwinów do Wilna i, rzekomo, błędne ujęcie stosunków polsko-litewskich w przeszłości, a zwłaszcza uwagę jego, iż Litwini nigdy nie byli okupantami ziem polskich, a Polacy to uczynili... Przy tej okazji, Redakcja poucza iż: „...takie przedstawienie tych stosunków może tylko wzbudzić uczucia hamujące zgodność usiłowań nas wszystkich do odzyskania niepodległości naszych krajów”. Przy tej okazji, przypomniane nawet i słowa dr. Albertas’a Budreckis’a o J. Piłsudskim, wyrażone w książce „Lithuania 700 Years”, wydanej w 1969 r. w New Yorku.

Przed przeczytaniem artykułu tego w *Kulturze*, nie czytałem ani wymienionego wywiadu, ani też listu p. Dagys’a, a książkę „Nužmogintieji” (Odczłowieczeni) przeglądałem jedynie pobieżnie. Obecnie wszystko to przeczytałem „od deski do deski”.

* Otrzymamy od p. J. Dainauskasa list podajemy *in extenso*.

Najpierw zdziwiło mię to, iż W. Sz. P. Redaktor J.G., w wywiadzie swoim, nie podając żadnych szczegółów treści książki „Nużmogintieji”, ją w czambuł potępił... „Nużmogintieji” jest relacją osobistych przeżyć autora, Petras’a Česnulis’a, rodowitego mieszkańca „Wileńszczyzny”, który po różnych perypetiach „badań” w śledztwie, w Warszawie i Wilnie, w 1936 r., za rzekomą działalność „na rzecz Litwy”, był zasądzony na „karę” 8 lat więzienia. Po wędrówkach poprzez różne więzienia Polski, niemal trzy lata przebywał w więzieniu Świętokrzyskim, które, przecież, miało opinię najstraszniejszego więzienia Polski. Po wybuchu wojny Polsko-Niemieckiej, więźniowie (a wśród nich i p. P.C.), skuci kajdanami, „etapem” byli gnani „w tę i tamtą stronę”, po drodze przez konwojentów dziesiątkowani i dopiero po 17 wrześniu „tymczasowo” zwolnieni. „Nużmogintieji”, pod względem literackim, może i nie jest na wysokim poziomie, — jest to jednak zeznanie byłego więźnia „ówczesnej Temidy polskiej”, więzionego jako Litwina. Treść tej książki, Pana Redaktora, jak również i polską prasę, może nie obchodzić, ale to jeszcze nie znaczy, iż „strona polska” może mieć jakie bądź prawa do potępienia tej książki. A może Litwini nie mają prawa wspominać o krzywdach doznanych od Polaków?! Przecież Polacy, i sobie, i wszystkim, i Litwinom stale powtarzają, iż Polacy względem Litwinów, cały czas, mieli i mają jedynie najlepsze chęci, choć... rzeczywistość była diametralnie odmienna! A może też dewiza „Równi z równymi...” ma inną wykładnię dla Polaków, a inną dla Litwinów?!

Potępienie książki „Nużmogintieji”, bez podania jakich bądź polskich zarzutów przeciwko niej zakrawa na stary jak świat chwyt, ukrywający bojaźń konfrontacji z nieimiłą prawdą! Inaczej nie umiem objaśnić sobie tego potępienia „Nużmogintieji”. Również nie mogłem zorientować się, co W. Sz. Pana Redaktora J.G., w tej książce, najbardziej obraziło?! Przypuszczam, jednak, iż P. Redaktor nie twierdzi, iż polskie organa śledcze na „Wileńszczyźnie”, zwłaszcza względem Litwinów, jak też straż więzienna w Polsce sprzed 1939 roku, byli „aniołami”. Przecież nie tylko w literaturze, wydanej w obecnej Polsce, ale również i na emigracji ukazały się materiały, wspomnienia nie tylko o Berezie Kartuskiej, ale i o „porządkach” w więzieniach Polski. P. Česnulis, jedynie, powiada „jak to było...”. Przedmowę do tej książki napisał znany adwokat wilnianin A. Juknevičius, podając liczne fakty z przeszłości „stosunków” litewsko-polskich.

Zdaje mi się, iż byłoby celowym, ażeby ktoś, ze strony polskiej odważył się tę książkę rzeczowo omówić w polskiej prasie. Rzetelne omówienie książki „Nużmogintieji”, choćby i na łamach *Kultury*, może by dało jakąś tam możliwość sformułowania wniosków, które by na przyszłość mogły posłużyć materiałem dla drogowskazów ku temu, ażeby postępowania Polaków z okresu 1918-1939 lat, względem Litwinów, przy „nowej okazji” nie powtórzyły się! A to by już było niejaki wstępem do (i w tym wywiadzie) sugestionowanego dialogu litewsko-polskiego.

Powtórnie czytałem M. Wańkowicza „Na tropach Smętka”, jednak nie chcę stawiać znaku równania pomiędzy polityką „hakatystyczną” w Poznańskim, na Pomorzu, na Śląsku, a działalnością władz polskich na „Wileńszczyźnie” względem Litwinów, stosowaną aż do dnia wybuchu wojny polsko-niemieckiej. Ale..., czyż dane, wymienione w „Nużmogintieji”, o zamordowanych Litwinach nie polegają na prawdzie? Przypuszczam, iż zaciekle antylitewskość na przykład wojewody Bociańskiego i jego otoczenia, jest znana Redakcji *Kultury*. W 1939 roku znalezione w Wilnie polskie urzędowe dokumenty aż nadto o tym świadczyły. Nie wiem więc jaką miarkę W. Sz. P. Redaktor zastosował kwalifikując „Nużmogintieji” jako „prześięknętą nienawiścią”, a zarazem i fakty w niej podane!

I. Sofizmatem brzmi twierdzenie Redakcji o tym, iż nie można mówić o okupacji „Wileńszczyzny” przez Polaków itd. Redakcja przyznaje, iż ziemie byłego W. Ks. Litwy, po anulowaniu w 1917 roku przez Rosję bolszewicką rozbiorów, przestały być częścią Rosji. Ale... przez to one, przecież nie stały się częścią Polski. Polska jedynie prawem Kaduka ogłosiła sobie „spadkobierczynią” wszystkich ziem, które przed rozbiorami wchodziły w skład Rzeczypospolitej. Na tym „prawie” opierając się, jeszcze przed zakończeniem I-ej Wojny Światowej, Polacy poczęli żądać od Aliantów przyznania „przyszłej Polsce” i ziem, które należały do W. Ks. Litwy. Wszystkie te, niczym nieuzasadnione „mocarstwowe” żądania, i w 1918, i w 1919 roku, i w Traktacie Wersalskim, jednak, były odrzucone. Wtedy Polacy poczęli zbrojną politykę „faktów dokonanych”, które, w żadnym wypadku, nie mogły dać jakichbądź podstaw prawnych Polakom do ziem byłego W. Ks. Litwy.

A jak inaczej można określić zajęcie przez wojska polskie „Wileńszczyzny”, zwłaszcza po podpisaniu przez Polskę 10 lipca 1920 roku w mieście Spa aktu, którym Polska zobowiązała się ZWRÓCIĆ Wilno i ziemię Wileńską Litwie. Przecież, podpisując 7 października 1920 roku w Suwałkach umowę z Litwą, nie tylko Litwini wiedzieli, iż oni, a nie Polacy wtedy posiadali Wilno! A już niezbitym dowodem tego, iż Polacy byli okupantami ziemi litewskiej była ta cała komedia z rzekomym buntom generała Żeligowskiego, kiedy Rząd Polski oficjalnie odcinał się od tego „buntownika”, a przecież Żeligowski, z jednostkami regularnego wojska polskiego, zabierając przemocą Litwinom Wilno 9 października 1920 roku był jedynie wykonawcą rozkazu ówczesnego Rządu Polski. Czyż to nie była najzwyczajniejsza okupacja terytorium, i faktycznie i formalnie przynależącego do Litwy? Tu również trzeba podkreślić, iż nieprawdą jest twierdzenie artykułu, że: „...konflikt Polski z Litwą ograniczał się zresztą tylko do nieznacznej części Litwy z ludnością narodowo mieszaną...”. A co z P.O.W. zamachem, którego celem, przecież było zagarnięcie całej Litwy?!

II. W odcinku II artykułu tego Redakcja stawia „zarzut”, iż nie można rozmiarów krzywd polskich, zadanych przez Niem-

ców porównywać z krzywdami Litwinów. Tu nie chodzi o rozmiar, wielkość, a jedynie o rodzaj tych krzywd, a pod tym względem tu nie ma różnicy: Polacy cierpieli krzywdy od Niemców za to że byli Polakami, a Polacy Litwinów krzywdzili za to, iż ci starali się utrzymać litewskość w swoim otoczeniu i nie stali się „Polakami z opcji”. Litwini, przez okupacyjne władze polskie, byli w swoim własnym kraju traktowani jak „pariasi”, którym były odmawiane prawa do działalności narodowej i to pomimo tego, iż Polska była sygnatariuszem Konwencji o Mniejszościach narodowych!

III. W odcinku III-cim wzmianka o tym, iż Marszałek Piłsudski polecił złożyć swe serce... dając przez to wyraz swego głębokiego przywiązania do Wilna i Litwy Historycznej, której synostwem się szczylił itd. dziś jest już nie tylko anachronizmem, ale zakrawa i na hipokryzję. J. Piłsudski, przy pomocy rdzennych Polaków i „Polaków z opcji”, walczył zbrojnie o to, ażeby „Litwę Kowieńską” — tak jak to zrobił, później z tzw. „Litwą Środkową” — włączyć w Polskę, a Litwinów, wzorując się na sobie samym, „przerobić”, nareszcie, w całości na Polaków. Ale, to mu się nie udało! Nie udało się dlatego, iż zamiast w większości spolonizowanej „górnej warstwy” (która poszła służyć obcym bogom!) Litwy historycznej, w 1918-19 r. na czele Litwinów stanęła nowa warstwa, do głębi powiązana z litewskością, jak też i z obecnością i z przeszłością Litwy litewskiej i dla której język litewski nigdy nie był „swoistą odmianą języka polskiego”. Ale trzeba również nie zapomnieć, iż i ta, spolonizowana górna warstwa Litwy historycznej, o ile przebywała na terenie Litwy, nie bardzo kwapiła się do podporządkowania się nowopowstającej Polsce, jak to w 1919 roku udowodniło zawalenie się planu J. Piłsudskiego, za pomocą P.O.W. zagarnąć Litwę. Przecież do tego przez Sztab Główny Wojska Polskiego w Warszawie przygotowywanego zamachu, dała siebie wciągnąć tylko mała garstka, wyjątkowo fanatycznie spolonizowanych osobników, a całe kierownictwo tej „imprezy” składało się wyłącznie z nasłanych agentów.

Zdaje się, iż w wypadku tu przypominanego, rzekomego ustosunkowania się J. Piłsudskiego i jego otoczenia względem Litwy, obecnie twierdzi się coś takiego, co ma coś tam wspólnego z tą „bajką” o lisie i winogronach...

W końcowym ustępie artykułu tego Redakcja twierdzi, iż: „Dziś naród polski, w swej ogromnej większości, uważa stary zatarg z Litwą za zakończony...”. Ale..., i tu właśnie tkwi sedno. Przecież nawet i w tym artykule i to sama Redakcja *Kultury* znów nawraca do starych antylitewskich „argumentów”. A W. Sz. Pan J.G., w swoim wywiadzie, znów w kółko powtarza stare slogany o polskości Wilna, Uniwersytetu Stefana Batorego, o sercu Marszałka, o sentymentach do Ostrej Bramy itd. i nawet „strofuje” Litwinów o książce napisanej przez Litwina i po litewsku!!

Nie zważając na te kilka pięknych słów w artykule Redakcji,

uważam, iż i dzisiaj, w tych nieudanych „próbach dialogu”, mówi się tylko „połowę prawdy”, a sedno sporu polsko-litewskiego pozostawia się na uboczu. Sęk jest w tym, iż przejawy tych sentymentów, ze strony polskiej, względem Wilna itd., ściśle wiążą się z etnicznym pochodzeniem tych osób, które stale i stale nawracają do tych tematów, ponieważ to są ich „rodzime tematy” i dlatego chyba nigdy, litewskiego pochodzenia Polak z opcji nie będzie w stanie być rzetelnym w dialogu polsko-litewskim.

Sprawą stosunków litewsko-polskich interesuję się chyba od 50 z górą lat. Z tym zagadnieniem bliżej zetknęłam się nie tylko u siebie, w (a nie „na”!!) Litwie, ale i w Polsce, we Francji i w Stanach Zjednoczonych A. i mam po za sobą bardzo dużą ilość takich rozmów, tak z Polakami z krwi i kości, tak i z ludźmi nie polskiego pochodzenia, którzy kiedyś siebie zaszeręgowali do narodu polskiego i stali się „Polakami z opcji”. Zetknęłam się również z osobami uważającymi siebie za Polaków, których dziadkowie uważali siebie za Litwinów, a w najlepszym wypadku „za tutejszych”, to znaczy takich, którzy już ulegli tendencjom wynarodowienia się, ale jeszcze nie byli zdecydowani do jakiej to narodowości siebie zaszeręgować. Ci wszyscy, bez wyjątku, pochodzili z „Kresów Wschodnich” i etnicznie byli litewskiego, białoruskiego lub ukraińskiego pochodzenia. Zaś, wnukowie ich, jak każdy neofita, po zaszeręgowaniu siebie do narodu polskiego, swą polsłość podkreślali bardziej aniżeli etniczni Polacy, bardzo często, jednak, nie odróżniając tego co jest rzeczywiście polskie, od tego co nie jest, a co ci, nieraz bardzo uporczywie, próbowali przedstawić jak polskie, choć to miało się z prawdą.

Dla takich Polaków z opcji, pochodzenia litewskiego (i którzy często, zwłaszcza w rozmowach z Litwinami, szczycą się, iż są litewskiego pochodzenia) nie tylko Adam Mickiewicz ale również i Św. Kazimierz, Patron Litwy, jak również i jego ojciec, król Kazimierz Jagiellończyk, są Polakami!

Właśnie tu celowym jest przypomnieć sobie pewną analogię pomiędzy A. Mickiewiczem i W. B. Yeats'em, laureatem Nagrody Nobla 1923 r. za poezję. Anglicy Yeats'a sobie nie przywłaszczają, chociaż Yeats pisał tylko po angielsku, ale jest z pochodzenia Irlandczykiem i jego utwory, swą tematyką, przeważnie związane są z przeszłością Irlandii — podobnie jak twórczość A. Mickiewicza jest związana z przeszłością Litwy.

Dlatego też, kiedy taki Polak z opcji, dajmy na to, litewskiego pochodzenia, twierdzi: „Wilno jest moje”, nie kłamie, ale, gdy idąc za swoją opcją twierdzi, iż „Wilno jest polskie” — kłamie sobie i światu. Właśnie taki „ni na jotę” nie ustąpi w stosunku do argumentów litewskich. Takim Polakom z opcji i Wilno, i ziemia Wileńska, i całe Kresy Wschodnie są „odwiecznie polskie ziemie”. Chociaż... to twierdzenie bardzo jest podobne do carskiego twierdzenia, iż Litwa to „iskonno ruskaja ziemia”!

Jaskrawym przykładem poplątania pojęcia polskości takich Polaków z opcji tu może posłużyć pomnik Adama Mickiewicza,

dłuta Bourdella, w Paryżu, na pięknym placu Alma (Marceau). Otóż, u stóp wieszca, stojącego na wysokiej kolumnie, widzimy napis głoszący, iż jest to „Pomnik epopei walk polskich”. Po takim wstępie widz szuka bliższych dowodów, które by poświadczyły, że jest to rzeczywiście pomnik symbolizujący tę „epopeję”. Niestety, na sześciu „płaskorzeźbach”, na cokole pomnika, znajdują się obrazy z... Grażyny, Konrada Walenroda i Dziadów. Czyż są to obrazy z epopei walk polskich?!? Przenigdy! Właśnie, te obrazy wskazują, iż jest to pomnik postawiony przez osobników niewątpliwie litewskiego pochodzenia, którzy, z biegiem czasu, dali się spolonizować i którzy, stawiając ten pomnik, siebie już uważali za Polaków, ŁĄCZNIE Z TYM, wszystko to co jest pięknego w przeszłości Litwy, zaliczyli do przeszłości Polski.

Następny krok od powyższego rozumowania, — to była już zbrojna polityka, którą względem Litwy, wtedy pogardliwie przez Polaków nazywaną „Litwą Kowieńską”, za pomocą P.O.W., „Żeligowskiady” itd. próbował realizować, niewątpliwie „Polak z opcji”, Józef Giniot Piłsudski ze swoim „otoczeniem”...

Do zwiększenia się szeregów takich „Polaków z opcji”, zwłaszcza gdy Rzeczypospolita poczęła chylić się ku upadku, a ogólny poziom kultury „szlacheckiej” spadł strasznie nisko, w niemałej mierze przyczyniło się i to smutnej pamięci hasło: *Gente lituanus, natione polonus*. W ciągu wielu wieków dało to miliony ludzi, których naród litewski stracił.

O tych stratach Litwy dość jasno pisze córka pisarza Dostojewskiego: „... Żaden kraj nie przyczynił się tyle kulturze Słowian co małe Litwa. Inne narody pracują sobie, ku swej chwale. Litwa zaś kwiaty swej mądrości rozsypała swoim sąsiadom. Polska, Ukraina i Rosja tego nie pojmują i nie są wdzięczne...” (Aimée Dostojewsky, „Vie de Dostojewsky par sa fille”, Paris, 1926, str. 22). Dlatego też i całą potęgę i sławę Polski budowali, przeważnie Litwini, poczynając od Jagiełły i, kończąc, chyba, generałem Andersem, nie mówiąc już o Piłsudskim.

Nie zważając na drogi jakimi w przeszłości nie miała ilość panów, bojarów litewskich stała się „Polakami z opcji”, ci ostatni dla Litwinów nie są Polakami, a jedynie zaprzańcami litewskości i spraw litewskich. Polacy (a w pierwszym rzędzie ci, Polacy z opcji) to spolonizowanie uzasadniają „wyższością kultury i języka polskiego”, ale takie *dictum* nie wiąże się z żalami Polaków na Niemców, iż na Pomorzu, na Śląsku zostało aż tyle zniemczonych ludzi „polskiego pochodzenia”... Możliwe jest, iż Polacy mogą szczycić się „stwierdzeniem”: „... jeśli by nie światło polskości na uniwersytecie Wileńskim (a dlaczego nie na Krakowskim?!?) to by polskość w całej Polsce zgasała...”. Ale to jeszcze nie znaczy, by tym Litwini się cieszyli. Litwinom to tylko przypomina krzywdy, jakie oni wtedy doznawali od Polaków w swojej własnej stolicy (nawet gorsze aniżeli kiedyś

Polacy doznawali w Krakowie od mieszczan Niemców). Przecież, w pierwszym kwartale XIX wieku nie udało się na uniwersytecie Wileńskim choćby katedrę języka litewskiego wprowadzić, ponieważ przez Komisję Edukacyjną wzmocniona polonizacja Litwy, na tym uniwersytecie miała już za mocne wpływy. Zaś twór J. Piłsudskiego „Uniwersytet Stefana Batorego”, od samego początku, był przeznaczony na ośrodek polonizacyjny, z zadaniem „przyspieszonego przerobienia tubylców na Polaków”, to znaczy „pracował” na szkodę Litwinów (najlepiej o tym świadczy treść publikacji „Alma Mater Vilnensis, Prace Społeczności Akademickiej Uniwersytetu Stefana Batorego na obczyźnie). Dlatego też stałe przypominanie Litwinom o polskości uniwersytetu w Wilnie nigdy nie przyczyni się do ułatwienia zapoczątkowania rozmów polsko-litewskich.

Łosem narzucone sąsiedztwo, od Polski i Litwy wymaga prowadzenia „sąsiedzkich rozmów”, dialogu, jak o tym wspomina P. Redaktor J.G., przypominając słowa zmarłego historyka litewskiego Zenonas’a Ivinskis’a, ale... dialog ten może mieć jakieś tam widoki powodzenia jedynie wtedy, jeżeli ze strony polskiej będą go prowadzić Polacy z krwi i kości, a nie litewskiego pochodzenia Polacy z opcji, którzy, w stosunku do spraw litewskich nigdy nie potrafią być obiektywni, rzetelni.

Z litewskiego pochodzenia Polakami z opcji Litwini nie widzą żadnej możliwości porozumienia, zwłaszcza gdy tamci chcą porozumienia z Litwinami w imieniu Polski, ponieważ temu na przeszkodzie jest GŁOS KRWI. Niewątpliwie jest, iż etnicznego pochodzenia, „głosu krwi”, nie wytrawia żadne opcje.

W Polsce, po II-ej Wojnie Światowej, dużo razy przyszło się słyszeć żale repatriantów „zza Bugu”, którzy, znalazłszy się, na przykład, w Poznańskim, skarżyli się, że ich Polacy z centralnej i zachodniej Polski nie rozumieją. A byli to jednak ludzie, którzy przejawili siebie jako polscy patrioci, bili się za Polskę na różnych frontach i siebie uważali za prawdziwych Polaków. Jednak ich wymowa, nazwiska i miejsce urodzenia wyraźnie wskazywały na ich nie polskie etniczne pochodzenie. Na uwagę, iż przecież oni wszyscy, to znaczy repatrianci i miejscowi, mówią tym samym polskim językiem, — ci „zza Bugu” wciąż odpowiadali: „Tak, ale oni (to znaczy miejscowi, etniczni Polacy) inaczej rozumują!”.

To nie jest coś nowego. Prof. Marian Zdziechowski (Władysław Syrokomla, Wilno, 1924, str. 22) pisze: „... poezja Syrokomli stanowi duchową granicę między Litwą i Koroną. Gdzie jej rzewność nie wywołuje oddźwięku, jest to znakiem, że stanęliśmy w innym kraju, w innym klimacie psychologicznym, wśród ludzi inaczej czujących, w innych sposób do ojczyzny przywiązanych”.

„Dialog” litewskiego pochodzenia Polaków z opcji z Litwinami, którzy pozostali Litwinami, nie może przynieść porozumienia pomiędzy Litwinami i Polakami, ponieważ litewskiego pochodzenia Polacy z opcji, może nawet i nie zawsze świadomi tego, zawsze będą dążyć do tego, ażeby „polsko-litewskie porozumie-

nie" doprowadziło do porozumienia polskiej Polski z polską Litwą, zaś Litwini, może też nie zawsze świadomi takiej „drogi”, boją się możliwości powyższego rodzaju porozumienia z Polską i w pierwszym rzędzie, i za wszelką cenę, dążą do utrzymania Litwy litewskiej, o której stara „górną warstwa” zapomniła.

Różnych kategorii „Volksdeutsche”, których w czasie okupacji niemieckiej w Polsce znalazło się niemało, Polacy wykreślili z polskiego społeczeństwa i nie przyznawali im żadnych praw reprezentowania Polski i interesów polskich, ponieważ, z tych, czy innych powodów, oni stali się „Niemcami z opcji”, dlatego też Polacy nie mają podstaw dziwić się Litwinom, kiedy ci odcinają się od spolonizowanych Litwinów, litewskiego pochodzenia Polaków z opcji, ponieważ tacy nie są zdolni już pojąć dążenia Litwinów do samoistnej litewskiej drogi i ich przywiązania nie do „Gente lituanus, natione polonus” drogi, lecz jedynie do litewskiej przeszłości i przyszłości Litwy.

EMIGRACJA LITEWSKA, podobnie jak i innych narodów emigranci, „wyrwani z gruntu ojczystego” — ma swoje wady, słabostki, lecz względem stosunków z Polakami, przypuszczam BEZ WYJĄTKU, ma tylko jedno ŻYCZENIE: *niech nareszcie Polacy przestaną Wilno i ziemię Wileńską uważać za polskie ziemie*, oraz wciąż i wciąż nawracać do rzekomo dobrych zamiarów Piłsudskiego względem Litwy, jak również, w wypowiedziach Litwinów „wyłapywać” to co jest niby „prześiąknięte nienawiścią do Polski i Polaków” itd. To niezbicie mi wykazały, w trakcie przygotowywania niniejszego „elaboratu”, przeprowadzone rozmowy z całym szeregiem osób. To byli ludzie nie tylko ze „starego, wojennego”, ale również i z „powojennego, młodego” pokolenia Litwinów, emigrantów.

I ci młodzi również wiedzą i to, iż w okresie do 1939 roku Litwa, stosunkowo gospodarząc lepiej aniżeli Polska (o czym świadczyły produkcja i eksport mięsa i nabiału), musiała bezczynnie przypatrywać się temu jak Rząd Polski nie troszczył się o dobrobyt ziem, w 1920 roku okupowanych przez Żeligowskiego i które, po oderwaniu ich od swego naturalnego zaplecza, coraz bardziej ubożały. Zaś Wilno, stolica Litwy, rządzone przez Polaków, faktycznie, było zdegradowane do stopnia jakiejś tam „Pipidówki”. Możliwe, iż dziś o tym Litwini muszą zapomnieć (choć... historia tego nie zapomni) i nie nawracać do strat, wtedy i Litwie i Ziemi Wileńskiej, poczynionych przez Polskę.

Pomimo tylu kulturalnych i materialnych krzywd, doznanych od Polaków, Litwini „nie są przeziębieni nienawiścią do Polaków”. Emigracja litewska, w okresie od 1953 i do 1969 roku (w Boston, USA) wydała 36 tomów (19.784 stron druku) „Encyklopedii Litewskiej”, gdzie jest chyba ponad tysiąc „haseł” dotyczących Polski, Polaków, polskości, historii polskiej i stosunków polsko-litewskich, gdzie i najbardziej kontrowersyjne kwestie tych stosunków są przedstawione, przede wszystkim, rzeczowo, bez antypolskiego nastawienia. Choć historiografia Litwy,

właśnie przez Polaków w dużej mierze wykoślawiona, wymaga gruntownego „odbrązowienia”.

Jeśli jednak i to jeszcze nie jest wystarczające, zwłaszcza tym, którzy głosząc rzeczywistość czy mniemaną potrzebę dialogu litewsko-polskiego, stale nawracają do „polskości” Wilna, zamiarów Piłsudskiego itd., a zarazem pouczają Litwinów „politycznej” mądrości, można tylko doradzić, by raczyli zaglądnąć do 18-tomowej publikacji „Documents on German Foreign Policy 1918-1945”, wydanej w Washington, D.C. (1949-1966), a zwłaszcza do tomów: VII (9 sierpień - 3 wrzesień 1939) i VIII (3 wrzesień 1939 - 18 marzec 1940). Tam ogłoszone dokumenta b. Min. Spraw Zagranicznych III-ej Rzeszy najdobitniej świadczą o tym, iż Litwa i Litwini, nie zważając na ogromny nacisk ze strony rządu nazistowskich Niemiec, w 1939 roku nie uderzyli walczącej z Niemcami Polsce w plecy i nie poszli w ślady tej samej Polski, która w 1938 roku, z „tryumfem” zabrała Zaolzie od Czechosłowacji, rozrywanej przez Niemcy, które 11 miesięcy później napadły Polskę.

Przypuszczam, iż dostateczną polityczną dojrzałość Litwini wtedy również wykazali i swoim potraktowaniem Polaków, wojskowych i cywilów, — którzy po 17. IX. 39 r., uciekając od Czerwonej Armii masowo znaleźli się na terytorium Litwy.

Zdawałoby się, iż takie zachowanie się Litwinów w 1939 roku i najbardziej „zaciętrzewiały” Polaków anty-Litwinów musiałyby nakłonić do bardziej ludzkiego ustosunkowania się względem Litwinów i litewskości Wilna. Niestety, fakty mówią co innego.

Przecież w okresie 1942-44 r., właśnie na „Wileńszczyźnie”, bito, mordowano ludzi tylko dlatego, że byli Litwinami — a zwłaszcza nauczycieli Litwinów, ażeby „...gdy przyjdzie czas wyzwolenia tej ziemi, na niej nie było ani jednego Litwina!”. Tej ponurej karty ustosunkowania się względem Litwinów, ludzi którzy wtedy (tytułem różnych ugrupowań partyzanckich polskiej) tam głosili, iż „walczą o wyzwolenie ziemi Wileńskiej dla Polski itd.” nie da się wykreślić z historii stosunków „Obojga Narodów” i, co gorsza (a to właśnie przypominała przez P. Redaktora potępiona książka „Nużmogintieji”), terror ten był swoistą, straszną kontynuacją polityki Polski sanacyjnej względem Litwinów i Litwy, poczętej systematycznie w 1918 roku! Za dużo łez i krwi przelano tam, ażeby tak łatwo Litwini dali wiarę dzisiaj głoszonemu słowom o potrzebie „dialogu”, a zwłaszcza gdy o tym, przede wszystkim, mówią nie rdzenni Polacy, a przeważnie Polacy z opcji, Litwini, spoglądając w przeszłość stosunków litewsko-polskich, nie mogą wierzyć gołosłownym oświadczeniom iż „Dziś... naród polski... do narodu litewskiego żywi przyjazne uczucia” (jak to twierdzi Redakcja). Pięknie brzmią słowa Redakcji o „zmianach” w stosunkach polsko-niemieckich i wezwaniu polskich i niemieckich Kościołów do przebaczenia sobie przeszłości i rozpoczęcia nowej ery w duchu chrześcijańskim.

Niestety, takiego rodzaju „przebłytku” w stosunkach litewsko-polskich jeszcze nie było!

To brzmi bardzo smutnie, lecz niestety to jest chyba jedyny możliwy wniosek, zwłaszcza po przeczytaniu, o tak zgrzytliwym charakterze omówionego artykułu *Kultury*.

J. DAINAUSKAS

Chicago, 21 listopada 1975 r.

Dziwna polemika

Berkeley, California.

Szanowny i drogi panie,

Nie wydaje mi się żeby młode pokolenia, czy Litwinów czy Polaków, interesowały się sporem polsko-litewskim. Należy on do przeszłości, a jeżeli pozostały po nim różne urazy, sam upływ czasu da im radę. Tym niemniej powinniśmy starać się o możliwie obiektywny obraz długotrwałego skłócenia i artykuł pana, właśnie przez swoją jednostronność, może być w tym pomocny.

Pozwoli pan, że zacznę od niektórych słów czy zwrotów dla jednej albo drugiej strony drażliwych. Podobnie jak to odczuwało wielu Litwinów, uważa pan zwrot „na Litwie” za lekceważący, ponieważ kryje się w nim pojęcie Litwy wyłącznie jako geograficznego obszaru. Owszem, po polsku mówi się „na Podolu”, „na Ukrainie”, „na Pomorzu” czyli tam gdzie chodzi raczej o kierunek niż o bliższe dane, podobnie jak mówi się: „na Kaukazie”, „na Syberii”, „na Zachodzie”, „na Riwierze”. Ale ponieważ już południowe stoki Karpat nazywano kiedyś „na Węgrzech”, przeniesiono to na cały kraj i „na Litwie”, „na Łotwie” nie są wyjątkami. Od chwili kiedy Mickiewicz użył tytułu *Pan Tadeusz czyli ostatni zajazd na Litwie* trudno byłoby narzucić inny językowy zwyczaj.

Bywają wyrażenia, które w jakimś krótkim tylko okresie są emocjonalnie zabarwione i do nich należy rażąca pana „Litwa kowieńska”. W istocie termin ten może być użyty bez jakichkolwiek politycznych intencji i jest użyteczny, bo skoro Wilno jest Litwą, jak nazwać niepodległe państwo litewskie lat 1918-1939 ze stolicą w Kownie?

Z kolei muszę przyznać się, że użyte przez pana określenie „Polacy z opcji” byłoby dla mnie obrażające, gdyby nie było tak oczywiście nietrafne. Opcja bywa tam gdzie jest możliwość wyboru. Gdzie nie ma możliwości wyboru, nie ma opcji. Językiem w jakim uczyłem się pierwszych słów był polski, następnie czytać i pisać uczyłem się też po polsku. Przeszedłszy przez polską

P. Dainauskas kopię listu do *Kultury* przesłał do wiadomości Czesławowi Miłoszowi.

szkołę i polski uniwersytet jakim mogłem zostać poetą, jeżeli nie polskim, skoro, jak pan wie, naprawdę umie się pisać tylko w języku naszego dzieciństwa? Podaje pan przykład W. B. Yeats'a, który pisząc po angielsku był patriotą irlandzkim. Ale język gaelicki w Irlandii prawie zanikł i angielski stał się językiem irlandzkiej literatury. Czy może pan sobie wyobrazić, co by się stało, gdybym ogłosił się poetą litewskim? Litwini uznaliby to za zabawę człowieka, który reprezentuje najbardziej niemiły dla nich gatunek, ludzi na Litwie urodzonych i obnoszących swoje sentymenty do kraju pochodzenia, ale już dla kultury litewskiej straconych wskutek utraty języka. Polacy zawołaliby, że żaden jestem Litwin, skoro po polsku piszę. Publiczności dla takiego poety w moich czasach w ogóle nie było. I to prowadzi nas w sedno zagadnienia. Ani ja nie jestem „Polakiem z opcji” ani nie jest nim nikt z tych, których pan obdarza tym mianem, bo tam gdzie „opcja” musi polegać na wyrzeczeniu się macierzystego języka, nie ma jej wcale.

Po polsku mówili moi rodzice, dziadkowie i pradiadkowie, jak więc daleko zechce pan chwilę opcji wstecz przesunąć? Gdzieś w wiek piętnasty, szesnasty? Ale tutaj dołącza się drugi warunek niezbędny do tego żeby opcja istniała: świadomość. Moi przodkowie najspokojniej w świecie nazywali siebie Litwinami i nie przychodziło im do głowy, że mówiąc innym językiem niż litewski dokonują wyboru. Rzutowanie wstecz dzisiejszych pojęć zawsze musi prowadzić w historii do mylnych wniosków. Przecie podobny proces, rozpowszechniania się jednego języków kosztem innych odbywał się w wielu krajach europejskich i wszędzie tak samo jak na Litwie język nabywany kojarzył się z kulturą „wyższą” a miejscowy z „niższą”. Ten podział, którego przyczyny były wyłącznie socjologiczne, nie odpowiadał żadnym kulturalnie uzasadnionym skalom wartości. Gaelicka Irlandia, bogata stuleciami wysokiej baśniowej poezji, przejmowała język-hybrydę, zlepek germańsko-francuski, bo tym przecie jest angielski. W średniowieczu najbardziej rozwiniętym literacko językiem był occitański (*langue d'Oc*), język trubadurów, i Dante początkowo zamierzał w nim pisać *Boską Komedię*. A jednak occitański przetrwał tylko jako wijski dialekt, *provençal*, i jeszcze nie tak dawno francuscy nauczyciele, dbając o wdrożenie swoich wychowanków do „wyższej kultury” zabraniali uczniom mówić nim w szkole między sobą. Ostatni bodaj okres kiedy język ten znało młode pokolenie chłopskie w departamentach Corrèze i Lot przypada na lata ostatniej wojny, co miało wpływ na sukcesy *maquis* w tamtych okolicach, jako że Oc, niezrozumiały dla Francuzów, znakomicie chronił siatkę konspiracji. W Niemczeniach się Słowian, Polaków, Czechów, Łużyczan tak samo prym wiodło pojęcie „kultury wyższej”. Ale na nic nie zdałoby się wystawianie rachunków samym dziejowym powikłaniom. *Lietuvių Enciklopedija* wydana w Bostonie, na którą pan się powołuje, wydaje mi się, znakomite i monumentalne, nie mówi o „Polakach z opcji” tylko o „Litwinach spolonizowanych”. Ter-

min ten, choć niezadawalający, bo emocjonalna nuta nadal w nim pobrzmiewa, jest lepszy i nie będę się spierać, jeżeli zechce go pan używać.

Litwini spolonizowani są przedmiotem pana artykułu, jako odpowiedzialni za wszelkie zło wyrządzone Litwie przez Polskę. Odczytałem u pana trzy twierdzenia: że wkład tej grupy w historię polityczną i kulturalną Polski jest ogromny; że czuli się oni inni od rdzennych Polaków; że ich sentymenty do Litwy oznaczały chęć jej spolonizowania i wyraziły się w hasło „polskie Wilno”.

Do tych twierdzeń pozwolę sobie wnieść parę poprawek. Myślenie polskie o Litwie od dawna ma pewne rysy mitologiczne a zarazem jest nacechowane niewinnością niewiedzy. To znaczy rozmiary polonizacji czyli strat poniesionych przez kulturę litewską nie są uświadamiane. Najwyżej wylicza się nazwiska wyraźnie wskazujące na litewski rdzeń językowy. Tymczasem pochodzący z białoruszczyzny a następnie polszczyzny odbywał się wtedy kiedy nazwiska były jeszcze dość płynne i np. wiele z tych co brzmią najzupełniej słowiańsko są przekładami — podobnie jak w Ameryce niejednego Smith nazywał się dawniej Kowalczyk. W znakomicie czystym sumieniu trzeba dopatrywać się przyczyn błędnej polityki polskiej wobec Litwy. Takie same czyste sumienie znalazłoby się u nauczycieli uczących francuskiego chłopskie dzieci Languedoc'u albo Bretanii, przekonanych, że wyrządzają dzieciom dobrodziejstwo, nie inaczej też zapewne traktowali swoje zadanie niemieccy nauczyciele na Śląsku. Ruch narodowy litewski, zapoczątkowany zresztą przez ludzi piszących po polsku, był przed pierwszą wojną oceniony w Polsce negatywnie, jako ruch separatystyczny, bo Litwa uchodziła za część Rzeczypospolitej utożsamionej stopniowo z Polską. Hasło niepodległości Litwy było w 1918 roku dla Polaków i ogromnej większości Litwinów spolonizowanych tak dziwaczne, jak hasło niepodległości Prowansji dla Francuzów. A odpowiedzialność za to w znacznej mierze ponosi syn Wielkiego Księstwa Litewskiego, Mickiewicz, bo nikt tak skutecznie jak on dwóch pojęć, Litwy i Polski, nie poplątał.

Nie tylko pan i inni Litwini przyznają Litwinom spolonizowanym wyjątkową rolę. Sami oni mieli zawsze skłonność do uważania się za coś lepszego od Polaków rdzennych i podkreślali swoją odrębność. Dlaczego więc zarazem stawali się rzecznikami „polskości”? To są już zagadki historyczne, logiki w nich dużo nie uświadczysz. Twórcą niepodległej Polski stał się Litwin spolonizowany, którego pan nie darzy sympatią. Otóż nie jest tajemnicą, że Piłsudski Polaków nie lubił.

Szczególne cechy Litwinów spolonizowanych zdaje się pan tłumaczyć dziedzictwem rasowym. Z pewnością genetyka będzie miała kiedyś sporo o tym do powiedzenia, jak na razie jednak mało wiemy o tym czynniku, który jest zmienny tj. te same cechy dziedziczne powodują różne efekty zależnie od okoliczności towarzyszących. Jeżeli dodać jeszcze, że Polacy rodem z Wielkiego Księstwa mogą równie dobrze wywodzić się z pnia

białoruskiego czy ukraińskiego jak z litewskiego, jakakolwiek wiedza w tym względzie okaże się poza naszym zasięgiem. Spekulacje na takie tematy łatwo prowadzą do dziwactw. Znany literat nacjonalistycznego obozu, Adolf Nowaczyński, spędził w Warszawie lata hitlerowskiej okupacji na bardzo szczególnym zajęciu: oto czytał uważnie niemiecką prasę i wycinał wszystkie artykuły o asach lotnictwa tudzież odznaczonych za bohaterstwo żołnierzach armii i marynarki, jeżeli nosili oni polskie nazwiska. Tak zebrał olbrzymią kolekcję wycinków, z której wynikało, że swoją bitność Niemcy zawdzięczają w pierwszym rzędzie wchłonięciu wielkiej liczby Słowian.

Polityka Polski wobec Litwy była od początku tj. od chwili przygotowań do Konferencji Pokojowej 1918 roku niesłuszna, choć nie podejmuję się orzekać, czy zawinili tutaj przede wszystkim Litwini spolonizowani, skoro nie oni grali pierwsze skrzypce w delegacji polskiej w Paryżu. Będę miał możność wkrótce przesłać panu listy Oskara Władysława Miłosza do jego amerykańskiego przyjaciela, profesora Christiana Gaussa z Princeton, odnalezione przeze mnie w Ameryce i teraz właśnie drukowane w formie książki przez francuskiego wydawcę. Z listów tych dowiadujemy się, że mój kuzyn nic w ogóle nie wiedział o istnieniu narodowego ruchu litewskiego w chwili kiedy, w roku 1918, ogłosił się Litwinem. Zrobił to w porwywie moralnego oburzenia na stanowisko delegacji polskiej wobec niepodległości Litwy. Mamy tutaj do czynienia z klasycznym wypadkiem opcji — ale możliwa ona była dlatego, że językiem Oskara Władysława nie był ani polski, ani litewski, tylko francuski. Podobnie postąpił inny piszący po francusku literat pochodzący z Litwy, Maurycy hr. Prozor.

Podane przez pana fakty dotyczące Wilna są prawdziwe. Żeligowski zajął Wilno z polecenia Piłsudskiego i w ten sposób pogwałcone zostały umowy w Spa i w Suwałkach. Co prawda gdyby Polacy nie rozbili bolszewików w 1920 roku w bitwie pod Warszawą, nie byłoby o co się kłócić, bo sowiecka republika litewska dostałaby Wilno na tych samych co dzisiaj warunkach. Niemniej prawo międzynarodowe w tej kwestii musi opowiedzieć się po stronie Litwy. Tylko że pan przechodzi do porządku nad wolą ludności. Liczba Litwinów w Wilnie była minimalna, niemal połowę mieszkańców stanowili Żydzi o języku macierzystym *yidish*, częściowo rosyjskim, o ówczesnych sympatiach do Litwy czy Polski bliżej mi nieznanych. „Polskość” Wilna nie była tak niewątpliwa jak to utrzymywała polska strona, prawdą jest jednak, że większość mieszkańców miasta i okręgu była za Polską. Jeżeli pan ubolewa nad tym jako nad zbiorową aberracją, rozporządza pan dobrymi argumentami, ale to nie znaczy, że udałoby się kogoś w Wilnie odpolonizować siłą. Wszystko zależało tedy od rozwiązań pośrednich, sprowadzających się do uznania Litwinów o języku macierzystym polskim za odrębną grupę narodowościową, tak jak w Finlandii uznano prawa Finlandczyków mówiących po szwedzku. Po tej linii szły rokowania polsko-litewskie pod

egidą Ligi Narodów w Brukseli w roku 1921 i tzw. projekt Hymansa. Przewidywał on (było kilka wariantów) autonomiczny okręg wileński w obrębie Litwy oraz liczne powiązania, polityczne i gospodarcze, niepodległej Litwy z Polską. Przyjęcie tego planu wyszłoby zapewne na korzyść obu krajom. Nieco większy udział w jego odrzuceniu przypada bodaj Polsce, skoro jak wiadomo *beatus qui tenet*. Nie obyło się jednak bez znacznego w tym udziału Litwy tj. jej ówczesnych polityków, którzy, podobnie jak pan, narodowość utożsamiali z językiem. Zasadniczą przyczyną rozbicia się rokowań był brak sprzyjającej opinii publicznej zarówno w Kownie jak w Wilnie, to znaczy już przyjęto za pewne, że jakim językiem mówisz, do takiego narodu należysz. Przypomnę, że Piłsudski z uchwały sejmu wileńskiego — żeby Wilno po prostu włączyć do Polski — nie był zadowolony.

Artykuł pana jest tak pisany, jakby nie przetoczyło się nad nami wiele dziesięcioleci historii, i to jakiej historii. Gdzie pan widzi teraz polskie podstępne zamiary wobec Wilna, nie wiem. Zdawałoby się, że narody bałtyckie, poddane wznagającej się kolonizacji i rusyfikacji, mają większe kłopoty niż rozmyślanie nad tym kto kogo skrzywdził pięć wieków temu czy pięćdziesiąt lat temu. Przykro się przyznać, ale w naszym stuleciu sama liczba, milionów ludzi zadręczonych w obozach koncentracyjnych przez państwa totalitarne, przesłoniła nam zło bardziej powszednie, wyrządzane jak świat światem jednostkom przez jednostki i narodom przez narody. Jeżeli możliwa i potrzebna jest przyjaźń między Polakami i Ukraińcami, pomimo że w przeszłości wyrzynali się wzajemnie, tym bardziej możliwa i niejako naturalna jest przyjaźń polsko-litewska.

Widzę w pana artykule jedną zasadniczą niekonsekwencję. Jest pan zwolennikiem kryteriów etniczno-językowych a równocześnie mówi pan o Wielkim Xsięstwie Litewskim jakby było ono Litwą według tych kryteriów. Te dwie rzeczy razem nie są możliwe. Kiedy ci, których niesłusznie nazywa pan „Polakami z opcji” uważają Wielkie Xsięstwo Litewskie za swoją ojczyznę, już istniejącą tylko w wymiarze mitycznym, bo dawno przestała istnieć na mapach, mają do tego pełne prawo. Rzeczywiście kraj ten wydał wielu ludzi niezwykłych, ale właśnie wypowiedź córki Teodora Dostojewskiego, którą pan cytuję, jest do brym przykładem nieporozumień. Mianowicie rodzina Dostojewskich wzięła swoje nazwisko od dóbr Dostojewo pod Pińskiem, nadanych bojarowi tatarskiego pochodzenia nazwiskiem Irtyszczew albo Rtyszczew w 1505 roku. Dostojewscy figurują nieraz w kronikach, zwłaszcza kryminalnych, Wielkiego Księstwa w wieku szesnastym. Większość z nich polonizuje się i przechodzi na katolicyzm. Dzisiaj uchodzi za prawie pewne, że od tych Dostojewskich z Dostojewa pochodził Andrzej Dostojewski, duchowny, unicki bodaj nie prawosławny, mieszkający w Bracławiu na Podolu, dziadek powieściopisarza. Ljubow (Aimée) Dostojewska, córka powieściopisarza, w swojej książce wspomnień wydanej na emigracji mówi o przywiązaniu ojca do tradycji tej szlacheckiej

rodziny i odpowiada to prawdzie. Ale biedna Aimée wyczytała gdzieś, że w Wielkim Xsięstwie, założonym i rządzonym przez Litwinów, wyższa klasa składała się z wojowników litewskich skandynawskiego pochodzenia (!), co posłużyło jej do snucia zupełnie fantastycznej genealogii rodziny. Mamy więc tutaj tę samą romantyczną legendę, która Norwidowi, noszącemu nazwisko czysto żmudzkie, kazała wywodzić swój ród ze Skandynawii. Dostojewscy z Litwą etniczną nie mieli nic wspólnego i ich problem sprowadzał się do wyboru pomiędzy prawosławiem i katolicyzmem, co mogło leżeć u źródeł zacieklej anty-polskości i zacieklego antykatolicyzmu u Teodora Dostojewskiego (wspomina w jednym z listów, że inteligencja rosyjska zdradziła lud przejmując zachodnie idee, tak jak bojarstwo na Litwie zdradziło ruski lud zmieniając wiarę i język).

Nikomui też nie uda się przerobić Mickiewicza na litewskiego poetę w tym znaczeniu w jakim pojmuje pan litewskość. Pochodził on z regionu, który, o ile wiem, był zawsze umieszczany poza granicą Litwy etnicznej, choć niedaleko tej granicy. Ani pochodzenie rodziny jego ojca ani matki nie jest bliżej znane, być może nie miał w sobie w ogóle krwi litewskiej. Języka litewskiego nie znał. Uważał siebie za Litwina ale na tę modłę, co wszyscy ci, którzy nazywali siebie *Gente Lithuanus, natione Polonus*, zaliczani przez pana do najbardziej niebezpiecznej dla Litwinów kategorii. Skoro im odmawia pan miana Litwinów, dlaczego wyraża pan żal, że pomnik Mickiewicza w Paryżu nosi napisy podające go za poetę polskiego? Litwa w *Grażynie* i *Konradzie Wallenrodzie* jest to kraina legendarna, równie legendarna jak Szkocja modna wówczas w literaturze angielskiej, natomiast Litwa w *Panu Tadeuszu* oznacza rodzinną ziemię nowogródzką, a więc Białoruś.

Bardzo bym chciał, żeby Wielkie Xsięstwo Litewskie było kolebką geniuszów na tej zasadzie, że duchy opiekuńcze litewskich przodków unoszą się nad nim i wspomagają swoich wybrańców. Jednakże o takich działaniach nie możemy powiedzieć nic pewnego. Główną wadą pana artykułu wydaje mi się zapal z jakim próbuje pan przekreślić wielojęzyczność i wielowyznaniową przeszłość Wielkiego Xsięstwa. To jest już tylko historia. Dlaczego nad nią się zniecać?

Czesław MIŁOSZ

Ostatnie słowo oskarżonego

Jestem autorem artykułiku „Zgrzytliwe echa przeszłości”, zamieszczonego w Nr. 10/337 *Kultury* z r. 1975, przeciwko któremu skierowany jest przeważnie list polemiczny p. Dainauskasa, praw-

nika i historyka, obecnie redaktora czasopisma *Tautos Praeitis* (Przeszłość Litwy), wychodzącego w Chicago. Dlatego zabieram głos, biorąc siebie w obronę, a zarazem prostując niektóre zbyt subiektywne twierdzenia historyczne p. Dainauskasa. Samo zagadnienie polsko-litewskie w jego kształtowaniu się późno-historycznym zostało po krótko omówione przez Czesława Miłosza. Jestem w zgodzie z głównymi liniami jego rozumowania.



Należę do ludzi, którym p. Dainauskas odmawia prawa do dialogu z Litwinami, ponieważ jestem „Polakiem z opcji”, a ci ostatni — jak twierdzi — „dla Litwinów nie są Polakami, a jedynie zaprzającami litewskości i spraw litewskich”. Jak gdyby tego było jeszcze mało, kilka razy tę tezę w liście powtarza. Akcentując tym mocno swoją odmowę, podkreśla ubliżający jej sens, ale tę stronę listu p. Dainauskasa chciałbym w tym co powiem pominąć.

Nie jestem pochodzenia litewskiego, a moja rodzina szlachecka wywodzi się prawdopodobnie z pnia białoruskiego (czyli ruskiego, bo nazwa „białoruski” wówczas jeszcze nie była, o ile wiem, w użyciu) i dopiero w roku 1701 przeniosła się z dalekiej Białorusi (pow. Ihumeński) na etnicznie litewską część W. X. Litewskiego. Nie mogłem przeto być „zaprzającym litewskości”, skoro *kulturalnie* nie byliśmy Litwinami, — ani moi przodkowie, ani ja sam. Znałem tylko ówczesny potoczny język litewski, jakim mówiła wiejska ludność okoliczna. Jak większość mego pokolenia, uważałem się za *Litwina historycznego* nadmieniając już czasami *narodowości polskiej*, a to dlatego, że w tym czasie rozpoczęło się już rozszczepianie pojęcia „Litwin historyczny” na jego składniki narodowościowe.

Obszar dawnego Wielkiego Xięstwa Litewskiego uważałem, pomimo panowania na nim Rosji, za żywy organizm, który może być odbudowany w nowoczesnej formie, jako wspólnota białorusko-litewsko-polska i kilku pomniejszych narodowości autochtonicznych, pozostająca w jakimś bliższym, niż tylko dobrosąsiedzkim stosunku z Państwem Polskim. Wydawała mi się ta koncepcja zgodna z tradycją historyczną i pożyteczna dla wszystkich mieszkańców tego obszaru.

Przemyśliwaliśmy z moimi politycznymi przyjaciółmi w końcowym okresie I-ej wojny światowej i Litwy Środkowej różne sposoby rozwiązania tego skomplikowanego zagadnienia, na ogół idące po linii I-szego projektu Hymansa (który zresztą zrodził się w Wilnie i, przeszedłszy różne warianty i stadia, wypłynął w Brukseli w roku 1921 na konferencji polsko-litewskiej pod egidą Ligi Narodów). W debatach wileńsko-warszawskich nad zagadnieniem polsko-litewskim (klucz do zagadnienia białoruskiego odpadł z chwilą utraty Mińska i podpisania preliminarzów pokoju ryskiego w październiku 1920) następowały się dwie dodatkowe trudności: 1) wyodrębnienie ludności żydowskiej, jako

czwartej autochtonicznej grupy narodowościowej i 2) stworzenie gwarancji dla strony litewskiej, zapobiegających dalszemu szerzeniu się języka i kultury polskiej na terenie etnicznie litewskim. Rozumiano bowiem po stronie polskiej, że w odbudowującym się Państwie Polskim tendencje nacjonalistyczne, wyrażone w memoriałach i projektach granic wschodnich składanych przez Dmowskiego na konferencji pokojowej w Paryżu, będą miały dużą wagę polityczną w kraju i mogą wpaść porozumienie polsko-litewskie zniweczyć w zarodku. Ze względu na stan opinii polskiej obydwie te klauzule nie zostały włączone do tekstów, które wędrowały z Wilna do Warszawy — i dalej do Brukseli.

Oczywiście, koncepcja zawarta w projekcie Hymansa mogła odbyć tę długą drogę tylko dzięki niepisanej aprobach Naczelnika Państwa. Piłsudski był również tym, który doradzał, nawet nastawał, by włączonemu do Polski na podstawie uchwały Sejmu Wileńskiego obszarowi nadać autonomię. Tkwiła w tym myśl stworzenia sytuacji, w której rozdzielone części dawnego W. X. Litewskiego mogłyby w przyszłości we własnym interesie dojść do porozumienia. Projekty Hymansa odrzucili Litwini w Kownie, projekt Statutu Autonomicznego Wileńszczyzny włożyli pod sukno Polacy w Warszawie. Obydwie strony uległy pokusom nacjonalistycznego patriotyzmu. Ale żaden rząd polski nie mógł, nie chcąc być obalonym natychmiast, oddać tego terytorium wprost Litwie *narodowej* już z tego jednego powodu, że większość jego ludności niewątpliwie była temu zawzięcie przeciwna. Byłem dość blisko tych spraw i co do stanowiska Piłsudskiego wobec Litwy i jej państwowej i kulturalnej odrębności jestem jednym z nielicznych już *świadków historii*.



W liście p. Dainauskasa zdumiewa dynamika emocji spowodowanych wydarzeniami sprzed 50 przeszło lat! Emocji złych, gniewnych, nienawistnych — jakby to wszystko działo się wczoraj. Jak gdyby Litwa nie zrealizowała w międzyczasie swojego głównego dążenia do narodowego zjednoczenia, do odzyskania stolicy! A historycy litewscy — być może nie wszyscy — gdy się czyta ich dzieła, robią na czytelniku wrażenie identyfikowania Litwinów historycznych z Litwinami narodowymi: Adama Czartoryskiego, Szymona Konarskiego, Mickiewicza — z Kudirką, Ciurlonisem, Antanasem Smetoną! Jakże by się dziwili trzej pierwsi, gdyby, obudziwszy się nagle ze swego snu wiecznego, stanęli przed wyborem: określić się jako Litwini narodowi, albo jako „Polacy z opcji”, — a w tym ostatnim wypadku wyrzec się prawa dyskusji z prawdziwymi Litwinami.

„Za dużo uez i krwi przelano tam, ażeby tak łatwo Litwini dali wiarę dzisiaj głoszonemu słowom o potrzebie dialogu...” — pisze w końcu swego listu p. Dainauskas. Tak, i Polacy i Litwini przelewali w bratobójczych *przymusowych* walkach krew swoich rodaków, jako żołnierze w wojnach swoich zaborców. A w latach

1919-1921 rzeczywiście spłynęło na tę ziemię w krótkich starciach wojennych nieco krwi i litewskiej i polskiej. Ale te potyczki polsko-litewskie były tylko peryferyjnymi, incydentalnymi, w starciu zbrojnym dwóch wielkich koncepcji politycznych, z których każda miała nadać inną treść i kształt wschodniej Europie: koncepcji Lenina podboju wschodniej i środkowej Europy przez komunistyczną Rosję, — i koncepcji Piłsudskiego systemu wolnych narodów, powiązanych w dobrowolne związki i tworzących dostateczną siłę dla oparcia się dalszym próbom ofensywnym zaborczego imperium komunistycznego. I Polska i Litwa sprawą Wilna przesłoniły sobie emocjonalnie całokształt sprawy polsko-litewskiej, jako części składowej tej koncepcji. Piłsudski rozgrywkę politycznie przegrał w zwycięskim — jak się ludziom dotąd zdaje — pokoju ryskim, nie znalazłszy dostatecznego poparcia w narodach, które chciał wyzwolić, jak również zrozumienia oraz siły i energii w narodzie własnym. Tak się przedstawia z perspektywy historycznej tło ogólne, na którym sprawa polsko-litewska była drobnym choć ważnym fragmentem. Historia ustala i ocenia wypadki pod kątem ich celów i skutków politycznych gospodarczych, socjalnych, nie zajmuje się natomiast wartościowaniem ich emocjonalnym i moralnym. I jeżeli p. Dai-nauskas w pół wieku po wydarzeniach pisze, że „Piłsudski... walczył zbrojnie o to, ażeby Litwę Kowieńską... włączyć w Polskę, a Litwinów... przerobić nareszcie w całości na Polaków” — to wystawia sobie świadectwo nie historyka lecz rzecznika jednostronnej propagandy.



Minęło kilkanaście lat od chwili rozstrzygnięcia przez instancje międzynarodowe sprawy granicy polsko-litewskiej, odrzucenia tej decyzji przez Litwę i zupełnego zerwania stosunków z Państwem Polskim. Granica zamarła, przecinając ją drogi zarosły zielskiem, krzewami i obcością ludzi po obu stronach. Mający rodziny po przeciwnej stronie zaczęli jeździć za przepustkami okólną drogą przez Gdańsk i Królewiec lub przez Dyneburg i Rygę.

Odbywałem tę podróż prawie co roku, by odwiedzić matkę i rodzeństwo i z przyjemnością oglądałem postęp gospodarczy i cywilizacyjny kraju szczęśliwego dzieciństwa i wczesnej młodości. Lekkim zgrzytem przy tych odwiedzinach były słyszane często szykany władz miejscowych względem jakiegokolwiek polskiej aktywności. Byłem w owym okresie redaktorem *Kuriera Wileńskiego*. Toczyliśmy często bezpłodne polemiki z prasą litewską w Wilnie i Kownie. Było to przelewanie z pustego w próżne. Ale nierzadko stawało moje pismo w obronie miejscowych Litwinów przed represyjnymi zarządzeniami władz polskich, tak jak czyniłem to w analogicznych wypadkach *vice versa* na szpaltach swego pisma wobec władz litewskich w Litwie. Nawiasem mówiąc, otrzymałem przed kilku tygodniami list z Krakowa od przybyłego tam Litwina, który, po przeszło 40 latach, wyraża mi

niewygastłą wdzięczność za obronę przed odmową mu przez władze miejscowe w Wilnie prawa azylu. (Nazwiska nie mogę ujawnić, gdyż mój korespondent mieszka w granicach Związku Sowieckiego).

Niedługo po oficjalnym zerwaniu stosunków, zaczęły się nieoficjalne rozmowy polsko-litewskie, bezpłodne i tajemnicze, a w Wilnie zmieniali się wojewodowie z początkowych „Polaków z opcji” na Polaków z Korony, coraz mniej obytych z problemem litewskim, który istnieć nie przestał. Popierałem jak mogłem te rozmowy, przeciwdziałając, jak umiałem, administracyjnej fuzszerce. Po traktacie polsko-niemieckim z 1934 roku Polska w oczach Litwinów nabrała waloru, i w latach 1937/38 zaświtała szansa porozumienia. Wskutek kunktatorstwa strony litewskiej, w obawie przed własną urabianą opinią, Beck — chcąc wykorzystać dogodną koniunkturę i błysnąć efektownym posunięciem na dyplomatycznej szachownicy — zastosował słynne lecz niepotrzebne ultimatum z 17 marca 1938 roku.

Po chwilowym wstrząsie, stosunki zaczęły się układać poprawnie. Miałem wrażenie, że pomiędzy społeczeństwami, polskim i litewskim, nie ma głębszej urazy. Półtora roku później, władze i społeczeństwo litewskie życzliwie odniosły się do licznych uchodźców polskich, którzy we wrześniu napłynęli na terytorium Litwy. Zupełnie inną była polityka władz litewskich po przejściu Wilna z rąk sowieckich w listopadzie 1939 roku.

Rozpoczęło się systematyczne usuwanie wszelkich cech i oznak wielowiekowej kultury polskiej Wilna. Z inicjatywy demokratów polskich i litewskich powstała Komisja parytetowa dla omówienia układu stosunków w nowej sytuacji. Wszedłem do niej do pary z Michałem Birżyšką. Na jednym z takich zebrań, w maju 1940 roku, usłyszeliśmy od oficjalnego przedstawiciela litewskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, p. Čečety, że mamy do wyboru: przyjąć narodowość, oraz młodą i prężną ludową kulturę litewską zamiast starej i obcej kultury szlacheckiej, — albo uznać się za obcych mieszkańców Litwy na prawach międzynarodowego statutu narodowych mniejszości. Zanim zdążyliśmy odpowiedzieć na tę propozycję, wojska sowieckie zajęły Litwę, a p. Diekanozow przyjechał z Moskwy reformować jej ustrój. Wkrótce opuściłem kraj rodzinny — jak się okazało — na zawsze.

Takim jest mój rejestr przewinień wobec Litwy. Nie mam powodu wyrzekać się ich, ani bić się w piersi. Jako członek rodu pochodzenia nielitewskiego, ale osiadłego na Litwie od 250 lat, przypisuję sobie prawo uważać ją za swoją najbliższą ojczyznę, interesować się jej losem i być do niej przywiązany, mimo 35 lat rozłąki. I to wszystko, nie zmieniając przynależności do polskiej narodowości i kultury, ani nie wykreślając z pamięci i serca tradycji rodzinnej, a wraz z nią udziału moich przodków w walkach o niepodległość Rzeczypospolitej (ostatnim był stryj mój, Józef, który w bitwie pod Madejkami w roku 1863 padł obok naczelnego dowódcy powstania na Litwie Zygmunta Siera-

kowskiego). Mój stosunek do tego kraju podziela syn, tam urodzony i wychowany, natomiast mój wnuk już nie ma — jak mi się zdaje — uczuciowego stosunku do nieznanego mu kraju swoich przodków, chociaż szanuje uczucia swego dziadka.



Na problem polsko-litewski, jego dzieje w XX wieku, a zwłaszcza na jego kryzys w latach 1918-1922, trzeba już patrzeć z perspektywy historycznej. Jest to okres zamknięty i bezpośredniego dalszego jego ciągu nie będzie. Rozdawnictwo patentów za zasługi i wyroków za przewinienia lepiej jest pozostawić przyszłym pokoleniom. Pierwsze nowe powojenne pokolenie Polaków i Litwinów wyrosło już w ich obecnych ojczyznach lub na emigracji. Nie mam wiele okazji do obserwacji ich wzajemnego zainteresowania, ale sądzę, że Miłosz ma rację, przypuszczając, że jest ono niewielkie. Dla nowej Polski sprawa litewska odeszła na plan daleki, a nie będąc panami swoich losów, obydwie narody, sąsiadujące obecnie na bardzo małym odcinku granicy, niewielki mają za sobą kontakt. Zostawmy więc temu nowemu, albo pierwszemu wolnemu pokoleniu ułożenie wzajemnych stosunków — jeżeli będą chciały — według ich potrzeb i wyobrażeń. Swymi gorzkimi rekryminacjami nie zachmurzajmy jeszcze bardziej ich i tak smętnych horyzontów. Sądzę, że można zaufać *common sense*owi tych litewskich pokoleń, że dzieła cywilizacyjnego i artystycznego, pozostawionego na terytorium Litwy przez Litwinów historycznych, nie uczynią ofiarą odwetu za przewinienia „Polaków z opcji”.

Kazimierz OKULICZ



Chicago, Ill., 15 grudnia 1975.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Z prawdziwym zdziwieniem i ubolewaniem przeczytałam w Nrze 10/337 na str. 120-121 *Kultury* artykuł „Zgrzytliwe echo przeszłości” z podpisem „Redakcja” (!). Po głęboko humanistycznych słowach Juliusza Mieroszewskiego na łamach tegoż pisma, ta odezwa odnowiła stare, już gojące się rany stosunków polsko-litewskich i jest powrotem do byłego szowinizmu.

Dziwne to, że pan Žagiell stale polemizuje z mało czytaną gazetą *Tėviškės žiburiai*, w której od czasu do czasu drukują się korespondencje o naszym życiu społecznym nie nieznających prowincjonalnych autorów. Trudno zapomnieć krzywdy, jakich Wileńscy Litwini doznali od administracji polskiej w czasie jej rządów.

Dr Zenonas Ivinskis nie był jedynym, który wyrażał opinię, iż czas jest obustronnie nie przypominać dawnych krzywd. Większość inteligencji i w kraju, i na emigracji, jest tegoż zdania. Więc lepiej byłoby, żeby pan Žagiell śledził poważniejszą prasę litewską, jak to *Metmenys*, *Aidai*, *Sėja*, nawet popularny dziennik *Draugas*. Tu nie ma wypadów antypolskich. Co prawda, przedstawiciele naszej młodszej emigracji już nie znają polskiego

języka i polskiej prasy nie czytają. Tym bardziej nie czują już nienawiści do Polaków, jaka była za czasów niepodległości. Z drugiej zaś strony ciągle się czyta w prasie polskiej o unii, o „Polskich kresach wschodnich” (np. „Wędrownica po Ziemiach Wschodnich Rzeczypospolitej” J. Mękarskiej, Londyn, 1966). Na to nasza prasa nawet nie reaguje, bo rozumiemy, iż tylko jedność pogrzebionych przez Rosję narodów może oprzeć się straszemu okupantowi.

Mam nadzieję, że takie poważne pismo jak *Kultura* uwzględni sytuację i nie da więcej takich artykułów, które tylko szkodzą naszej wspólnej sprawie.

Proszę przyjąć wyrazy prawdziwego szacunku i poważania,

Dr Vanda DAUGIRDAITE-SRUOGIENE

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 257 — MARIA DANILEWICZ ZIELIŃSKA

BIBLIOGRAFIA

„KULTURA” (1958-1973)

„ZESZYTY HISTORYCZNE” (1962-1973)

DZIAŁALNOŚĆ WYDAWNICZA (1959-1973)

Dawno zapowiadana *Bibliografia* zawartości treści „KULTURY” i „ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH” oraz DZIAŁALNOŚĆ WYDAWNICZA DO ROKU 1973 włącznie.

Str. 432.

Cena F. 75.

Przypominamy Czytelnikom, że Bibliografia za okres 1947-1957 opracowana przez Jana KOWALIKĄ ukazała się w roku 1959. Posiadamy ją jeszcze na składzie. Cena egz. F. 15.

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

W poprzednim przeglądzie mówiłem o czeskim „kapitanie Czechowiczu”, którego sukcesom *Prawda* poświęciła aż trzy kolejne numery, i — trochę lekceważąco — bijąc się w piersi — dodałem: „drugi sowiecki kapitan Czechowicz”. Widocznie obrażony takim brakiem zainteresowania, sowiecki kapitan Czechowicz — który obecnie podpisuje się Jurij Marin — rozwinął niebywale ożywioną działalność: ogromny artykuł w *Literaturnej Gazecie* (Nr 4) pod żartobliwym tytułem „Radio 'Swoboda': kto jest kto i co jest czym”, jeszcze bardziej długi wywiad w dodatku do rządowej gazety *Izwestia-Niedziela* (Nr 7). Biografia Jurija Marina jest szablonem dla wszystkich „Czechowiczów”: skończył szkołę średnią, później Nauczycielski Instytut Języków Obcych, był dziennikarzem, miał stopień kapitana... (myślę że dzisiaj można już po prostu mówić „kapitan” a dla wszystkich będzie jasne, że to tajny agent KGB). Tak samo standartowe są wiadomości które Marin ujawnia udając, że odkrywa niezmiernie wagi tajemnice państwowe, — jak na przykład nazwiska pracowników Radia „Swoboda”. Kiedy bohaterowi powieści Ilfa i Pietrowa „Dwanaście krzesel”, wielkiemu aferzyście Ostapowi Benderowi, zachwalają farbę do włosów, mówiąc że pochodzi z kontrabandy, Ostap kompetentnie oświadcza: cała kontrabanda jest wyrabiana w Odessie na ulicy Mała Arnaucka. Podobnie wszystkie informacje „kapitanów” są opracowywane w Moskwie na placu Dzierżyńskiego i dlatego zresztą są interesujące, gdyż pokazują kolejne nastawienie działalności KGB.

Sądząc z informacji kapitana Marina, — myślę, że dzisiaj można to powiedzieć nie obawiając się oskarżenia o brak skromności — do liczby głównych wrogów Związku Sowieckiego i jego polityki: bezwzględnej walki o pokój — zalicza się paryska *Kultura*. „Pismo reakcyjnej polskiej emigracji” — jak z wrodzoną sobie, wojskową precyzją mówi kapitan Marin, *Kultura* została zaszczyczona wprowadzeniem w zespół straszego antysowieckie-

go tercetu: syjonizm, amerykański wywiad CIA i maoizm. Tak że dzisiaj, razem z *Kulturą*, mamy już kwartet. Wywiad z Marinem zamieszczono, jak wspomniałem, w numerze 7-ym *Niedzieli* (nakład 8.000.000), ale już w poprzednim numerze, poświęconym syjonizmowi i jego podstępny planom przechwycenia władzy nad światem, *Kultura* jest wspomniana jako ważne ogniwo w łańcuchu wrogów otaczających pokojowe sowieckie państwo. Czytelnik (całe 8 milionów czytelników) był w ten sposób przygotowany do szpiegowskiego romansu, ogłoszonego następnie w tym piśmie.

Był okres kiedy sowieckim szpiegom powodziło się źle: mogli ich powiesić, jak to zrobili Japończycy z Richardem Sorge, mogli aresztować, jak to zrobili Anglicy z Łonowym i wtedy należało czekać kolejnej wymiany. Dzisiaj kapitanowi Marinowi wystarczy wsiąść w samolot Monachium-Moskwa i jest on już przy rodzimym pomniku Feliksa Dzierżyńskiego. I właśnie ten szpieg ze wszystkimi wygodami wydostaje ważne informacje. Odbywa się to tak: „Pewnego razu w serdecznej rozmowie przy filiżance kawy z jednym z czołowych współpracowników 'Swobody'...”. Tak więc przy filiżance kawy — płacił naturalnie rozmówca — dowiaduje się kapitan Marin o istnieniu w Paryżu tajnego biura CIA, kierowanego przez Mr. Ralisa. W nawiasach kapitan Marin dodaje: prawdziwe jego nazwisko — Mark Izrael, aluzja zupełnie zrozumiała dla każdego z 8 milionów czytelników *Niedzieli*.

I to biuro, jak się dowiedział ze „szczerej rozmowy” sowiecki agent, zbiera „szpiegowskie informacje o ZSSR”, wykorzystując przede wszystkim „syjonistyczną organizację we Francji”, potem białych emigrantów, „niektórych odszczepieńców” którzy wyjechali z ZSSR, a także poszczególnych francuskich obywateli. Na liście „szpiegów” znajduje się profesor Sorbony, korespondent francuskiego dziennika *Le Monde* — Michel Tatu (nawiasem mówiąc od dawna nie jest on już korespondentem pisma ale kierownikiem jego działu zagranicznego), ale także „były sowiecki obywatel Michaił Heller, który przeskoczył na Zachód i który aktywnie występuje na szpaltach pisma reakcyjnej polskiej emigracji *Kultura* z brudnymi antysowieckimi paszkwilami”. Dziwne to niewątpliwie usłyszeć słowo „brudny” od płatnego agenta KGB, sprzedającego informacje otrzymane w czasie „serdecznej rozmowy”, ale w każdym razie szereg artykułów Michaiła Hellera ukazał się rzeczywiście w *Kulturze* i czytelnicy pisma mogą wyrobić sobie o nich własne zdanie. Ale na przykład o francuskim profesorze Sorbony kapitan Marin beczelnie powiada: „Ralis wielokrotnie wysyłał go ze specjalnymi zadaniami do Związku Sowieckiego”. W „Jednym dniu Iwana Denisowicza” A. Solżenicyn pisze, że bohater powieści, Iwan Szuchow, uciekł z niewoli, był aresztowany przez czekistów i sędzia śledczy zmusił go do przyznania że: „poddął się chcąc zdradzić ojczyznę, a wrócił z niewoli jedynie dlatego, żeby wykonać zadanie wywiadu niemieckiego”. Ale jakie to zadanie to ani Szuchow, ani sędzia śledczy nie mogli wymyśleć. Tak więc po prostu zostawili — zadanie.

I kapitan Marin po 30-ciu latach postępuje w ten sam sposób pisząc po prostu „specjane zadanie” wiedząc, że na stronach *Niedzieli* może całkiem bezkarnie kłamać, tak jak w swoim czasie śledczy SMIERSZ'a.

Mówią, że morderców nieodparcie ciągnie do miejsca zbrodni, a kłamców — aby choć raz w życiu powiedzieć prawdę. W artykule ogłoszonym w *Litertaturnej Gazecie* kapitan Marin przeżył się: „Nie można wierzyć ani jednemu człowiekowi, występującemu na falach 'Swobody' nawet jego nazwisku, gdyż nazwisko to jest fałszywe”. I dodaje: „Oświadczam to z całkowitym przekonaniem na podstawie własnego doświadczenia”. Marin ma niewątpliwie prawo, aby tak mówić — przez 7 lat pracował w „Swobodzie”. Tym razem — ale tylko tym razem — możemy mu uwierzyć.



Luty 1976 roku był miesiącem bogatym w wydarzenia. Mam na myśli nie tylko rewelacje kapitana Marina przekazane narodowi 'sowieckiemu'. Dwa zjazdy pochłaniały uwagę sowieckiej prasy. Pierwszy miał miejsce w Brukseli i nazywał się 2-gą Międzynarodową Konferencją Żydowskich Wspólnot. Prasa sowiecka mówiła o nim nie inaczej jak o „Syjonistycznym sabacie”. W czasie trwania konferencji sowieckie pisma, radio, telewizja — dosłownie oszalały: artykuły, listy, literackie i publicystyczne audycje, w tej liczbie z udziałem „pożytecznych Żydów”, demaskujących syjonizm. Jeśli by jakiś gość z Kosmosu mógł zapoznać się z produkcją sowieckich *mass media*, to doszedłby do przekonania, że ZSSR znajduje się w przededniu agresji syjonistycznych sił. Dwa utwory — artystyczne jeśli tak można je nazwać — ilustrują światopogląd sowieckich propagandystów w połowie lutego. Pismo *Niedziela* (Nr 6) w tym samym numerze, w którym *Kultura* stała się członkiem kwartetu głównych wrogów ZSSR — zamieściła rysunek, który bez żadnych zmian (brak tylko podpisu) mógłby być w *Stürmerze*: straszna morda z wyciągniętymi szponami stara się uchwycić kulę ziemską. Na dłoniach tych szponiastych palców — aby nie było nieporozumienia — umieszczono sześcioramienną gwiazdę. W tych samych dniach ukazał się nowy sowiecki film „Wybór celu” o twórcach sowieckiej pokojowej bomby atomowej. Film zaczyna się od symbolicznej sceny: Koniec wojny, sowiecki sierżant wyławia z Elby wielki globus i zarzuca go sobie na plecy. Sowiecki Atlas ratujący kulę ziemską. I właśnie dzisiaj po ten sam globus sięgają brudne syjonistyczne łapy. Jest więc powód do oburzenia.

Ale syjonistyczne niebezpieczeństwo chwilowo minęło. Globus znajduje się w pewnych rękach sowieckiego sierżanta (dziś jest on już zapewne kapitanem!). I można było otworzyć zjazd KPZS. Od 25 lutego, kiedy został ogłoszony referat Leonida Breżniewa, zajmujący sześć bitych, ogromnych płacht gazetowych, cała sowiecka prasa w ciągu 10 dni była wypełniona materiałami zjazdowymi.

L. Breżniew rozpoczął swój referat od problematyki międzynarodowej i mówił o niej przez dwie godziny. Taki wstęp jest zrozumiały: w tej dziedzinie generalny sekretarz KPZS mógł mówić o sukcesach: zwycięstwo w Wietnamie, potem Laos i Kambodża, potem Afryka. „Weźcie — zaproponował referent — ludową republikę Angolę... Walka Angoli w obronie swojej niepodległości znalazła poparcie sił postępowych w całym świecie... I dlatego — zwyciężyła”. Breżniew nie opuścił ani jednego zakątka kuli ziemskiej — od Cypru do Gwinei, od bliskiego Wschodu do Pakistanu — wszędzie są interesy sowieckie, wszędzie ZSSR prowadzi walkę „o pokój”, o odprężenie. Breżniew zaapelował by w przyszłym kolejnym pięcioleciu prowadzić „politykę pokojową” ze zdwojoną energią. I natychmiast wyjaśnił co to ma oznaczać: „Nasza partia udziela i będzie udzielać pomocy narodom, które walczą o swoją wolność”, „odprężenie w żadnej mierze nie zmienia i nie może zmienić praw walki klasowej”. Breżniew mówi najbardziej szczerze: „My nie ukrywamy, że w odprężeniu widzimy drogę do stworzenia odpowiedniejszych warunków pokojowego, socjalistycznego i komunistycznego ustroju”, to jest pokojowego wprowadzenia w innych krajach socjalizmu i komunizmu.

Szczerłość Breżniewa może wydawać się przesadna, ale okazuje się, że Zachód nie wierzy Generalnemu Sekretarzowi. Londyński tygodnik *Observer* zatytułował wstępny artykuł, poświęcony referatowi — „Breżniew ma rację”. Zdaniem angielskiego liberalnego tygodnika Breżniew ma rację, trzeba ze zdwojoną energią walczyć o odprężenie, pomagając jak można Breżniewowi dla ogólnego dobra.

Może to wydawać się dziwne, ale o świecie kapitalistycznym Breżniew wyraził się jak najbardziej życzliwie: Stosunki ze wszystkimi układają się znakomicie, dobrze, lub w najgorszym wypadku pomyślnie. Gorzej wyglądają sprawy ze „swoimi”. A przede wszystkim z Chinami. Breżniew poruszył ten temat w następujących słowach: „Oddzielnie i osobno przedstawia się niewątpliwie problem stosunków z Chinami”. Zakończył zaś słowami: „Teraz już mało jest powiedzieć, że ideologia i polityka Mao są nie do pogodzenia z marksistowsko-leninowską nauką. Są one po prostu jej wrogiem”. Po tych słowach tylko raz jeden w tekście dodano uwagę w nawiasach: Głosy z sali — „Rzeczywiście”.

W formie bardziej zawołowanej, ale całkowicie niedwuznacznej Breżniew wyraził niezadowolenie z taktycznych manewrów zachodnio-europejskich kompartii: francuskiej, włoskiej i hiszpańskiej. „Można z całym przekonaniem powiedzieć — pouczał Breżniew — że jeśli oportunizm da jakiegokolwiek tymczasowe korzyści, to w ostatecznym obrachunku będzie to szkodliwe dla partii”. Generalny Sekretarz specjalnie podkreślał „znaczenie w naszych czasach proletariackiego internacjonalizmu”, to jest wierności wobec Związku Sowieckiego. „Z naszego punktu widzenia — przestrzegali — zrezygnowanie z proletariackiego interna-

cjonalizmu oznaczałoby pozbawienie kompartii i w ogóle ruchu robotniczego, potężnego i doświadczonego oręża".

Podkreślając, że KPZS pamięta o oddanych jej bojownikach Breżniew zaproponował postawienie w Moskwie „pomnika ku pamięci bohaterów międzynarodowego komunistycznego i robotniczego ruchu... którzy padli z rąk wroga klasowego”. Można przypuszczać, że ten pomnik stanie na tym samym miejscu, na którym miał stanąć zaproponowany 15 lat temu przez innego referenta i innego sekretarza KC, Nikitę Chruszczowa, pomnik dla komunistów, którzy zginęli z rąk Stalina.

Po polityce zagranicznej, w której było tak dużo sukcesów, trzeba było powrócić do polityki wewnętrznej, w której osiągnąć było już znacznie mniej. Wstęp do tej części referatu był, ma się rozumieć, brawurowy: „9-ta *piatiletka* nie ma sobie równych”, ale dodano „w stosunku absolutnego wzrostu”, to znaczy jeśli się oblicza w cyfrach absolutnych. Gdy Breżniew przeszedł do cyfr konkretnych, powody do zachwyty zniknęły. Katastrofa w gospodarstwie wiejskim, skandaliczna jakość produkcji, niewykonanie planu przez wiele ministerstw. I nawet tam, gdzie zdawałoby się, że jest sukces: pierwsze miejsce w świecie w produkcji stali, w wydobyciu ropy czy bogactw mineralnych, przy bliższym przyjrzeniu się okazało się, że sukces jest pustą cyfrą. Z roku na rok zwiększa się wytapianie stali, ale konsumentowi w ostatecznym rozrachunku potrzebna jest nie stal, ale konkretne z niej wyroby. Tak samo zwiększenie produkcji ropy mało daje, jeśli znaczna część jest spalana pod postacią mazutu. Niski poziom produkowanych towarów likwiduje wszystkie osiągnięcia w cyfrach absolutnych. Sekretarz KC Gruzji, Szewarnadze, występując na zjeździe kompartii Gruzji, dał jeszcze przed referatem Breżniewa doskonały do niego komentarz. Szewarnadze powiedział to, czego Breżniew nie zdecydował się powiedzieć z trybuny kremłowskiej. Sprawozdanie gruzińskiego sekretarza ogłoszone w tyfliskiej *Zorii Wostoka* (23 stycznia br.) było przeznaczone jedynie do miejscowego użytku.

Oto co mówił Szewarnadze o jakości: „Co czwarty wyrób masowego spożycia jest nieodpowiedniej jakości”. Sekretarz retorycznie zapytywał: „Dla kogo produkujemy tak małowartościowe towary? Jeśli dla naszych ludzi, jeżeli dla naszego pracującego narodu, to nie przynosi to nam zaszczytu. Jeśli dla krajów kapitalistycznych to... kapitaliści nie są już tak głupi, aby zakupywać u nas małowartościową i nie znajdującą u nich zbytu produkcję”. (Można przypuszczać, że małowartościowa produkcja znajduje zbyt w krajach obozu socjalistycznego, gdzie biorą ją z poczucia międzynarodowego proletariackiego internacjonalizmu).

Breżniew mówił o sukcesach budownictwa mieszkaniowego. Szewarnadze podał cyfry: „Na każde 10.000 mieszkańców w ciągu czterech lat 9-tej *piatiletki* w Gruzji corocznie budowało się przeciętnie 50 mieszkań, w skali związkowej — 91 mieszkań”. W Gruzji sprawa z budownictwem mieszkaniowym wygląda źle, ale czyż można mówić o sukcesach w całym Związku jeśli na 10.000

ludzi przypada 91 mieszkań (a o ich jakości nie warto nawet wspominać). Breżniew oświadcza, że w nowej *piatiletce* na gospodarstwo wiejskie asygnuje się 172 miliardy rubli, a Szewarnadze przyznaje się: „Za każdego rubla włożonego w nasze gospodarstwo wiejskie otrzymujemy 39 kopiejek w charakterze zwrotu”.

Po raz pierwszy podano do wiadomości, że w nowej *piatiletce* „tempo wzrostu produkcji jest kalkulowane nieco niżej niż w 9-tej *piatiletce*”.

Jak zawsze oświadcza się, że tempo wzrostu rozwoju ciężkiego przemysłu będzie znacznie wyższe od tempa wzrostu grupy B, to jest towarów masowego użytku.

Akademik A. Sacharow odpowiadając następnego dnia po referacie Breżniewa na pytania korespondenta prasy włoskiej podkreślił, że „9-ta *piatiletka* zakończyła się poważną przegraną” przy czym powody trudności Sacharow widzi nie w meteorologii, a w „głębokich i stałych faktorach charakteru politycznego”. Reformy potrzebne są bardziej niż kiedykolwiek, ale według słów Sacharowa kierownictwo kraju „boi się ich jak diabeł święconej wody”. W referacie Breżniewa panuje — tak to określił Sacharow — „stary dogmatyzm, nietolerancja i dwulicowość aparatu partyjnego”.

Zjazd zakończył się potwierdzeniem solidności pozycji Breżniewa. Wszyscy zachodni polityczni działacze, wszyscy sowietolodzy, którzy na przestrzeni ostatnich lat domagali się ustępstw dla generalnego Sekretarza gdyż „w przeciwnym wypadku na jego miejsce przyjdą jastrzębie”, mogą być zadowoleni. Breżniewowi nikt nie zagraża. Co prawda o ulubionym dziecięciu — konstytucji, nad którą Generalny Sekretarz pracuje już ponad 10 lat — jak się wyraził: „bez pośpiechu” (bardzo by się już chciało wejść do historii jako autor „breżniewowskiej konstytucji”, która by zastąpiła aktualną „stalinowską”) — nikt w dyskusji nie wspominał. Natomiast do kierowniczych organów partii weszli jedynie wierni Breżniewowi ludzie a wyrzucono z Politbiura Dymitra Polanskiego, którego uznano za odpowiedzialnego za katastrofę rolniczą. Nie został wybrany do KC „żelazny Szurik” Szelepin, który w ten sposób zakończył swoją karierę.

Do politbiura weszli sekretarz leningradzkiego komitetu partii — Grigorij Romanow i specjalista w dziedzinie uzbrojenia i kosmonautyki Dmitrij Ustinow, który był przy Stalinie ministrem uzbrojenia. Kandydatem na członka politbiura został wybrany pierwszy sekretarz KC Azerbejdżanu Alijew, który w ciągu ostatnich lat zrobił świetną karierę — od ministra KGB Azerbejdżanu do politbiura KC KPZS. Wybranie Alijewa jest przykładem ogólnej tendencji ostatnich czasów: na zjazdach republikańskich kompartii, które miały miejsce przed XXV-tym Zjazdem, do licznych politbiur weszli ministrowie republikańskich KGB. Są oni obecnie reprezentowani w politbiurach Mołdawii, Ukrainy, Azerbejdżanu, Białorusi, Tadżykistanu. W Kazachstanie, w Litwie i w Uzbekistanie ministrowie KGB zostali wprowadzeni jako kandydaci na członków politbiur. Można powiedzieć więc, że na-

stępuje zlanie aparatu partii z KGB. Breżniew specjalnie podkreślił działalność „organów” zaznaczając: „Nasi cześciści chronią i rozwijają tradycje stworzone przez rycerza rewolucji, Feliksa Dzierżyńskiego”.

Pochwała cześciistów i wzywanie do czujności, które zajmowały poważne miejsce w referacie Breżniewa, znalazły żywy odzew u wszystkich występujących w dyskusji. Specjalnie dobrze zrozumiał apel Generalnego Sekretarza KC przewodniczący Związku Kompozytorów ZSSR — Tichon Chrennikow, który przestrzegł wszystkich uczestników zjazdu (5.000 osób) oraz wszystkich obywateli ZSSR (250.000.000) o niebezpieczeństwie zagrażającym światu ze strony „syjonizmu, oportunistów, maoizmu i modernistycznej muzyki”.

Adam KRUCZEK

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 260 — ANDRIEJ SACHAROW

MÓJ KRAJ I ŚWIAT

Przełożył z rosyjskiego
MICHAŁ KANIOWSKI

POSŁOWIE LESZKA KOŁAKOWSKIEGO

Str. 92.

Cena F. 22,00.



TOM 261 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT TRZYDZIESTY PIĄTY

Zawiera m.in. prace: P. Wandycz: *MSZ w okresie międzywojennym*; B. Łokaj: *Likwidacja Polskich Sił Zbrojnych 1945-1946*; J. Garliński: *W poszukiwaniu niemieckich tajnych broni*; B. Miedziński: *Moje wspomnienia* (3); J. Jaklicz: *Żołnierz 2-giej Rzeczypospolitej*; R. A. Woytak: *Wywiad z litewskim Wodzem Naczelnym, gen. Stasys'em Raštikis'em wraz z Uwagami K. Okulicza*; D. Desanti: *Polska... początek wszystkiego* oraz Działy RECENZJE, LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240.

Cena F. 25)\$ USA 6,75).

Sprawy i troski

Późne refleksje po Kopenhadze

W dniach 15-19 października 1975 roku miało miejsce w Kopenhadze, w gmachu parlamentu, „Przesłuchanie im. Sacharowa”, które zostało zorganizowane przez zwolenników sławnego fizyka rosyjskiego, laureata nagrody Nobla oraz konstruktora pierwszej bomby wodorowej, Andrieja Sacharowa, a pod patronatem dużego komitetu międzynarodowego, do którego weszło m.in. trzech byłych premierów (Danii, Holandii i Kanady). Celem przesłuchania było przede wszystkim zorientowanie się w jakim stopniu elementarne prawa obywatelskie oraz elementarne zasady humanizmu są naruszane w Związku Sowieckim. Przy organizowaniu tego przesłuchania dużo bezinteresownej pracy włożyli również zamieszkali w Danii emigranci z Polski z okresu 1968 roku.

Świadcami byli przeważnie ludzie, którzy opuścili Związek Sowiecki w ciągu ostatnich kilku lat. Pytania mogły być zadawane tylko przez członków „panel'u”, wśród których byli: jeden Węgier (Esterhazy — przewodniczący), jeden Rumun (Eug. Ionesco, członek Akademii Francuskiej), jeden Żyd (Szymon Wiesenthal, sławny tropiciel zbrodniarzy hitlerowskich), dwóch Norwegów, jeden Szwed, jedna Niemka, jeden Anglik, jeden Duńczyk (prof. Erling Bjøl, jeden z przywódców duńskiej socjalnej demokracji), dwóch Polaków (mec. Stypułkowski i niżej podpisany), jedna Rosjanka (ks. Zinaida Szachowska, redaktorka *Russkoj Mysli*), jeden Litwin (prof. A. Sztromas, który był najbardziej chyba czynnym członkiem „panel'u” jako ekspert od prawa sowieckiego), oraz kilku przedstawicieli duńskich partii politycznych, których formalna rola nie była zbyt jasna, gdyż mieli prawa członków badającego „panel'u” jeżeli chodzi o zadawanie pytań, nie podpisali jednak ostatecznych zaleceń, aby nie

angażować swoich partii. Rozprawom przewodniczył sędzia Sądu Najwyższego Danii — Thyregod.

Sprawa Katynia

Przesłuchanie świadków było poprzedzone konferencją prasową, podczas której przewodniczący poinformował o celach, programie i metodzie przesłuchiwań. Drugim punktem konferencji prasowej była sprawa Katynia. Chociaż „Przesłuchanie im. Sacharowa” było zasadniczo poświęcone sprawom ostatniego dziesięciolecia, to jednak dla sprawy mordu katyńskiego — który miał miejsce przed 35-ciu laty — zrobiono wyjątek jako dla zbrodni wojennej, co do której nie ma dotychczas wyroku żadnego miarodajnego trybunału międzynarodowego. Organizatorzy imprezy kopenhaskiej uznali więc, że sprawa katyńska wisi wciąż jako sprawa sumienia międzynarodowego i dlatego posiada aktualne znaczenie. Nie włączono jednak tej sprawy do programu „przesłuchania”, lecz ujęto w ramy konferencji prasowej, która poprzedziła formalne otwarcie „Przesłuchań”. Z natury rzeczy dawanie wyjaśnień w tej sprawie przypadło w udziale mnie, jako byłemu jeńcowi sowieckiemu, który należał do transportu więzionego pod Katyń, lecz w drodze został wydzielony i przewieziony do więzienia w Moskwie. Na sali było około 250-300 osób, przeważnie dziennikarzy, oraz szereg aparatów telewizyjnych i fotograficznych. Sprawa wywołała duże zainteresowanie oraz szereg pytań. Ponieważ zebranie przedłużało się, przewodniczący w pewnej chwili ogłosił, że zamyka konferencję prasową, lecz prosił mnie, abym pozostał na sali w celu udzielenia indywidualnych wywiadów. Zszedłem z trybuny i dookoła mnie zaczęły się tworzyć grupki dziennikarzy. Aparaty telewizyjne i fotograficzne pracowały nadal. Opowiadano potem, że następnego dnia ta konferencja prasowa była podana przez telewizję szwedzką i holenderską. Nie miałem jednak okazji tej wiadomości sprawdzić.

Powstało pytanie w jaki sposób dziś, po 35-ciu latach, można w sprawie Katynia zadość uczynić sprawiedliwości. Odpowiedziałem, że widzę dwie drogi dania moralnej satysfakcji tym wszystkim, którzy wierzą w możliwość sprawiedliwości w stosunkach międzynarodowych. Po pierwsze można sobie wyobrazić ukonstytuowanie się jakiegoś trybunału międzynarodowego, który po zbadaniu wszystkich nagromadzonych materiałów wydałby orzeczenie w tej sprawie pozostawionej w zawieszeniu przez Trybunał w Norymberdze. Po wtóre nie wykluczam, że rząd sowiecki, wobec wypłynięcia szeregu nowych materiałów, zechce

w pewnej chwili sam i z własnej inicjatywy podjąć rewizję orzeczenia komisji, powołanej za czasów Stalina — i ogłosić potem całą prawdę.

Do powołania trybunału międzynarodowego wzywa Louis Fitzgibbon we wszystkich czterech książkach, które napisał na temat Katynia. Materiały do takiej rozprawy właściwie mówią są już zebrane i w dużym stopniu posegregowane, jeżeli weźmiemy pod uwagę sprawozdanie specjalnej Komisji Kongresu Stanów Zjednoczonych, wydane w 1952 roku i zawierające około 2.500 stron; a również książki J.K. Zawodnego, Józefa Mackiewicza, Henri de Montfort, Tadeusza Wittlina, a także samego Fitzgibbona, który się ogromnie przyczynił do ożywienia zainteresowania tą sprawą w ciągu ostatniego pięciolecia. Lord George Brown, sekretarz stanu do Spraw Zagranicznych w poprzednim gabinecie Wilsona (1966-68), we wstępie, który napisał do świeżo wydanej nowej książki Fitzgibbona (*Unpitied and Unknown: Katyń, Bologoye, Dergashi, Bachman und Turner*, 1975, str. 496) wyraża nadzieję, że dzień takiego sądu międzynarodowego dla załatwienia wiszącej wciąż sprawy katyńskiej jest już niedaleki.

Myszę jednak, że Sacharowowi, który był poniekąd patronem tego „przesłuchania”, odpowiadałoby raczej, żeby Związek Sowiecki, postawiony wobec przytłaczającej ilości poszlak, zebranych w ciągu ostatnich 35-ciu lat, oraz alternatywy nowego trybunału międzynarodowego, podjął sam rewizję tej zbrodni NKWD, której główni sprawcy wydają się w świetle zebranych poszlak zupełnie wyraźni. Wydaje się to tym prostsze, że Beria i niektóre inne osoby, stojące w owym czasie na czele NKWD, zostały już z wyroku sądów sowieckich rozstrzelane. Nie wydaje mi się, żeby takie załatwienie sprawy było sprzeczne z interesami sowieckimi na dłuższą metę. Po pierwsze likwidowałoby w dużym stopniu atmosferę nieufności, która istnieje w stosunkach rosyjsko-polskich, mimo że w sprawach polityki zagranicznej dzisiejsza Polska jest posłusznym satelitą. Po wtóre podniosłoby ogromnie zaufanie do sowieckich intencji w sprawie polityki *détente*. Zdecydowanie się na rewizję sprawy katyńskiej postawiłoby Sowiety w rzędzie państw, które respektują pewne zasady moralne.

Owa konferencja prasowa w Kopenhadze była też w pewnym stopniu sprawdzianem jak dziś opinia europejska zapatruje się na sprawę Katynia. Z pytań, które zostały postawione nie wynika by na sali byli ludzie kwestionujący odpowiedzialność sowiecką za mord katyński. W każdym razie nikt nie wyraził przypuszczenia, że mord ten został dokonany przez Niemców. Natomiast

pewne pytania rodziły się raczej z niezajomości historii drugiej wojny światowej przez ludzi poniżej czterdziestki. Niektórzy dziwili się skąd tyłu polskich oficerów znalazło się na terenie Związku Sowieckiego w 1940 roku. Wyobrażali sobie, że przeszli na teren sowiecki, cofając się przed ofensywą niemiecką i tam dopiero zostali wymordowani. Na ogół mało kto pamięta, że w 1939 roku Rosja była sojusznikiem Niemiec, i że przyłączyła się do ataku niemieckiego w pierwszym miesiącu wojny, przesądzając w ten sposób wynik kampanii wrześniowej.

Więzienia i łagry

Właściwe przesłuchiwanie świadków zaczęło się 17 października. Program został podzielony na kilka części. Pierwszy dzień był poświęcony warunkom w więzieniach i obozach, dyskryminacji na rynku pracy, sytuacji rodzin więźniów politycznych (referat Marii Siniawskiej), a także przemianom psychicznym w społeczeństwie sowieckim wychowywanym w duchu militarizmu i nietolerancji. Drugi dzień — prześladowaniom religii oraz sytuacji narodowości nierosyjskich. W ostatnim dniu szczególne zainteresowanie wywołały zeznania tych, którzy zaznajomili się bliżej ze szpitalami psychiatrycznymi jako instytucjami terroru politycznego; a również tych, którzy byli używani jako króliki doświadczalne do badań nad środkami wojny chemicznej.

Z tych licznych świadectw i referatów wynika, że warunki więzienne nie poprawiły się w porównaniu z tymi, których doświadczyło tylu Polaków podczas minionej wojny. Kilku świadków opisywało więzienie Włodzimierskie, które jest karnym więzieniem dla więźniów politycznych. Reżym jest bardzo ostry. Cele nie są opalone nawet podczas ciężkich mrozów rosyjskich. Więźniów torturuje się głodem, nie dopuszczając, aby pożywienie przekraczało 800 kalorii dziennie.

Przy omawianiu problemu łagrów zaszedł charakterystyczny incydent. Świadek, matematyk sowiecki, zamieszkały w Szwajcarii, który niedawno opuścił Związek Sowiecki, a przedtem 14 lat przesiedział w łagrach, wymienił 15 milionów jako ilość łagierników na początku rządów Chruszczowa. Zwróciłem mu uwagę, że liczba ta musi być grubo przesadzona, gdyż moje obliczenia, robione na zasadzie różnych materiałów statystycznych, wykazały jako górną granicę 8 milionów w 1940 roku. Za czasów Chruszczowa nie mogło być więcej, a znacznie mniej. Na to referent bardzo się poirytował i oświadczył dość ostrym tonem, że nie ma zaufania do mojej zdolności interpretowania życia rosyjskiego. Jako dowód przytoczył, że w 1940 roku byłem w po-

blizu lasu katyńskiego i widziałem jak tam wieźli moich kolegów, nie potrafiłem jednak skombinować, że ich tam mordowano — i że trzeba było rewelacji niemieckich w kilka lat potem, abym się dowiedział czego byłem świadkiem. Było to zresztą zgodne z tym, co sam piszę w moich pamiętnikach. Tego rodzaju argumentacja była jeszcze jednym potwierdzeniem, jak dziś opinia europejska zapatruje się na sprawę Katynia.

Obecne zaludnienie łagrów matematyk ocenia na 1,8-3 milionów. Inny świadek, Lew Kwaczewski, ocenia ilość obozów na 3.000, a ilość robotników przymusowych na 3.000.000. Jeżeli zaś chodzi o więźniów politycznych, aktualnie przebywających w więzieniach, to prof. Sztromas ocenia ich liczbę na 3 do 10 tysięcy. Trzeba przy tym również pamiętać, że organizowanie strajków traktowane jest jako przestępstwo polityczne. Nie jest jednak jasne jak duży procent łagierników stanowią ludzie, którzy siedzą za przekonania religijne. Tych często przyrównuje się do kryminalistów.

Prześladowanie religii

Dzień 18 października był poświęcony prześladowaniu religii. Ogólne wrażenie z wygłoszonych świadectw jest, że w Związku Sowieckim, poza Litwą, zorganizowane życie religijne prawie już nie istnieje. Pozostały jedynie tu i ówdzie ośrodki oporu, prowadzone przeważnie przez baptystów, zielonoświątkowców oraz przez inne sekty zawzięcie zwalczane przez władze. Istnieje oczywiście schemat hierarchii prawosławnej, całkowicie zależnej od KGB i potrzebnej dla różnych celów polityki zewnętrznej jak i wewnętrznej, np. do walki z Kościołem unickim, istniejącym w katakumbach na Ukrainie Zachodniej. Litwini bronią religii ojców z uporem. Jest to w tej chwili kraj bohaterski. Przepisy dotyczące związków religijnych są bardzo ostre i ograniczają ich działalność do minimum. Związkom tym nie wolno organizować specjalnych zebrań dla dzieci, tworzyć grup studiów biblijnych, nauczać religii, zakładać bibliotek, czytelni i sanatoriów itd. Daje to tytuł do wytaczania licznych spraw sądowych i nakładania bolesnych kar. Ludzie, którzy odbywają praktyki religijne, nie mogą zajmować żadnych odpowiedzialnych stanowisk i są usuwani z uniwersytetów. Dzieciom w przedszkolach odbiera się krzyżyki. W niektórych częściach Związku Sowieckiego wyszło rozporządzenie administracyjne nakazujące rejestrację tych osób, które ochrzciły swoje dzieci. Brakiem tej części przesłuchania było pominięcie stosunku władz sowieckich do mahometan.

Ciekawe dla każdego, kto interesuje się przemianami kulturalnymi i psychologicznymi w Europie Wschodniej, musi być pytanie jaką postawę przeciętny Rosjanin z Rosji właściwej zajmuje wobec tych prześladowań. Czy te prześladowania są wynikiem presji z góry — jak to było za czasów Lenina — czy też rodzą się z żywiołowego dążenia prześladowców, wychowanych w duchu propagandy ateistycznej? Pod tym względem „przesłuchanie” dało jednak niewiele materiału, gdyż organizatorom chodziło przede wszystkim o fakty, a mniej o ich podłoże psychologiczne.

Sprawy narodowościowe

W części poświęconej sprawom narodowościowym zabierali głos przedstawiciele: Ukraińców, Litwinów, Żydów, Tatarów Krymskich oraz Ormian. Najlepiej byli przygotowani przedstawiciele Ukraińców. Uczestnicy „przesłuchania” otrzymali nawet szereg fotografii działaczy ukraińskich oraz intelektualistów przebywających w więzieniach. Największe jednak wrażenie zrobiło na uczestnikach wystąpienie Litwinów. Czuć było, że to są przedstawiciele narodu walczącego. Obaj świadkowie litewscy: Jonas Jurashas — artysta dramatyczny i Simas Kudirka — marynarz, byli ludźmi którzy świeżo opuścili kraj. Mimo woli nasuwało się, że w powstaniu 1863 roku najdłużej stawiała opór właśnie Żmudź. Litwini reprezentowali w pewnym stopniu również inne narody bałtyckie, na które nacisk sowiecki jest jeszcze większy, niż na Litwę: Łotyszów i Estończyków. Podczas całego przesłuchania nikt jednak nie poruszył sytuacji na Białorusi.

Wszyscy świadkowie podkreślili też wielki nacisk polityki asymilacyjnej, która jest prowadzona w drodze stopniowego zastępowania w szkolnictwie i administracji języków miejscowych przez język rosyjski oraz przesiedlania ludności rosyjskiej do miejscowości, w których przed wojną stanowiła ona nieznaczny procent. Ryga robi dziś wrażenie miasta zupełnie rosyjskiego, w Wilnie jest około 30 % ludności rosyjskiej; na Krymie nie ma prawie wcale Tatarów i, mimo odwołania zarządzeń stalinowskich w sprawie wysiedlenia Tatarów, wszelkie indywidualne próby powrotu na stare pielesze napotykały na opór władz. W referatach Żydów problem nacisku asymilacyjnego odgrywał również dużą rolę jak i problem zezwoleń na wyjazd do Izraela. Nawet w wypadku zwiększenia emigracji do Izraela, ci co pozostają skazani są na asymilację. W utrzymywaniu indywidualności kulturalnej każdej narodowości dużą rolę odgrywa tradycja religijna. Gwałtowne narzucanie ateizmu, jako uniwersalnej filozofii, uła-

twia niszczenie odrębności kulturalnych poszczególnych narodów i roztapianie wszystkiego w morzu rosyjskim. Judaizm jest szkanowany i prześladowany na równi z chrześcijaństwem.

Podczas przesłuchań kursował między obecnymi imienny spis więźniów obozu N3 w Mordowii. Było tam 132 Ukraińców, 9-ciu Niemców oraz 22 osób bez wymienienia ich narodowości. Trudno oczywiście powiedzieć w jakim stopniu ten spis był typowy dla narodowościowego składu innych obozów. W tym wypadku uderzał znaczny procent Ukraińców. W obozach stalinowskich ilość Ukraińców była również bardzo znaczna.

Pewne światło na aspiracje ludności nie-rosyjskich republik federacyjnych Związku Sowieckiego rzuca memoriał do Rady Narodowości, złożony przez więźniów w łagrach Mordowii. Memoriał ujmuje te aspiracje w szereg punktów. Przede wszystkim chodzi o wprowadzenie języka miejscowego jako obowiązującego w administracji i szkolnictwie. Po wtóre memoriał żąda dla republik narodowościowych praw bezpośredniego nawiązywania stosunków z zagranicą przez własnych przedstawicieli. Po trzecie żąda realizacji obietnicy, że miejscowi obywatele będą odbywali służbę wojskową w oddziałach uformowanych na zasadzie narodowościowej. Po czwarte żąda zaprzestania w nauczaniu szkolnym fałszowania dziejów poszczególnych narodowości, wchodzących obecnie w skład Związku Sowieckiego, i oddania sprawy nadzoru nad nauczaniem historii w ręce rządów poszczególnych republik. Ten memoriał jest dokumentem ciekawym również dlatego, że ilustruje jak narody przynależne do imperium sowieckiego, stanowiące większość na własnych terytoriach, widzą swoją drogę do niepodległości. Droga ta ma prowadzić poprzez rozszerzenie praw i zakresu działania istniejących republik sowieckich. Autorzy tego kursu wierzą, że wytworzenie na Zachodzie opinii sprzyjającej ich dążeniom wyzwoleniczym może w jakimś stopniu hamować władze sowieckie na drodze ich polityki rusyfikacyjnej i dlatego odpis tego memoriału został skierowany do Organizacji Narodów Zjednoczonych. Tekst memoriału otrzymali organizatorzy przesłuchania za pośrednictwem Naczelnego Komitetu Wyzwolenia Litwy w New Yorku.

Polacy w Rosji

W Związku Sowieckim są dwie duże grupy mniejszości narodowych, rozsiane po całym obszarze tego państwa, które jednak nigdzie nie stanowią zdecydowanej większości — są to Polacy i Żydzi.

Żydzi są dzisiaj w sytuacji o wiele szczęśliwszej, niż Polacy. Mają lepiej zachowane ośrodki religijno-narodowe; w dalekim Izraelu mają swoje państwo, które dba o zachowanie żydowskiej substancji narodowej we wszystkich zakątkach świata gdzie są Żydzi. Kongres Stanów Zjednoczonych troszczy się o ich interesy i ich prawo do emigracji do własnego państwa. Polacy są opuszczeni i zapomnieni. Sowieckie źródła statystyczne podawały przed kilku laty, że 1.300.000 ludności podało przy spisach narodowość polską. Główna masa jest skupiona na terenie dawnych Ziem Wschodnich Rzeczypospolitej, ale jedynie w Wilnie — według tego, co wiem — są tolerowane jakieś ośrodki polskiego życia kulturalnego. W różnych oddalonych prowincjach Rosji jest jeszcze sporo ludzi, którzy stanowią pozostałość wielkich deportacji z lat czterdziestych, kiedy to dziesiątki tysięcy polskich rodzin wywożono na wschód z państw bałtyckich, wschodniej Polski i Besarabii. Ci ludzie, którzy często już nie umieją mówić po polsku, są potomkami żołnierzy KOP-u, osadników wojskowych, strażników leśnych oraz zaściankowej szlachty, przez wieki zaprawionej do służby Rzeczypospolitej. Można o nich mówić jako o rasie rycerzy kresowych. To są w dużym stopniu ci, których Czernyszewicz opisuje w „Nadberezyńcach”, powieści powstałej w dalekiej Argentynie. Używając określenia „rycerze kresowi” nie chcę bynajmniej sugerować, że Polska ma nadzieję wrócić kiedyś na swoje historyczne szlaki na Wschodzie. Miejmy nadzieję, że Ukraińcy, Białorusini, Litwini i Łotysze, stanowiący większość na dawnych kresach Rzeczypospolitej, utworzą kiedyś własne wolne państwa. Lecz naród polski nie może wyrzec się tego kapitału moralnego, który stanowią przebywający dziś na Syberii czy też w Kazachstanie potomkowie dawnych obrońców ziem kresowych i musi ich przygarnąć w swoich nowych granicach.

Pamiętać również należy o tych, co od kilku pokoleń mieszkają w Rosji. Przed pierwszą wojną ośrodkiem dookoła którego gromadzili się w życiu duchowym i kulturalnym była zwykle parafia oraz od 1905 roku rzymsko-katolickie towarzystwa dobroczynne. Towarzystwa takie istniały w większości wielkich miast Rosji przedrewolucyjnej. Nabożeństwa zwykle były odprawiane po polsku, chociaż ksiądz często był Litwinem, lub Łotyszem. Władze carskiej Rosji we wschodnich i centralnych guberniach były na ogół tolerancyjne wobec polskich poczynań kulturalnych. Rewolucja to wszystko zmiotła.

Niedawno grupa intelektualistów, z Antonim Słonimskim na czele, wystosowała list otwarty do naczelných władz PRL-u, przypominając im o obowiązku troski o los Polaków poza wschodnią granicą. List — o ile wiem — nie został wydrukowany

w żadnym wydawnictwie krajowym. Organizatorzy „Przesłuchania im. Sacharowa” zrobili duży wysiłek, aby znaleźć kogoś, kto znałby z autopsji obecną sytuację Polaków w Rosji, lub w każdym razie kogoś, kto miałby tyle nagromadzonego materiału, aby wystąpić jako autorytatywny znawca problemu. Ponieważ nie znaleziono nikogo, dr E. Gąsiorowski i p. Olgierd Zaleski, należący do grona organizatorów, ułożyli zwarte memorandum, które zostało rozdane wszystkim obecnym, aby zasygnalizować istnienie problemu. W trakcie przesłuchania jedynie litewski marynarz, Simas Kudirka, wspominał o tym, że na początku bieżącej dekady spotkał Polaków w sowieckich łagrach.

„Przesłuchanie im. Sacharowa” wykazało, że emigracja nasza nie jest przygotowana do obrony interesów rodaków, którzy pozostali w granicach Związku Sowieckiego. Wydaje się, że byłoby wskazane, aby powstało jakieś centrum, które zaczęłoby gromadzić materiały w sprawie tych Polaków. Prześledzenie losów szeregu tych ludzi, którzy jako dzieci zostali deportowani do Związku Sowieckiego, ich zdolności dopasowania się do środowiska, ich psychologii i przemian światopoglądowych stanowić może bardzo istotny problem socjologiczny i może być tematem nie jednej pracy doktorskiej młodych socjologów. Punktem wyjścia musiałaby tutaj być kartoteka Polskiego Czerwonego Krzyża w Kujbyszewie, którą — o ile wiem — ambasador Romer wywiózł z Rosji w 1943 roku nienaruszoną. Zawierała ona około stu tysięcy kart. Spodziewam się, że niektóre fundacje amerykańskie mogłyby poprzeć taką inicjatywę.

Szpitala psychiatryczne

Sesja popołudniowa 19 października poświęcona była najnowszym przejawom poniżenia godności ludzkiej w Związku Sowieckim: umieszczaniu przeciwników politycznych w szpitalach psychiatrycznych oraz używaniu ludzi jako królików doświadczalnych przy produkcji środków wojny chemicznej. O szpitalach psychiatrycznych mówił Wiktor Fainberg oraz jego żona, Maria Fainberg, lekarz-psychiatra. Wiktor Fainberg przeszedł osobiście przez ten rodzaj „leczenia” odchyłen politycznych. Położenie ludzi osadzonych w szpitalach psychiatrycznych jest trudniejsze niż tych, którzy siedzą w więzieniach. Więzień ma pewne możliwości obrony, które mu daje kodeks procedury karnej: może składać skargi, odwoływać się do władz wyższych, powoływać się na konstytucję itd. Regulamin więzienny pozwala na otrzymywanie książek. Ten, którego uzna się za wariata nie ma tych wszystkich przywilejów, jest absolutnie bezbronny. Przez

system tortur i zastrzyków usiłuje się zmienić osobowość człowieka, czyniąc z niego ruinę psychiczną i fizyczną. Ofiara takiej „kuracji” traci zdolność określania swojej postawy wobec świata zewnętrznego.

Jeden ze świadków, Lewitin-Krasnow, nauczyciel który za swoje przekonania religijne został w latach 1971-1973 osadzony w obozie dla przestępców pospolitych w rejonie Smoleńska, podał informacje o wielkim szpitalu psychiatrycznym, przylegającym do tego obozu. Trzymano tam przeważnie ludzi podejrzanych o działalność religijną, lub odchylenia polityczne. Pielegniarzy werbowano przeważnie między kryminalistami, od których świadek dowiedział się o warunkach w tym szpitalu. Rzekomych wariatów często bito, lub dawano im jakieś zastrzyki, powodujące depresje psychiczne i nieludzkie męczarnie. Podobno było tam około 1.500 więźniów, uznanych za psychicznie chorych.

Przygotowania do wojny chemicznej

Wstrząsający był referat p. Luby Markish, zamieszkałej obecnie w Ameryce, b. studentki chemii na Uniwersytecie Moskiewskim, która opowiadała o doświadczeniach nad ludźmi przy produkcji gazów bojowych. Do doświadczeń używa się zwykłe robotników zatrudnionych przy tej produkcji, pracowników laboratoriów, lub studentów chemii bez ich wiedzy i zgody. Zwykle upływa pewien czas zanim ofiara zorientuje się, że jest przedmiotem eksperymentów, lecz wówczas skutki zdrowotne są już nieodwracalne. Czasami ciężarne robotnice są selekcjonowane jako obiekty eksperymentów. Nieraz odbiera im się potem dzieci, jeżeli nie urodziły się martwe. Są całe szpitale poświęcone wyłącznie ofiarom tych doświadczeń, częściowo dla ich leczenia, częściowo dla dalszego eksperymentowania. Można tam również spotkać ofiary eksperymentów psychiatrycznych. Szpitale te często są pod kierownictwem wybitnych lekarzy i uczonych.

Zasadą jest, że do funkcji królików doświadczalnych, popularnie zwanych „krotami”, nie wybiera się ludzi wysoko ustośnionych. P. Markish była właśnie osobą wysoko ustośnioną i trafiła do kategorii królików doświadczalnych na skutek nieporozumienia; zamiast innej studentki o tym samym nazwisku, która była w bardziej bezbronnej sytuacji. Dzięki stosunkom udało jej się nie tylko wydostać z kategorii „krotów”, lecz również i z granic Związku Sowieckiego. W Ameryce zaczęła pisać książkę o swoich przeżyciach, lecz rękopis został skradziony. Potem otrzymała ostrzeżenie, że jeżeli będzie dalej pisała o swoich doświadczeniach, to zostanie zamordowana.

Uzupełnieniem zeznań p. Markish był referat Dawida S. Azbela, chemika oraz byłego więźnia, który specjalnie zajmuje się sprawą produkcji gazów trujących w ZSSR. Między innymi Azbel zwraca specjalną uwagę na produkcję gazów, które mogą spowodować masową sterylizację ludzi na danym terenie. Mogą one stanowić ważną broń w konflikcie sowiecko-chińskim.

Największa tajemnica: Człowiek Sowiecki

Rosjanie występujący podczas przesłuchań reprezentowali ruch tzw. dysydentów, którzy są stosunkowo nowym zjawiskiem w życiu Związku Sowieckiego. Pytaniem interesującym jest — w jakim stopniu ten ruch jest odbiciem postawy przeciętnego Rosjanina.

Ruch dysydentów ma charakter raczej moralny niż polityczny. Wszyscy dysydenci, których nazwiska stały się znane na Zachodzie, są z reguły ludźmi o bardzo głębokim poczuciu godności ludzkiej. Gotowi są iść na największe ofiary w imię głoszonych przez siebie zasad, poświęcając w wielu wypadkach nie tylko siebie, lecz również bezpieczeństwo i dobrobyt swoich rodzin. To są prorocy, którzy wierzą, że z rzucanych przez nich iskier rozpalą się kiedyś płomienie, który strawi całą hipokryzję i okrucieństwo sowieckiego systemu.

W dzieciństwie znałem dość blisko carską Rosję; podczas obydwu wojen widziałem ten kraj od wewnątrz; doznałem sam i obserwowałem wiele życzliwości w stosunkach między ludźmi — nawet w łagrach. W moich niedrukowanych pamiętnikach jest rozdział o „kwiatkach na gnoju”, w którym piszę o wypadkach życzliwego stosunku człowieka do człowieka na terenie łagrów. W 1940 roku w więzieniu Łubiańskim spotykałem jeszcze dawnych rosyjskich inteligentów, w których towarzystwie czułem się zupełnie swojsko. W 1941-42 widziałem w łagrach wielu stylowych chłopów rosyjskich i ukraińskich; niektórzy z nich byli tam zamknięci za manifestowanie uczuć religijnych. Wiem jednak, że mentalność dzisiejszego mieszkańca Rosji, który urodził się i wyrósł w epoce stalinowskiej, musi być inna. Dlatego też podczas przesłuchania starałem się uchwycić fragmenty, które by świadczyły o tym, jak ten dzisiejszy człowiek rosyjski wygląda.

Panin, sowiecki matematyk, który 14 lat przesiedział w łagrach, opowiadał w swoim referacie, że w 1938 roku, gdy w fabryce, w której pracował jako inżynier, zwołano wiec aby wyrazić zadowolenie z powodu egzekucji marszałka Tuchaczewskiego, ludzie głosowali ze wstydem i wychodzili ze spuszczoneymi głowami, starając się nie patrzeć sobie wzajemnie w oczy. Wszel-

kie wyłamanie się groziło egzekucją, a w najlepszym wypadku więzieniem czy łagrami; lecz ludzie wstydzieli się tego, że się tak bali o swoją skórę. Gdy po 14-tu latach łagrów Panin znowu znalazł się w fabryce, zdarzyło się, że aresztowano tam młodą pracownicę pod zarzutem prowadzenia propagandy religijnej. Dziewczyna była sympatyczna i powszechnie lubiana. Gdy jednak zwołano wiec aby ją potępić, nie podniósł się ani jeden głos protestu, choć w tym wypadku groziłoby to tylko pominięciem przy awansie, lub w najgorszym wypadku utratą posady. Było to już inne pokolenie. Dziewczyna została jednomyślnie potępiona. Nowy człowiek sowiecki wydaje się tu robotem, dostosowującym się do woli władzy nie tylko w tym co robi, lecz również w tym co myśli.

Maria Siniawska wygłosiła bardzo dobrze skonstruowany referat o rodzinach „zeków” (od słowa — *zakluczonyj*), tzn. osób aresztowanych za przekonania polityczne lub religijne. Do wszystkich kłopotów finansowych i materialnych oraz troski o dzieci, dochodziły jeszcze wstręty czynione przez sąsiadów, z którymi w przepchnionych mieszkaniach dzisiejszych miast rosyjskich trzeba było nieraz gotować we wspólnej kuchni. Żona Sacharowa, która obecnie przebywa we Włoszech, w wywiadzie telewizyjnym, na pytanie jaki jest obecnie stosunek do niej sąsiadów moskiewskich, odpowiedziała z uśmiechem pełnym wyrozumienia, że niektórzy jeszcze się jej kłaniają, inni przestali już się witać. W carskiej Rosji byłoby to nieprawdopodobne; zarówno obyczaj, jak i Cerkiew, nakazywały okazywać specjalne współczucie więźniom. Dziś trzeba mieć specjalne zalety ducha, serca i charakteru, aby być żoną dysydenta.

W bardzo ciekawym referacie A. Vardy twierdzi, że dużą rolę w kształtowaniu typu współczesnego obywatela Związku Sowieckiego odgrywa szkoła, wychowująca w duchu antyhumanitarnym.

Czy wezwania dysydentów, którzy zresztą są przeważnie ludźmi areligijnymi, są w tym zbrutalizowanym świecie jedynie głosem wołającego na puszczy? Możliwe, że tak. Lecz trzeba pamiętać, że głos Jana Chrzyciela, który rozlegał się w pustyni, nie zginął lecz zwiastował wielki przełom w dziejach ludzkości.

Stanisław SWIANIEWICZ

Grudzień 1975

Kraj

List Otwarty do władz Polski Ludowej w sprawie normalizacji stosunków ze Związkiem Radzieckim

Stosunki ze Związkiem Radzieckim mają dla Polski zasadnicze znaczenie zarówno na merytorycznej jak i emocjonalnej płaszczyźnie. Naród polski na zawsze we wdzięcznej pamięci zachowa wyzwolenie z hitlerowskiej niewoli, nie zapomni, że rozгромienie hitlerowskich Niemiec ocaliło go przed biologiczną zagładą, świadom jest również, że pomoc gospodarcza i współpraca ze Związkiem Radzieckim leżały u podstaw wydzwignięcia się z wojennych ruin i późniejszych sukcesów w budowie socjalistycznej gospodarki. I dziś, i w przyszłości pomyślny rozwój Polski w przeważającej mierze zależy od rozwoju wszechstronnych i przyjaznych stosunków ze wschodnim sąsiadem. Tym ważniejszym dla Polski problemem jest oparcie tych stosunków na trwałej podstawie. Sprawa stała się tym aktualniejsza, że nowo uchwalona Konstytucja PRL — niepraktykowanym dotąd obyczajem — nakłada na państwo nasze i na obywateli nie tylko obowiązki wobec własnej ojczyzny, ale także wobec sąsiedniego kraju — *obowiązek przyjaźni*. Ponieważ przepis konstytucji wykracza poza politykę państwa, dotyczy sfery znacznie czulszych zagadnień: świadomości i odczuć obywateli, tym ważniejszym i pilniejszym zadaniem staje się stworzenie warunków, które by umożliwiły jego realizację, aby obywatel PRL mógł w swym sumieniu mieć przeświadczenie, że nie narusza praw własnego kraju. Wymaga to usunięcia zarówno z treści jak i form naszych wzajemnych stosunków tych czynników, które stanowią przeszkodę w ich rozwoju, podważają ich zasadniczy fundament. Pomyślny stan gospodarczy ostatniego okresu, co słusznie nazywamy umocnieniem podstaw socjalistycznego ustroju, z tym większą ostrością ujawnia upośledzenie innych dziedzin i form naszego życia. Kaleki to będzie kraj i kaleki jego ustrój, jeśli gospodarczemu rozwo-

jowi nie będzie towarzyszyć rozwój umysłowego i kulturalnego życia, rozwój naukowej i politycznej refleksji nad społecznymi i ustrojowymi problemami państwa.

Ta właśnie dziedzina wewnętrznego życia kraju napotyka na zasadniczą przeszkodę, jaką stanowią stosunki cenzuralne. Opaczne i niezrozumiałe dla normalnego człowieka pojęcia o tym co może być szkodliwe dla państwa i zagrażać socjalizmowi, doprowadziły do usunięcia ze sfery intelektualnej działalności problemów i całych dziedzin społecznej rzeczywistości. Narzucona naszemu krajowi cenzura ingeruje we wszystko — poczynając od zwykłych informacji o wydarzeniach, poprzez twórczość artystyczną, publicystykę, aż do czysto naukowych dzieł i rozpraw, utrudnia nauce polskiej dostęp do dzieł nauki światowej. Następstwa tego przybierają drastyczny wyraz w upadku polskiej myśli społecznej i całej humanistyki. Socjologia polska, która kilkanaście lat temu przejawiała interesujące symptomy rozwoju, zajmowała znaczące miejsce w świecie, została wpełniona w stan kompletnego marazmu. Nawet w najbardziej oderwanych dziedzinach filozofii cenzura strzeże, aby pisano tylko to, co nie wykracza poza oficjalne podręczniki. Oprócz własnych urzędów cenzorskich, oprócz cenzorskich obowiązków nałożonych na same wydawnictwa — urząd zwierzchniego cenzora wypełnia przedstawiciel Związku Radzieckiego w Polsce, którego głównym bodaj zadaniem jest strzeżenie ideologicznej czystości zaprzyjaźnionego kraju, i który tej swojej misji bynajmniej nie tai, posuwając się do bezpośrednich ingerencji. Pod tą presją zatrzymuje się wydanie książek, lub wycofuje już wydane, które przeszły przez niedość czujne oko własnych cenzorów; skreśla się zdania i całe fragmenty z dzieł historyków dotyczące nawet odległych spraw, zwłaszcza stosunków polsko-rosyjskich, tak jakby władze radzieckie poczuwały się do solidarności z polityką rosyjskich carów. Nazbyt przypomina to żywe w pamięci narodu czasy sprzed niespełna dwóch wieków, kiedy w niepodległej jeszcze Polsce przedstawiciel carowej był wielkorządcą, który przy pomocy sprzedajnych elementów siłą rosyjskiej armii, przekupstwem i obietnicą politycznej kariery deprawował społeczeństwo, wspierał anarchię i tłumił każdą próbę uzdrowienia kraju.

Zwyczajny polityczny rozsądek kazałby unikać we wzajemnych stosunkach tego wszystkiego co dla narodu polskiego może mieć tylko jedno znaczenie: nawiązywanie do tragicznej dla nas, a niechlubnej dla naszych przyjaciół przeszłości. Byłoby naiwnym nieporozumieniem sądzić, że tajenie lub fałszowanie przeszłości służy normalizacji naszych wzajemnych stosunków. Nie w przeszłości, którą Rewolucja Październikowa przekreśliła, mogą tkwić opory i obawy społeczeństwa polskiego, ale w teraźniejszości i lęku o przyszłość.

Podkreślamy tu skrępowanie intelektualne i duchowe życia, ponieważ w cenzurze jak w soczewce skupiają się wszystkie najistotniejsze problemy zarówno wewnętrznego życia kraju jak i wzajemnych stosunków. Tu właśnie znajduje najdobitniejszy

wyraz różnica dróg, jakimi toczyła się historia naszych sąsiadujących krajów, różnica tradycji, które ukształtowały całą sferę świadomości i emocjonalnych reakcji. Rosja od początku swych dziejów znała tylko bezwzględną despotyczną władzę o nieograniczonej samowoli, otoczonej powszechną tajemnicą, która każdy przejaw myśli dławiała represjami i cenzurą doprowadzoną do legendarnej czujności. Polska władzy despotycznej i cenzury w tym rozumieniu nie znała nigdy (nawet nadużycia sanacyjnej cenzury w okresie międzywojennym, które oburzały całe społeczeństwo, były dziecinną igraszką w porównaniu z cenzurą wyrosłą na carskich tradycjach). Tego rodzaju tajenie informacji i skrępowanie myśli w Polsce oznaczało zawsze tylko ucisk obcych zaborców i okupantów. Stąd też każda próba narzucenia naszemu krajowi tych metod napotyka zawsze na żywiołowy opór całego społeczeństwa, musi je do podwójnego życia, którego duchowa (społeczna, polityczna) połowa będzie się toczyła w konspiracji — nie przeciwko ustrojowi czy socjalizmowi, lecz przeciwko nonsensom podawanym jako socjalizm.

Ta różnica tradycji znalazła dobitny wyraz w dyskusji nad poprawkami do konstytucji. Żywość reakcji i szeroki zasięg zainteresowania nie powinny być zaskoczeniem — wynikają z faktu, że Polska jest krajem o najstarszych demokratycznych tradycjach w Europie (polskie *neminem captivabimus* o dwa i pół wieku wyprzedziło angielski *habeas corpus act*), że również i ci którzy historii swego kraju nie studiowali, tradycję tę wysłali z mlekiem matki. Toteż tysiące ludzi wykazało głęboką obywatelską troskę, aby temu podstawowemu aktowi nadać treść i formę odpowiadającą duchowym potrzebom narodu i zgodną z charakterem wewnętrznych przeobrażeń. Anormalność atmosfery politycznego życia podkreśla fakt, że cała dyskusja nad konstytucją została przed społeczeństwem zatajona, że ukryto nawet te propozycje, które w całości zostały uwzględnione. Co zaś brzmi wręcz niewiarygodnie — władze nasze uznały za właściwe zastosowanie represji wobec autorów i sygnatariuszy dyskusyjnych listów. Prasa publikowała jedynie (pisane przeważnie na polecenie) pochwały dla urzędowych propozycji, a wypowiedzi koryfeuszy i strażników prawa wykazywały nie wiadomo czy większy umysłowy czy moralny upadek.

Z punktu widzenia polskiej tradycji cenzura, jaka została naszemu krajowi narzucona, może być traktowana tylko jako relikwiny średniowiecza, nie mający nic wspólnego z ochroną interesów Państwa, a przeciwnie, hamujący jego rozwój i jątrzący stosunki między władzą a społeczeństwem. Być może, że u obywateli Związku Radzieckiego ten rodzaj cenzury wzmacnia ich socjalistyczne przekonania. Na tym polega różnica tradycji, że w świadomości przeciętnego Polaka może ona tylko socjalizm kompromitować. Warto przy tej okazji przypomnieć zdanie Marksa, że „cenzura tak jak niewolnictwo nigdy nie może być prawem, choćby tysiąc razy istniała w formie ustaw”.

Tak jak politycznym nierozsądkiem będzie nieliczenie się

z odmiennością historycznych dróg i różnicą ukształtowanych tradycji, tak samo unikać należy nawiązywania do tego, co w przeszłości zostało osądzone i potępione przez społeczną świadomość. Dotyczy to także naszego kraju. Z tego choćby powodu niewybaczalną zbrodnią poprzednich przywódców partii wobec własnego narodu był udział Polski w zbrojnej ingerencji w wewnętrzne sprawy Czechosłowacji w roku 1968 — udział tak bezpośrednio nawiązujący do hańby i samobójczej głupoty polskich polityków w roku 1938.

Zasadnicza linia polityki realizowanej przez kierownictwo partii: umacniania współpracy i przyjaźni ze Związkiem Radzieckim i krajami socjalistycznymi jest słuszna, zgodna z interesami kraju i mogącą liczyć na poparcie całego społeczeństwa. Ale w realizacji tej polityki trzeba usunąć to wszystko, co jest sprzeczne z przyjaźnią i ze współpracą. Realizacji tej polityki nie można opierać na osobnikach — trafiających się w każdym kraju — którzy dla własnej kariery prześcigają się w usługach wobec potężnego sąsiada wyrządzając wzajemnym stosunkom niepowetowane szkody. Społeczeństwo z odrazą i pogardą patrzy na wystąpienia tego rodzaju ludzi, żywo przypominających wzory Targowicy. Ich gorliwość prowadzi do takich nonsensów, jakim z punktu widzenia prawa konstytucyjnego jest wprowadzenie obowiązku przyjaźni wobec Związku Radzieckiego. To nie wytyczna dla polityki — jak usiłuje się przedstawiać, kierunek polskiej polityki ma dostatecznie dużo realnych — politycznych, gospodarczych i militarnych przesłanek, znacznie kategoryczniej działających niż przepis konstytucji.

Wprowadzona do konstytucji klauzula ustala *stan prawny w stosunkach międzynarodowych*, jest określeniem *formy zależności*, anulującym poprzedzające frazesy o suwerenności. Naród polski jest dostatecznie świadomy mocarstwowej pozycji Związku Radzieckiego i nie roi marzeń o rzeczywistym równouprawnieniu. Jest jednak obyczajem przyjętym w międzynarodowych stosunkach, że w aktach prawnych nie uwidacznia się zależności nawet najmniejszego kraiku wobec super-mocarstwa. Ten dobry obyczaj został przepisem narzuconym naszej konstytucji złamany.

Jedyną intencją tych uwag jest dążenie do stworzenia trwałych przesłanek przyjaźni i współpracy między Polską a Związkiem Radzieckim, usunięcie i unikanie w przyszłości wszystkiego, co może do tych stosunków wnieść zakłócenia i napięcia. Kraje socjalistyczne wyszły już z młodzieńczego okresu „prób i błędów”, weszły w fazę wymagającą znalezienia nowych doskonalszych form dla narosłych w ich rozwoju treści — konieczne jest także znalezienie bardziej adekwatnych podstaw i form dla wzajemnych stosunków. Gospodarcza i militarna siła Związku Radzieckiego jest potężnym ramieniem socjalistycznego obozu. Żle byłoby jednak, gdyby siła była jedyną więzią łączącą kraje socjalistyczne.

Władysław BIENKOWSKI

Warszawa, marzec 1976

Reakcje katolików świeckich

Do
Przewodniczącego Komisji Nadzwyczajnej
dla Przygotowania Projektu Ustawy
o Zmianie Konstytucji
Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej
Prof. Dr. Henryka Jabłońskiego
Przewodniczącego Rady Państwa PRL
Warszawa

Zapowiedź zmian w Konstytucji i powierzenie specjalnej Komisji Sejmowej opracowania projektu zmian stawia obywateli w obliczu ważnego aktu w życiu państwa i narodu. Obojętność wobec tej sprawy traktująca ją jako akt, na który obywatele nie mają wpływu, nie byłaby wyrazem zdrowych stosunków społecznych. Dlatego w poczuciu naszych praw i obowiązków obywatelskich przedkładamy niniejsze uwagi do projektowanej zmiany Konstytucji, w przekonaniu, że prawo do wyrażania takich opinii zostanie uszanowane.

1. Konstytucja jest najwyższym aktem prawnym, który ma utwierdzać suwerenność państwa oraz podmiotowość narodu w stanowieniu praw i urządzeń społecznych.

Stanowiąc podstawę całego systemu prawnego jest ona również ważnym czynnikiem moralnym życia narodowego, gdy ustanawia i zabezpiecza sprawiedliwe dla wszystkich prawa, stwarza obywatelom warunki współstanowienia o losach państwa i narodu oraz gdy strzegąc jego suwerenności stanowi podstawę do równoprawnego uczestnictwa państwa w życiu międzynarodowym.

Stosunek do ustawy zasadniczej — w zależności od jej postanowień, charakteru i trybu powstawania — kształtuje w konsekwencji pozytywnie lub negatywnie poczucie prawne i kulturę polityczną społeczeństwa.

Z tych założeń wychodząc patrzymy na zapowiedź zmiany Konstytucji.

Podmiot życia publicznego — społeczeństwo polskie — składa się z ludzi różnych przekonań i poglądów na świat. Stąd przeprowadzane w Konstytucji zmiany — o ile mają być afirmowane w sumieniu obywateli — respektować muszą ten charakter narodu i społeczeństwa. Uszanować muszą jego chrześcijańską przeszłość i teraźniejszość, respektować wartości oparte o jego tradycje i kulturę oraz ugruntowane przez historię poczucie obywatelskości. Z tych samych względów istotne jest, czy projektowane zmiany wychodzą będą naprzeciw tym oczekiwaniom społecznym, które wielokrotnie były przedmiotem oficjalnych zapowiedzi, zwłaszcza w różnych ważnych i krytycznych momentach, że ewolucja wewnętrzna zmierzać będzie w kierunku stałego wzrostu różnorodnych i autentycznych form życia społecznego, a przez to i w kierunku zwiększania rzeczywistego i świadomego współuczestnictwa w duchowym i materialnym rozwoju Polski.

Obowiązująca Konstytucja z 1952 roku jest ustawą zasadniczą, która mogłaby i powinna być ulepszana. Idzie wszakże o zasięg i kierunek zmiany, o zgodność proponowanych zmian z tymi zasadami i oczekiwaniami, i wreszcie o — zamknięty datą lutego br. — stosunkowo szybki tryb ich opracowania, stwarzający niebezpieczeństwo pozostawienia na boku opinii społecznej.

2. Sądzymy, że zmiany w ustawie zasadniczej nie powinny naruszać w jakiegokolwiek — bezpośredniej czy pośredniej — formie zasady równości wszystkich obywateli.

W taki sposób odczuwamy projektowane wprowadzenie do Konstytucji zasady kierowniczej roli PZPR. Nadanie bowiem temu istniejącemu faktowi politycznemu charakteru zasady konstytucyjnej posiada wymowę różnicującą obywateli. Partia opiera się o zasady materializmu filozoficznego, propaguje je i walczy o nie, stąd też jej stanowisko nie może być konstytucyjnie wiążące dla wszystkich obywateli, a przynależność do niej ze względu na przesłanki ideowe obejmować może tylko część obywateli.

Istotną różnicę stanowi zarazem, czy partia spełniając kierowniczą rolę polityczną ma obowiązek zabiegać o wyrażanie jej zaufania społecznego, precyzując każdorazowo jak tę rolę rozumie i zamierza realizować — czy też pełni ją z mocy samego aktu konstytucyjnego.

Projektowany przepis utwierdzając nadrzędność partii nad społeczeństwem — w tym nadrzędność światopoglądowej polityki partii nad społeczeństwem w swej ogromnej większości chrześcijańskim — budzi istotne zastrzeżenia i nie stwarza poczucia, iż przyjęty kierunek rozwoju życia publicznego umacniać będzie tendencje demokratyczne.

3. Uznając w pełni wagę sojuszków określających pozycję międzynarodową naszego kraju sądzymy, że nadrzędność norm konstytucyjnych nad wszelkimi — najważniejszymi nawet — aktami polityki państwa wymaga, by sformułowania Konstytucji nie wykraczały poza najbardziej generalne zasady prawne.

4. Podstawową częścią Konstytucji są prawa i obowiązki obywatelskie. Oczekujemy, że wyliczone w Konstytucji prawa obywatelskie zostaną nie tylko utrzymane, lecz i rozwinięte.

Stanowisko nasze wypływa zarówno z motywów chrześcijańskich, jak i obywatelskich. Nie oczekujemy żadnych specjalnych ułatwień czy przywilejów dla życia religijnego i ludzi wierzących. Chodzi nam tylko o skuteczne zagwarantowanie warunków dla swobody rozwoju życia religijnego i obecności chrześcijaństwa w kulturze polskiej, jak i o pełne zagwarantowanie równoprawnego traktowania wszystkich obywateli.

Skuteczna realizacja praw wzmacnia realizację obowiązków na rzecz wspólnego dobra. Podstawą rozwoju życia społecznego jest jego różnorodność. Wypowiadamy się za różnorodnością oraz za rozwijaniem samorządności społecznej w różnych dziedzinach naszego życia. Uważamy, że Konstytucja powinna ten kierunek rozwoju życia społecznego potwierdzić.

Wreszcie istotnym problemem, który powinien być objęty zmianami w ustawie zasadniczej, jest egzekucja praw utrwalonych w Konstytucji. Sądzymy, że potrzebny jest wyraźny krok naprzód w instytucjonalnym uregulowaniu tego problemu i to na różnych płaszczyznach, poczynając od zapewnienia — w sposób instytucjonalny — zgodności wszelkich aktów prawnych z Konstytucją, po zabezpieczenie różnych dziedzin życia społecznego, kultury narodowej czy indywidualnych uprawnień obywateli — przed arbitralnością decyzji różnych organów władzy. Wypowiadamy się więc na rzecz ustanowienia w Konstytucji instytucjonalnych zabezpieczeń, które wzmacniałyby system prawny, chroniły prawa obywatelskie i realizację praworządności, i w funkcjonowaniu których odzwierciedlałyby się zasada kontroli społecznej.

Warszawa, 17 stycznia 1976

Bohdan Cywiński, redaktor naczelny miesięcznika „Znak”;
Kazimierz Czapliński, przewodniczący Klubu Inteligencji Katolickiej
we Wrocławiu;

Tadeusz Mazowiecki, redaktor naczelny miesięcznika „Więź”;
Andrzej Świąciecki, prezes Klubu Inteligencji Katolickiej w Warszawie;
Jerzy Turowicz, redaktor naczelny „Tygodnika Powszechnego”;
Andrzej Tyc, prezes Klubu Inteligencji Katolickiej w Toruniu;
Jacek Woźniakowski, dyrektor Instytutu Wydawniczego „Znak”.

Zgłaszamy pełne poparcie dla zajętego przez prezesów Klubów Inteligencji Katolickiej i redaktorów naczelnych wydawnictw katolickich stanowiska w sprawie Konstytucji.

Hanna Malewska,

Antoni Gołubiew.

UCHWAŁA ŚRODOWISKA ODiSS

1. Uznając, że w chwili obecnej nie można się jeszcze w sposób ostateczny i wiążący wypowiedzieć jaki będzie nasz stosunek do projektów zmian konstytucji, ponieważ projekt ten — nawet w wersji wstępnej — nie jest jeszcze gotowy, wzywamy posłów Koła „Znak” by wyczerpali wszystkie dostępne w Komisji Nadzwyczajnej i Sejmie możliwości nadania mu takiego kształtu, by mógł być przyjęty przez całe społeczeństwo.

2. Ostateczny stosunek do zmian konstytucji uzależnić należy od tego czy i w jakim stopniu respektowane będą w jej postanowieniach te podstawowe wartości, które środowiska nasze wraz z całą opinią katolicką uznają za imponderabilia, jak wolność religijna, suwerenność narodu i prawa obywatelskie.

3. Za przesłankę do zajęcia ostatecznego stanowiska powinni posłowie „Znaku” przyjąć opinię środowisk, które ich uznały za swoich reprezentantów w Sejmie. Stoimy na stanowisku, że wiążące tak dla posłów jak i dla całego ruchu „Znak” są w tej sprawie pryncypia i zalecenia moralne, wyłożone przez Episkopat Polski w jego memoriale. Uważamy natomiast, że ani dla posłów ani dla ruchu „Znak” nie są i nie mogą być wiążące inspiracje, wypływające z inicjatyw i dokumentów przygotowywanych w kręgach poza-katolickich. O ile bowiem mamy zaufanie do Episkopatu Polskiego, że w ważnych dla kraju momentach kieruje się zawsze głębokim i autentycznym poczuciem odpowiedzialności za dobro narodu, to nie można tego często powiedzieć o tamtych inicjatywach, których źródła i cele nie zawsze są jasne.

4. Posłowie aktualnego Koła „Znak”, wobec dobiegającej końca kadencji, powinni mandaty swoje złożyć do dyspozycji środowisk, których są reprezentantami, uzależniając swoje kandydowanie w następnej kadencji od formalnej decyzji tych środowisk.

Warszawa, dnia 15 stycznia 1976

— — — — —
Ekscelencjo,

Warszawa, dnia 3 lutego 1976.

Radio „WE” przedstawiło w sposób rozmiągający się z prawdą nasze stanowisko w sprawie zmian w Konstytucji i stosunku do memoriału Episkopatu, jak również jedności ruchu „Znak”.

Przemileczało ono w sposób tendencyjny wcześniejszą uchwałę środowiska ODiSS, przyjętą następnie przez KIK w Poznaniu i wyjaśniającą stanowisko w tych sprawach naszych środowisk. Uchwałę tę skierowaliśmy do Koła Posłów „Znak”, zapoznając z nią również odpowiednie czynniki polityczne i kierownictwo Episkopatu.

Nie mając innej możliwości sprostowania przesyłamy do uprzejmej wiadomości Waszej Eksceleencji treść tego dokumentu.

Prosimy przyjąć, Ekscelencjo, wyrazy naszej czci i oddania.

Doc. dr Jerzy Ozdowski, Prezes Klubu Inteligencji Katolickiej
w Poznaniu;

Janusz Zabłocki, Dyrektor ODİSS.

SAMOZBIERRA

*Czyjeż to imiona
Pakiet list ogłasza,
Na Ustawę Główną
Kto dobył pałasza?*

*To pisarze polscy —
Słynne chuligany
W sprawie Konstytucji
Biją w tarabany.*

*Już postowie w Sejmie
Uginają karki:
Coraz wyżej zady,
Coraz niżej barki.*

*Wtem Stanisław Stomma
Skinął na pismaków...
Porwał się Słonimski,
Skoczył do ataku.*

*Pięćdziesięciu ośmiu
Wziął ze sobą chtëpa,
Aż przez kwartał grzmiąta
Wolna Europa.*

*Taką ci brewerię
Wyprawił zuchwalec!
Wziął pierwszą baterię,
Chociaż stracił palec.*

*Nie skończona bitwa,
Zaraz inni natrą,
Bowień Bartoszewski
Zbiera drugi szwadron.*

*Sieje lęk, histerię
Szarżą niebwyłą.
Wziął drugą baterię,
Czy sam wyjdzie cało?*

*Bój na śmierć i życie:
Wolne wszystkie chwytę.
Skoczył Woroszyłski
W imię praw niezbytch.*

*Ten potyczek serię
Ozdobił wygraną.
Wziął trzecią baterię,
A co z nim? — pytano.*

*Jeszcze ogniem praży
Ta bateria czwarta.
Kto się teraz waży?
Walka wre zażarta.*

*Rusza Braun jak bestia,
A z nim czwarta fala,
Aż zadrzęta Wiejska
Niczem Gwatemala.*

*Żadni podpalacze
Takiego rejtachy
Nigdy nie wprowadzą
Do państwowych gmachów.*

*Więc kto w tej potrzebie
Od ran z siły opadł,
Niechże w swej opiece
Ma go Episkopat.*

(Wiersz znanego poety, nadesłany z Kraju)

Kronika kulturalna

Rozważania o literaturze zwanej emigracyjną (3)

Wczesny okres wojenny

Start był trudny aczkolwiek poza Krajem znalazło się stosunkowo wielu pisarzy z prawdziwego zdarzenia a pierwszym adresem literatury okresu wojennego był Paryż z całą siecią punktów zaczepienia takich jak Ambasada R.P., Konsulat, Biblioteka Polska na Wyspie św. Ludwika, Księgarnia Polska na Bld Saint-Germain, Dom św. Kazimierza, polskie sklepiki i knajpy na „Sępolu”, hoteliki na Sommerard — wydeptane szlaki polskie kończące się na cmentarzu w Montmorency. Wojna dorzuciła nowe adresy: „Hôtel du Danube”, w którym rezydował Sikorski, Kukiel, Kot; „Reginę” — siedzibę władz wojskowych, koszary Bessières, biura Czerwonego Krzyża na Euler, schronisko w Neuilly — wreszcie redakcję „Wiadomości” w pobliżu Rond Point de Champs-Élysées.

Z dnia na dzień pomnażała się liczba placówek polskich, co chwila pojawiały się nowe twarze świeżo przybyłych z ośrodków uchodźczych w Rumunii, na Węgrzech, z Włoch, a nawet wprost, przez góry, z Kraju. Wśród nich pisarze o ustalonych nazwiskach, naukowcy, dziennikarze. Już w listopadzie 1939 roku doliczono się w Paryżu około 60 wykładowców wyższych uczelni i z inicjatywy prof. Oskara Haleckiego zaczął się formować Uniwersytet Polski za Granicą w lokalu Biblioteki Polskiej. Wykłady historii literatury polskiej objął — Lechoń, którego wojna zastała w Paryżu. Wcześniej ujawniła się troska o garstkę intelektualistów, których losy wojny podzieliły kapryśnie między Kraj — i gdzie komu zajechać wypadło.

Wielu spośród pisarzy pamiętało Paryż z wcześniejszych pobytów a francuski był wśród Polaków najlepiej znanym językiem obcym. Ułatwiało to pierwsze kontakty z Francuzami. Pozornie

układały się one gładko, choć mury miasta upstrzone były napisami wyrażającymi dosadnie niechęć podejmowania walki o Gdańsk a klasycznym tematem wstępnych rozmów ze starymi i nowymi znajomymi Francuzami była sprawa rzekomego braku oporu ze strony Armii Polskiej i „tajemnica” szybkiego załamania się kampanii wrześniowej. Czerwiec 1940 przyniósł smak gorzkiego rewanżu.

Polacy „paryscy”, rozsypani po małych hotelikach, trzęsący się w lekkich paletkach, zatruci troską o Kraj i pozostawionych tam bliskich, błakali się po mieście, głodni wiadomości (a często i dosłownie głodni), zaślepiając się wiarą w linię Maginota i ogłupiając piosenką o suszeniu bielizny na linii Siegfrieda, której buńczuczność kontrastowała z obskurnym wyglądem rozmaitanych *poilus* i ich indywidualnymi wypowiedziami w kafejkach i bistrach.

Przybyłam do Paryża via Rumunia, Jugosławia i Włochy w pierwszych dniach listopada 1939 i nazajutrz po przyjeździe wyładowałam na kilka miesięcy w Biurze Poszukiwania Rodzin, mieszczącym się jeszcze w Bibliotece Polskiej a następnie włączonym do biur Polskiego Czerwonego Krzyża na rue Euler, gdzie pracami kierował gen. Osiński i Anna Paszkowska. Pierwszymi klientami byli podchorążowie z Coëtquidan i oni właśnie przywieźli wiadomość o sensacyjnej inicjatywie literackiej. Był nią projekt wydawania tygodnika pt. „Polska Walcząca” pomysłu płk. Januarego Grzędzińskiego, dowódcy Werbunkowego Obozu Wojskowego. Pod redakcją Tymona Terleckiego pismo prowadziło samodzielny żywot do roku 1948 i w pełni zastrzyżło na opracowanie monograficzne na podstawie obszernego i uporządkowanego archiwum złożonego w Bibliotece Polskiej w Londynie. Do grona najwcześniejszych współpracowników należeli ówczesni „Coëtquidanczyści” a więc Aleksander Janta, Jan Rembieliński, Ludwik Rubel, Karol Zbyszewski, Zygmunt Haupt, Samuel Tyszkiewicz i in.

W marcu 1940 roku wznowiły w Paryżu działalność „Wiadomości Literackie” pod zmienionym na „Wiadomości Polskie” tytułem — ale w podobnej do dawnej szacie graficznej. Wiązały je z pismem przedwojennym nazwiska współpracowników, wśród których było niewielu takich jak pisząca te słowa debiutantów, i osoba rzeczywistego redaktora, Mieczysława Grydzewskiego. Firmował je nominalnie miłszy kołom rządowym Zygmunt Nowakowski, gwiazdor krakowskiego „I.K.C.”, *de facto* w redakcji panował Grydzewski w asyście Antoniego Bormana i w atmosferze tak warszawskiej, że wychodzącym „na Paryż” Champs-Élysées wydawały się Alejami Ujazdowskimi. Kolportowano „Wiadomości” za pośrednictwem francuskich kiosków ulicznych i pamiętam zdumienie, jakim powitałam nagłówek mego artykułu („Ponury siew”) na numerze „Wiadomości” wyłożonym obok „Paris-Soir” i „Elle” przy wejściu do metra na Étoile.

Intencją poczyniń typu „Polski Walczącej” i „Wiadomości Polskich” (a było ich więcej) była „mobilizacja” znajdujących

się poza Krajem intelektualistów i, co szczególnie wyraźnie występuje w wypadku „Polski Walczącej”, wciągnięcie ich do współpracy w wysiłku wojennym i akcjach propagandowych.

Wśród pisarzy, którzy znaleźli się poza Krajem, przeważali poeci i publicyści; prozaicy objawiają się później. Większość pisarzy, po otrząśnięciu się z pierwszego szoku, nie tylko nie przerwała swej twórczej działalności, ale jeszcze ją wzmożyła, widząc jej doraźny sens. U początku literatury okresu wojennego stoją jednak utwory Kazimierza Wierzyńskiego napisane w ostatnich dniach sierpnia 1939 jeszcze w Warszawie, — „Alarm” Słonimskiego, — „Pożegnanie z Krzemieńcem” Stanisława Balińskiego napisane przed przekroczeniem granicy i wiersze Józefa Łobodowskiego, powstałe bezpośrednio po przejściu na Węgry. Sytuacja narzucała tematy, nie sprzyjała eksperymentom formalnym. Obok utworów poetyckich wysuwających się w pierwszej fazie na czoło, gromadzono zapiski o przeżyciach chwili, które stały się potem podstawą licznych, do dziś ogłaszanych z rękopisów, relacji, pamiętników i osnutych na nich powieści. Dla przykładu wymieniam „Te pierwsze walki” Melchiora Wańkowicza (wyd. pod pseud. Jerzego Łużyca już w roku 1940), „Wrzesień w Polsce” Witolda L. Langroda (wyd. pod pseud. Lucjana Łągnińskiego w 1942), „Wrześniowców” Jędrzeja Giertycha (1957), „Z Istebnej w świat” Pawła Łyska (1960), powieść Stefani Zahorskiej pt. „Ziemia pojona gniewem” (1961), wspomnienia Lwa Sapiehy pt. „Wojna z wysokości siodła” i in.

Pewną osobliwością jest w tej grupie powieść Bogusława Kuczyńskiego pt. „Pobojowisko”, nie ogłoszona drukiem w języku polskim a w latach 1940-1943 wydana w przekładach na duński, hiszpański, portugalski, rumuński, szwedzki i włoski (3 wydania!). Książka napisana na kolanie, słusznie określona przez Zofię Kozarynową jako „opis nieprzytomnej ucieczki z Polski grupy ludzi wystraszonych i przez strach pozbawionych godności”.

Nieliczne księgarnie polskie poza Krajem były skromnie zaopatrzane i nie przygotowane na gwałtowny wzrost zapotrzebowania. Brak zecerów i drukarni dysponujących czcionkami polskimi opóźniał ukazywanie się książek. Pierwszeństwo miały zresztą wydawnictwa ściśle użytkowe: samouczki języków, słowniki, oficjalne publikacje rządowe i wojskowe. Zjawiskiem odosobnionym jest przeto „Kohorta” Stefana Katelbacha, założona w 1940, która w serii małych książeczek „kieszonkowych” wydała m.in. wspomnienia z końcowego okresu działalności Ambasady Polskiej w ZSSR Wacława Grzybowskiego („ZSSR. Notatki ze wspomnień”, wyd. pod pseud. Józefa Growskiego). Upadek Francji przerwał przygotowywane już wydania przedruków klasyków i tomików wierszy. Historia książkowego ruchu wydawniczego zaczyna się na serio dopiero w 1940 w Anglii i Szkocji.

W Paryżu i Londynie już w czasie pierwszej zimy wojennej podjęto prace zmierzające do przygotowania rzeczowej dokumentacji sprawy polskiej z myślą o doraźnej potrzebie informowania

swoich i obcych a na dalszą metę o przygotowaniach do przyszłej konferencji pokojowej, którą wyobrażano sobie na wzór wersalskiej. Biblioteka Polska w Paryżu podjęła w tym celu rejestrację posiadanych przez nią publikacji mogących służyć jako źródła lub wzory; w końcu lutego 1940 rozstałam się, nie bez żalu, z Czerwonym Krzyżem i przeszłam do Biblioteki z zadaniem opracowania wyciągów z ogólnego katalogu.

Boleśnie dał się odczuć brak Rapperswilu, który w czasie Pierwszej Wojny Światowej umożliwił przygotowanie licznych wydawnictw opracowanych w Szwajcarii. Po wywiezieniu do Kraju w roku 1927 zasadniczego zrębu zbiorów rapperswilskich zasoby zmodernizowanej placówki muzealnej przedstawiały się skromnie. Ale i one oddały wielkie usługi internowanym w Szwajcarii żołnierzom 2-giej Dywizji Strzelców Pieszych. W poszukiwaniu egzemplarzy najniezbędniejszych wydawnictw przetrzaskano wszelkie dostępne księgozbiory placówek dyplomatycznych, organizacji polskich, osób prywatnych itd. Pewnym oparciem były działy słowiańskie wielkich bibliotek światowych w Paryżu, Londynie, Waszyngtonie, New Yorku, biblioteki-warsztaty pracy slawistów (np. prof. Williama J. Rose'a w Londynie), księgarnie żydowskie w ówczesnej Palestynie a dzisiejszym Izraelu itp. W zakresie tekstów literackich ujawniały się zasadnicze luki i jeszcze w roku 1946 w przedmowie do antologii „Wierszy polskich wybranych” skarży się Grydzewski, że nie mógł dotrzeć do licznych wierszy Leśmiana, Iłakowiczówny, Zagadłowicza, Gałczyńskiego czy Szenwalda.

Doraźne potrzeby Kraju widziano dwojako. Postulatem Nr 1 było informowanie świata o prześladowaniach kultury polskiej (np. protest przeciw wywiezieniu do Niemiec profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego). Wcześniej uruchomionym pogotowiem ratunkowym były zapomogi pieniężne przerzucane przez kurierów i pomoc paczkowa rozbudowywana systematycznie i konsekwentnie do końca wojny a w zmienionym kształcie kontynuowana przez długie lata po roku 1945. Byli nią objęci wszyscy pracownicy naukowcy i pisarze, których adresy udało się ustalić na podstawie książek telefonicznych, spisów wykładów i składów personelu wyższych uczelni — a wreszcie danych wydobytych z prywatnych książeczek adresowych. Najwcześniej uzyskane adresy dotyczyły jeńców wojennych i pochodziły ze spisów oflagowych dostarczonych przez genewską centralę Czerwonego Krzyża już w jesieni 1939 roku do Paryża.

W ścisłym kontakcie z Krajem prowadzono rejestrację strat kultury polskiej i w miarę napływu materiałów ogłaszano i szeroko kolportowano „czarne księgi”, z których pierwsza pt. „L'invasion allemande en Pologne” wyszła w początku 1940 roku w Paryżu pod firmą Flammariona z przedmową Ed. Herriot'a.

Opieką Rządu R.P. na wygnaniu objęci byli także pisarze i pracownicy naukowcy, którzy znaleźli się poza Krajem. Poza indywidualną pomocą pieniężną w formie subwencji wypłacanych

w ratach miesięcznych, Rząd finansował działalność placówek naukowych i imprez wydawniczych. Pomoc ta trwała do końca wojny i miała zasadnicze znaczenie dla liczego grona pisarzy, którym umożliwiła przetrwanie i kontynuowanie pracy twórczej.

Najwcześniej i najłatwiej doszli do głosu poeci, wówczas jeszcze w pełni „komunikatywni”, dalecy od eksperymentowania, często nawiązujący do chwytów stosowanych w okresie młodzieńczych sukcesów. Utwory ich ogłaszały nie tylko wspomniane wyżej czasopisma ale i liczne dzienniki, tygodniki, wydawnictwa jednorazowe, efemerydy, pojawiające się wszędzie, gdzie znalazła je grupka Polaków a więc np. w Rumunii czy na Węgrzech. Szczegółowe dane rozsiane są po dwu tomach „Literatury polskiej na obczyźnie” pod red. T. Terleckiego; tu operuję tylko przykładami.

Opuszczając pośpiesznie Paryż w czerwcu 1940 roku pozostałam w szufladzie mego biurka w Bibliotece Polskiej w Paryżu rękopiśmienne odpisy wierszy, składających się na antologię poezji pierwszego roku wojny. Przepadły — a obejmowały ponad dwieście utworów skopiowanych z pierwodruków.

Nieco wcześniej, w zimie 1940, wystąpili na zbiorowym wieczorze autorskim poeci, w większości Skamandryci. Był to niemal „zjazd maturzystów”. Na estradzie spotkali się debiutanci z wczesnych lat Niepodległości, rzadko występujący równocześnie w tak licznych zespole. Niektóre z recytowanych wówczas wierszy np. „Alarm” Słonimskiego i „Kolęda warszawska 1939” Balińskiego zyskały popularność, której rozmiarów nie podobna przecenić. Były na ustach wszystkich, przepisywane i recytowane przy każdej okazji, przedrukowywane we wczesnych numerach pism podziemnych, w obozowych wydawnictwach rumuńskich i węgierskich. Zawarty w nich ładunek uczuciowy trafiał celnie. Był rezultatem spontanicznej reakcji ich autorów na wydarzenia wojenne. Formalnie były jednak dalszym ciągiem twórczości przedwojennej podobnie jak nowe wiersze przebywających również w Paryżu Skamandrytów (Lechonia, Wierzyńskiego, Tuwima, Witłina, Pawlikowskiej) — oraz nie związanych formalnie ze „Skamandrem” Józefa Łobodowskiego i Jerzego Paczkowskiego.

Najklasyczniejszym przykładem tendencji kontynuatorskich jest „Barbakan warszawski” Wierzyńskiego, rozpoczęty w Kraju przed rokiem 1939, ukończony we Francji i wydany jako druk bibliofilski (sic!) już wczesną jesienią 1940 w nicejskiej oficynie Samuela Tyszkiewicza, której siedzibą był pokój typografa wynajęty w willi na Cimiez. Wierzyński uzupełnił we Francji ostatnim wojennym rozdziałem poetycki zarys dziejów stolicy, doprowadzając jej losy do końca września 1939.

Zjawiskiem rzucającym się w oczy był powrót do twórczości pisarzy, którzy w okresie bezpośrednio poprzedzającym wybuch wojny odzywali się rzadko i stopniowo znikali z widowni — jak Lechoń i Baliński. Ten nagły wybuch „wygaśnięć wulkanów” sprawił, że Skamander dożywający, jak się zdawało swoich dni i eliminowany energicznie przez różne odłamy awangardowe, po-

jawił się na nowo w odświeżonej wydarzeniami glorii, w blaskach powtórnego debiutu wobec żywo reagującej i wyjątkowo dobrze odbierającej utwory poetyckie publiczności. Na fali powodzenia odzyskały popularność wiersze przedwojenne, przypomniane w wyborach opublikowanych wkrótce potem w Nowym Yorku.

Wczesny okres wojenny miał wyraźny finał. Był nim upadek Francji, który na nowo rozproszył i ułożył w inne ugrupowania znajdujących się poza Krajem pisarzy. W owych pierwszych miesiącach zdołano „skrzyknąć się”, jak powiadał Terlecki, podjąć wczesne wspólne akcje i zorientować się w stratach bezpowrotnych, takich jak śmierć Józefa Czechowicza i Witkacego — i tragiczne samobójstwo Józ. Aleks. Gałuszki, wyprzedzające analogiczną decyzję Witkacego, bo już 6 września popełnione pod Annapolem. W niewoli odnaleźli się Gałczyński, Pankowski, Przytuński, Sułkowski — w Argentynie utknął na długie lata Gombrowicz.

Nie od razu zorientowano się, że w składzie osobowym wczesnej kadry pisarskiej brak bardzo istotnego ogniwa. Była nim nieobecność pisarzy, których debiuty przypadły na ostatnie dziesięciolecie międzywojenne. Większość ich przebywała nadal w Kraju (Miłosz, Andrzejewski, K. Brandys, Breza), Stan. Dygat wyładował, jako internowany, nad jeziorem Bodeńskim. W więzieniach i obozach sowieckich ugrzęźli Broniewski, Czapski, Czuchnowski, Naglerowa, Herling-Grudziński, Obertyńska, Parnicki, Sebyła — i wielu innych. Na Zachodzie byli co prawda Stanisław Młodożeniec, Czesław Straszewicz i Jerzy Pietrkiewicz — nie rwali się jednak do podjęcia prac pisarskich. Na prowincji francuskiej usiłował pisać porażony już śmiertelną chorobą Bolesław Miciński. W odróżnieniu od późniejszych okresów diaspora była czynnikiem hamującym twórczość pisarzy odciętych od czytelników i wydawców.

Nieobecności pisarzy z grup literackich, które ogólnie można określić mianem po-Skamandryckich, przypisać należy jakby cofnięcie zegara na odcinku poszukiwania nowych form wypowiedzi. W niektórych wypadkach było to zjawisko mylące, bo np. Gombrowicz, Iwaniuk, Pankowski, Sułkowski w owych latach pozornego milczenia albo tworzyli nie pisząc, albo nowych swych prac nie mogli publikować.

Utrata warsztatu pisarskiego i nagłe urwanie kontaktów z krajowym środowiskiem, związane z poczuciem zagubienia w obcym świecie, miały decydujący wpływ na twórczość Marii Pawlikowskiej. W bolesnej sytuacji życiowej, w jakimś błysku natchnienia czy daru absolutnego widzenia narodził się wiersz „Wenecjo...”, jeden z najlepszych jakie kiedykolwiek napisała, odbijający korzystnie od schematu wierszy nostalgiczno-patriotycznych, łączących żal z nadzieją powrotu.

Wynikiem żywej reakcji na sytuację Kraju były liczne utwory poetyckie i próby beletryzowania relacji o życiu pod okupacją. Ujawniają się one jednak dopiero w okresie angielskim.

Nagle opustoszały, zacerniony zasłoną dymną Paryż, wyludnił się z piszących Polaków. I dopiero w roku 1957 okazało się, że wtedy właśnie zaczęły powstawać „Szkice piórkem” Andrzeja Bobkowskiego.

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

Fejś, 22. I. 1976

Niemówność? Polityczna? Absolutna?

1.

Numer *Kultury* 10/337; „Dziennik pisany nocą” Gustawa Herling-Grudzińskiego; odcinek z datą 24 czerwca; tekst dotyczy spotkania z Efimem Etkindem, który, cytując: „[...] dba o zachowanie dystansu [...] wobec reszty rosyjskich emigrantów i rozmaitych formacji dysydenckich w ZSSR. Cierpi (! — W.W.) na programową programofobię; ten wstręt ma dla moich uszu swojski dźwięk politycznej Niemożności Absolutnej”.

Włos się jeży: Etkind cierpi! Jak gdyby programofobia była cierpieniem; chorobą podobnie jak wodowstręt; a przecież nie o programy w ogóle Etkindowi, jak przypuszczam, chodzi, tylko o programy polityczne; i myślę, że Etkind bynajmniej nie jest chory, lecz zdrowy właśnie, bo ten jego wstręt, to wstręt człowieka zdrowego na widok zaropiałych bandaży w kuble szpitalnym. „Polityczna Niemożność Absolutna” u Herlinga-Grudzińskiego, to sprzężenie dające w rozumieniu autora całość negatywną, dwóch pojęć niebylekackich: mocy (o znaku ujemnym) i absolutu z pojęciem (dla mnie) bylejakim: polityki.

Skóra cierpnie! Od kiedy istnieją totalizmy różnej maści, politycy totalitarni określają politykę jako działalność, zmierzającą do organizacji całokształtu życia społecznego; właśnie oni specjalizują się w układaniu programów, ideologii i jak tam jeszcze te kolonie gronkowców złocistych się nazywają; skutkiem takiej działalności jest nieuchronnie deprawacja i wynaturzenie życia społecznego, wynikające stąd, że politykę uważa się za coś nadzrędnego wobec wszelkich innych przejawów życia. A to raczej sąd groźnie fałszywy. Politycy ci mają nadto w zwyczaju powiadać, że wszystko jest polityką i że roztrząsanie zagadnień politycznych w kategoriach nie-politycznych jest przejawem określonej postawy politycznej właśnie. Oczywiście — nie uważam Herling-Grudzińskiego za polityka, tym mniej za totalitarnego; ale, tak się domyślam, ulega on łatwo pokusie wymagania od

kogoś, kto przyjął określoną postawę moralną, aby się w następstwie określił politycznie. — Pytam: po co?

2.

Przyporządkowanie i podporządkowanie twórczości naukowej albo artystycznej polityce (a byłaby to akurat polityczna Możliwość Absolutna) prowadzi najczęściej do tego, że powstają niewydarzone płody umysłu i wyobraźni. Jest przy tym rzeczą obojętną, czy służy się w ten sposób w dobrej czy złej wierze słusznej czy niesłusznej sprawie. Przygody powojenne literackiej grupy pokoleniowej zwanej „pryszczaci” są tego dobrą ilustracją: został skażony język, a wiem coś o tym, ponieważ i mój język został na czas tak skażony. Teraz postrzegam zjawisko podobne o odwróconym przebiegu czasowym, kiedy skażenie języka nie jest punktem wyjścia, lecz punktem dojścia: poeta z nie najgorszych, należący do tzw. pokolenia 1956, Stanisław Grochowiak, stracił kontrolę nad językiem i wyobraźnią z chwilą, gdy twórczość podporządkował polityce. W nrze 11/75 *Miesięcznika literackiego* wydrukował pięć „Epigramów poważnych”. Zbądźmy milczeniem tendencję sensów (politycznych zresztą; a że politycznych, to nawet istotne), jakie chciał wyrazić; ważne jest, że w następstwie uwikłania się w sensy polityczne wyrażane w pseudonimowanych co prawda, ale jednak politycznych kategoriach, wyprodukował językowe potworki. Cytuję: 1) „[...] ani razu wrogom nie mydliłem oczu / Umykającą piętą”. 2) „[...] Wśród Wschodu zazdrostek — Zachodu firanek / Polska wyrosła — bezbronny Baranek / Dzisiaj służebna jest Owca”. W poprzednim okresie pisarstwa Grochowiakowi nigdy nie udałyby się takie sformułowania jak mydlenie oczu piętą albo przemienianie bezbronnego Baranka w służebną Owcę. A wszystko to dlatego, że przybrał postawę wyrażoną tak oto: „Kto dla Ojczyzny stoi / Niechaj panowanie / Byle swoich — bez ujmy znosi [...]”. Mniejsza już z tym, że po polsku nie mówi się w podobnym kontekście „stać dla czegoś”, tylko „stać o coś”; ważne jest wyznanie o obowiązku tolerancji wobec władzy, każdej na domiar, czyli wobec polityki jako polityki, despcję i barbarzyństwo włączając; wyznanie o obowiązku podporządkowania się sprawującym z tej lub innej racji władzę politykom. Ta postawa rodzi potworki językowe i nie tylko językowe: jest to, używając wyrażenia Andrzeja Ki-jowskiego, płasawica mózgu.

W jednej z rozmów z Eckermannem Goethe powiedział, że poeta angielski Thompson napisał znakomity utwór o czterech porach roku, bardzo niedobry natomiast o wolności i to nie dlatego, że zabrakło poezji w poecie, ale dlatego, że nie ma poezji w przedmiocie. Można tę myśl dzisiaj inaczej i może precyzyjniej wyrazić, ale sens zasadniczy jest na pewno słuszny, jeśli przyjmujemy, że Goethe rozumiał ową wolność Thompsona jako kategorię polityczną. Co rozumiem przez rzeczownik „polityka” czy przymiotnik „polityczny” o tym tym później nieco (retardacja trzyma czytelnika w napięciu; to taka chytrłość). Na razie

tyle tylko: poemat pochwalny o wolności, zwłaszcza politycznej, udać się przypuszczalnie nie może; wolność jest w sobie i egzystencjalnie, i rozumowo tak sprzeczna, że pisarsko spożytkowana da się ująć jedynie tragicznie. Goethe o tym wiedział, bo zapewne czytał Arystotelesa.

Z tych to i podobnych powodów Marks uważał Goethego za filistra.

3.

Przejdźmy od poezji do epiki powieściowej. I tutaj odniesienia problematyki psychologicznej czy w ogóle związanej z kondycją ludzką do sytuacji i działań politycznych — wówczas, kiedy są odniesieniami wyłącznymi albo głównymi — także powodują pisarskie niepowodzenia. Tak stało się np. z brawurowo skąd inąd napisaną powieścią Andrzeja Kuśniewicza „Trzecie królestwo”. Powieść, powiadam, napisana jest świetnie, ale w ostatecznym rachunku jest chybiona. A stało się tak dlatego, że wszystkie konflikty i motywacje konfliktów sprowadzają się do przyczyn, powodów, konfiguracji lub uwarunkowań politycznych: moda, obyczajowość, mistyka, erotyka, losy ludzkie, spięcia i napięcia. Sprowadzenie wszystkiego do jednego wspólnego politycznego mianownika przyczynia się do spłaszczenia fabuły i międzyosobowych kontrowersji, tudzież do tego, że polityki jako szczególnej dziedziny działalności ludzkiej nie daje się wyodrębnić, ponieważ w niej to cała reszta się rozmywa. A że książka napisana jest wirtuozersko, wirtuozeria ta w tym przypadku to rozmazanie, rozmycie czy rozmydlenie jeszcze potęguje.

Myślę, że wybranie sobie przez autora przypadłości politycznych jako nadrzędnego punktu odniesienia, przyczynia się do tego, że punkt widzenia jest ahistoryczny; a używam tu terminu „historia” również i dla ułatwienia sobie przeskoku w wywodzie, do którego włączyć mam teraz ochotę (i niejaka potrzebę) drukowane niedawno w *Kulturze* fragmenty nieukończonych sztuki Gombrowicza, zatytułowanej „Historia” właśnie.

Czytelnicy zapewne przypominają sobie: główny bohater tekstu, sam autor, Gombrowicz, rozprawiwszy się najpierw z w pewnym sensie upolitycznioną instytucją rodziny, idzie w świat, aby rozprawić się z instytucją władzy państwowej, z państwem, z tokiem historii pojmowanej jako historia polityczna, robiona przez polityków; polityka jest dla bohatera (pojawia się słynne Gombrowiczowskie „Ja”) przedmiotem gry, instytucja władzy jest przedmiotem gry, władający (politycy) są przedmiotem gry; pisarz nie służy polityce, lecz się polityką i politykami posługuje, w istocie stanowią dlań ona i oni zdegradowany surowiec. Aktywność Gombrowicza wobec historii, jako dziejów politycznych kształtowanych przez polityków, jest negatywna i zaprzeczająca, więcej: destruktywna. Przejawia się to najdobitniej w „Legendzie I-go AKTU”, kiedy to Gombrowicz-pisarz postuluje, aby Gombrowicz-postać poradził Cesarzowi Mikołajowi: UCIEKAĆ/NIE BYĆ ROSJANINEM/NIE BYĆ CESARZEM/NIE

BYĆ OJCEM I MĘŻEM. Podobne zresztą są zabiegi Gombrowicza postaci i wobec Wilhelma II i wobec Piłsudskiego; w stosunku do Hitlera idzie w swej destrukcji dalej jeszcze, kiedy powiada Piłsudskiemu: „Hitler nie istnieje / Hitlera nie ma”. I w tym to widać intencję (nie: program!) pisarza: uczłowieczyć historię przez jej odpolitycznienie.

Czyżby to właśnie była „polityczna Niemożność Absolutna”? Czy należałoby życzyć Gombrowiczowi, aby odczułowieczył był literaturę upolityczniając ją? Aby ją był postawił w służbę politycznej Możliwości Absolutnej?

Mózg drętwieje!

4.

Teraz należy wreszcie zapytać: co mamy rozumieć przez politykę?

Nie da się wywieść jej definicji operując kategoriami politycznymi. Jest to tak, jak gdybyśmy przyjęli za właściwość główną termometru jego temperaturę i tę temperaturę jeli mierzyć drugim termometrem, który by temperatury pierwszego nabrał i ją wskazywał. Takie postępowanie jest w sposób oczywisty nierozumne. A jednak politycy upierają się, by w ten właśnie nierozumny sposób postępować; czynią tak albo z egoizmu (dla ochrony własnych interesów, jako odrębnej grupy społecznej), albo z tchórzostwa, albo dlatego, żeby inne grupy społeczne wywieść w pole.

Próbując sformułować definicję polityki, założmy sobie arbitralnie, a przede wszystkim dla wygody rozumowania, pewną dychotomię (i opozycję zarazem) życia społecznego: działalność, zmierzającą do uzyskiwania wartości (materialnych i duchowych) oraz działalność, zmierzającą do uzyskiwania sytuacji. Odwołując się do doświadczenia życiowego stwierdzić można łatwo, że uzyskać sytuację bez organizowania i instytucjonalizowania się nie da; uzyskać wartość bez organizacji i instytucji, i więcej: wartości Polityka przynależy aż natarczywie do tej dziedziny działalności, która zmierza wyłącznie do uzyskania sytuacji, i więcej: wartościowości politycznych nie ma — sytuacja nie może być wartościowa, tak jak np. wartościowy może być sprzęt jakiś albo kwartet smyczkowy. Osobliwość wzajemnego odniesienia i trochę niesymetryczna dialektyka między twórczością (uzyskiwaniem wartości) a polityką polega między innymi na tym, że twórczość dokonuje się zawsze w określonych warunkach i okolicznościach, w sprzyjającej lub niesprzyjającej sytuacji; uzyskiwanie sytuacji natomiast obywateli się świetnie bez równoległego uzyskiwania wartości. Odniesienie polityki do świata wartości jest w gruncie rzeczy — modelowo problem przedstawiając — nihilistyczne; myślę tu przede wszystkim o wartościach duchowych: moralnych, poznawczych, estetycznych.

A więc definicja polityki: działanie ludzkie, zmierzające do uzyskania sytuacji społecznej przez organizację i przez instytucje, służące tej grupie społecznej, która tą działalnością się zaj-

muje. I uwaga do tej definicji: im bardziej rzeczywistość zbliża się do ideału, zawartego w tym sformułowaniu, im bardziej uzyskiwanie sytuacji staje się celem w sobie, czyli im bardziej działalność polityczna przenika wszystkie inne obszary życia, starając się sobie dla własnych korzyści podporządkować, tym bliżej jesteśmy totalizmu: totalizm bowiem to Polityka Absolutna, nie mająca nad sobą ani Boga, ani poczucia godności. W rezultacie: polityk skrycie lub jawnie pożąda służebności dokonań twórczych wobec polityki, nie cofając się przed użyciem przymusu; pożąda więc zniszczenia autonomii twórczego działania, czuje wstręt do dóbr wobec polityki nadrzędnych i dąży do tego, aby zagadnienia duchowe rozstrzygać siłą fizyczną.

Człowiek twórczy, rozumujący i o polityce, i o wartościach w kategoriach politycznych staje po stronie siły fizycznej; w obliczu słynnej napoleońskiej antynomii; rozum — miecz, opowiada się za mieczem (pamiętajmy, że Napoleon opowiedział się za rozumem wtedy dopiero, gdy miecz utracił). Nie znaczy to, aby nie należało zastanawiać się nad polityką; tylko, że niebezpiecznie jest mieć *poglądy polityczne*; mieć należy *poglądy na politykę* z punktu widzenia interesów tych grup społecznych, które zajmują się uzyskiwaniem wartości, a więc tych interesów, którym polityka, jako działalność pomocnicza powinna być przy- i podporządkowana. Pychę polityków należy utrać, gdzie się da.

5.

Wracamy do punktu wyjścia, do Etkinda, R. Miedwiediewa, Herling-Grudzińskiego i Turczina. Znam wywiad Miedwiediewa i wiem, że jest niedobry, a dlatego niedobry, że wywód prowadzony był w kategoriach politycznych, a nie np. poznawczych. Słusznie mówił o tekście Etkinda, że te propozycje to kosmetyczne poprawki. I na pewno zgodzi się — wbrew przypuszczeniom Herling-Grudzińskiego — z cwiszenruffem Turczina, który tu powtarzam: „Nasz system eliminuje ludzi, aspirujących do samodzielnego myślenia. Jest potworny dla każdego, kto ma choć trochę oleju w głowie. Nikt na Zachodzie nie uprzytamnia sobie, jak dalece nasza sytuacja podobna jest do „Roku 1984” Orwella. Nasze społeczeństwo znajduje się w stanie pełnej dekadencji. Bóg jeden wie, do jakich to doprowadzi wstrząsów”. — Turczin mówi wyraźnie o *sytuacji*, w której uzyskiwanie *wartości* staje się niemożliwe, o *stanie* społeczeństwa, które na skutek tej sytuacji wyradza się. Innymi słowy: Turczin mówi o polityce z pozycji pozapolitycznych, oskarża polityków, którzy tę sytuację stworzyli; jest wobec polityki duchowo suwerenny, wymaga od niej służebności wobec życia i twórczych poczyniń. I tu właśnie spotyka się, w głębszych warstwach swojej postawy i swego rozumowania, z Etkindem: po stronie rozumu, nie po stronie miecza. Proswieticielstwo zaś Etkinda to oczywiście więcej, niż praca organiczna: to używanie rozumu właśnie, a nie wyrobnictwo, polegające na kleceniu programów i wynikających z nich układów politycznych, które mają tę właściwość, że czy chcemy czy

nie chcemy stają się instytucjami, instytucje zaś zawsze w większym lub mniejszym stopniu, racjonalnie lub nieracjonalnie, słusznie po części a częściej niesłusznie, niewolą człowieka. Niewola i odżegnanie się od rozumu mogą być instytucją; wolność i rozum instytucją być nie mogą. Natomiast: Turczin (sądząc według cytowanego cwiszenrufu) z Herlingiem-Grudzińskim się raczej nie spotyka, bo Herling-Grudziński sądzi (i w dobrej wierze błądzi), że wolność i rozum dają się zaprogramować.

Polityczne zaprogramowanie rozumu? — Zmiłowania!

6.

Parafrazując Gombrowicza, ośmielam się mówić: WYŁAMAC SIĘ Z PROGRAMU! / PRZESTĄC BYĆ POLITYKIEM! / PRZESTĄC SŁUŻYĆ POLITYKOM! / UCIEKAĆ OD POLITYCZNEGO MYŚLENIA! — Cichutko dodaje: tworzyć.

Nikt do tej pory nie napisał historii rodzaju ludzkiego tak ujętej, aby była dziejami twórczości na pierwszym planie, z polityką na drugim i podrzędnym. Jeśli ktoś by miał zamiar do tego się zabrać, to, co do mojej osoby, chętnie zgodzę się na funkcje służebne.

Witold WIRPSZA

Mecenas

Dowiedziałem się dopiero co z pięknego artykułu Stanisława Frenkla* „Pożegnanie Galerii Grabowskiego”, że ta Galeria istnieć przestała.

Niech mi wolno będzie wyznać od siebie, że to był dla mnie szok i wielki żal! Od lat wszystkie moje wystawy w Londynie miały miejsce w tej gościnnej Galerii na Sloane Avenue. Odruchowo zacząłem ją uważać trochę za swój dom londyński.

Ze strony dyrektora doznawałem zawsze pomocy i zachęty; jeżeli zaś chodzi o materialną stronę tych imprez — tak szero-kiego z jego strony gestu — nie mogę uważać Mateusza Grabowskiego za normalnego *marchand'a*, ale za *mecenasa*. A przecie moje malarstwo było i jest najdalsze od tych kierunków, które się zwą awangardowymi, przynoszącymi co roku nowe sensacje, w które dyrektor angażował się najżywiej.

Ten magister farmacji, założyciel i właściciel apteki, którą zna każdy Polak (świetnie zorganizowana, dostarcza najszybciej lekarstw, które wszyscy coraz to posyłamy do Polski), stał się z dnia na dzień dyrektorem galerii malarskiej w jasnym, obszernym skrzydle tegoż co i apteka domu. Ta symbioza Apteki z Galerią była przecie fenomenem nie tylko polskiego Londynu. Jeżeli

mówię o symbiozie, to dlatego że obie instytucje po jakimś organicznie się zrosły, cały zespół współpracowników i współpracowniczek apteki pomagał nam zawsze po przyjacielsku, wprost z nami współżył.

A Grabowski? Ile razy widywałem go zagłębionego wcale nie tylko w księgach farmaceutycznych, ale w katalogach przeróżnych po świecie wystaw malarskich, a nawet w grubych tomach, których treść ze sztuką była związana. Jeżdżąc po Europie odwiedzał wystawy, galerie, bywał w pracowniach artystów, których do siebie zapraszał i potem u siebie wystawiał, tych wszystkich, którzy jak mu się zdawało wnosili, czy próbowali wnieść do sztuki „nowe dreszcze”, żadna dziwność, nawet dziwaczność go nie przestraszała. Sam widziałem tam najwięcej eksponatów sztuki „awangardy”, do której już od pół wieku sam nie należałem — czego tam nie było! Op- i Pop-art, brut, informel, amerykańskie wpływy krzyżujące się tu z angielskimi, ale i z polskimi! Ten fanatyk nowości wcale jednak nie lekceważył sztuki, która mu tych nieoczekiwanych niespodzianek nie dostarczała.

Obok najdziwniejszych obiektów, które byłoby mi trudno nazwać dziełami sztuki, mieliśmy tam wystawy obrazów, z którymi publiczność była już do pewnego stopnia oswojona: obrazy malarzy starszych, czy jak ja — całkiem starych. Tam wystawiał i Turkiewicz, którego malarstwo pełne metamorfoz przechodziło wiele faz, wchodząc coraz bardziej w świat czystej abstrakcji; wystawiał również Stanisław Frenkiel, którego bym zaliczył do skrajnych, do gwałtownych ekspresjonistów, pokrewnych Baconowi; wystawiał Szyszko-Bohusz, wszystkim znany malarz, krytyk, pedagog; samotny, subtelny śp. Janikowski z Paryża i iluż innych przyjaciół i kolegów.

Pamiętam zresztą jak pewien krytyk angielski wyraził dyrektorowi zdziwienie, jeżeli nie zgorszenie, że Galeria wystawia tuż przy najsłabszych nowatorach takie malarstwo jak np. moje. „Mateusz” (tak go nazywaliśmy) tłumaczył mu cierpliwie, że i takim malarzom należy się miejsce.

Nie mogę się powstrzymać, by nie opowiedzieć tu czegoś wesołego. Wystawiałem w Galerii chyba po raz ostatni przed dużym, jubileuszowym pokazem, gdzie malarze „ostatniego krzyku” wnosili do Galerii swe dziwne obiekty i „potwory”, przyjmowane zawsze z równie rzeczową uwagą. Nadchodziły również liczne eksponaty z Polski, m.in. nadeszła wąska i długa, z desek starannie zbita skrzynka, nadesłana przez jednego z głośnych warszawskich nowatorów. Po ostrożnym odbiciu deseczek dyrektor wyciągnął długą rurę z czarnego bakelitu. Z obu jej otworów wyglądał kawałek drutu-sznura koloru fioletowego. To było wszystko. Drut-sznur, wyglądający z jednego otworu rury był całkiem prosty — z drugiej strony mocno pokrzywiony.

Powstał cały problem — czy to pokręcenie było umyślne, czy najprościej pochodziło od złego opakowania, i jakże to dzieło sztuki sfotografować do katalogu. Uwagę, z jaką nad tą łami-główką zastanawiał się dyrektor, podkreślałem wcale nie ironicz-

* *Wiadomości* z 11. I. 1976 r.

nie. Każdy eksponat z galerii był traktowany z równą pieczołowitością i szacunkiem dla intencji autora.

Pono 400 eksponatów, które Grabowski nabył od wystawiających u niego artystów, ofiarował Muzeum Narodowemu w Warszawie oraz Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Łodzi — ojczyźnie Strzemińskiego. Muzeum Łódzkie, jedyne w Polsce, posiada tak bogatą kolekcję dzieł kubistów, formistów, unistów, konstruktywistów z pierwszej doby, zebranych wtedy, gdy jeszcze te kierunki były wyśmiewane, czy wprost nieznane szerszemu ogółowi. To muzeum właśnie, wzbogacone hojnym darem Grabowskiego, mogłoby się stać jedynym swego rodzaju ośrodkiem badań dla historyków sztuki i miłośników wszelkiej awangardy.

Kończąc tę notatkę chcę jeszcze raz wyrazić żal, że ta cenna placówka kultury, stworzona przez jednego człowieka została pochłonięta przez czas i wyrazić nie tylko w moim imieniu, głęboką wdzięczność Mateuszowi Grabowskiemu.

Józef CZAPSKI

Życie wydawnicze w polskim Londynie

Czytelnicy wymierają, sprzedaż książki spada — rzecz najnaturalniejsza pod słońcem. Życie wydawnicze toczy się jednak nadal i to dość bujnie. Wy tłumaczenie tego zjawiska leży w fakcie, że niejedyn inwestuje swoje życiowe oszczędności nie w marmurową płytę na grób, a w książkę, książkę, która będzie jego pomnikiem, a przynajmniej pamiątką dla potomnych. W związku z tym zmienia się charakter rynku wydawniczego. Tzw. domy wydawnicze stają się drukarniami, drukującymi co klient przyniesie. Działają nie tyle świadoma polityka wydawnicza, co tradycyjny dobór naturalny. Autor katolicki pójdzie z natury rzeczy do „Veritasu”, kombatancki — do „Gryfu”, chadecki — do „Odnowy”. Kurczenie rynku odbija się na razie nie na ilości pozycji wydawniczych, co na wielkości nakładów. O ile dawniej wydawano po dwa tysiące, to teraz regułą staje się nakład jednotysięczny.

W wydawanych książkach przeważają — zgodnie z powyższym — pamiętniki, kroniki, wspomnienia. Idzie fala pozycji akowskich. Jest rzeczą interesującą, że popyt idzie w parze z podażą: najlepiej idzie właśnie książka typu pamiętnikarskiego, potem eseje, rozprawy itp., gorzej powieści, jeszcze gorzej opowiadania i nowele, najgorzej, bo prawie wcale — poezje.

POLSKA FUNDACJA KULTURALNA wyda w tym roku dwie serie książek. W serii majowej ukażą się:

E. Raczyński — „Od Narcyza Kulikowskiego do Winstona Churchilla” (wspomnienia); W. Trościanko — „Nareszcie lata pokoju!” (powieść); J. Surynowa-Wyczółkowska — „Jesień gringi” (powieść); F. Wysłouch — „Ścieżkami Polesia” (gawędy); W. Sol-ski — „Władza” (powieść historyczna).

Do serii gwiazdkowej wejdą:

Z. Romanowiczowa — „Sonor felice” (powieść); W. Tarnawski — „Ksiądz Antoni” (powieść); Z. Zaniewidzki — „Moje 50-lecie” (wspomnienia).

Pozostałe dwie pozycje w tej serii wypełnione będą przez utwory wybrane spośród następujących autorów: A. Chciuk, J. Fryling, T. Katelbach, B. Kawecki, St. Kisielewski, A. Tomaszewski.

Poza seriami ukażą się:

L. Tyrmand — „Tu w Ameryce — rady dla Polaków”; D. Mos-twin — „Moi synowie”; Szymon Konarski — „Pamiętnik”; I. Wieniewski — „Przekłady poetyckie” (z łaciny).

Katolicki ośrodek wydawniczy VERITAS ma w przygotowaniu następujące pozycje książkowe:

Ks. J. Makowski — „Wspomnienia kapłana”; ks. W. Maciocha — „Rozważania ascetyczne”; ks. W. Maciocha — „Kierownictwo duchowe”; ks. W. Maciocha — „Dlaczego jestem wierzącym katolikiem”; ks. W. Hühnermann — „Apostoł młodych św. Jan Bosco” (w tłumaczeniu z niemieckiego); ks. St. Bełch — „Żywot św. Stanisława” (2 tomy); św. Tomasz z Akwinu — „Trylogia o Bogu”, t. II i III; L. Mitkiewicz — „W wojsku polskim w czasie wojen 1917-21 r.”; St. Karpiński — „Na skrzydłach huraganu, opowiadania lotnicze”, 2 t.; H. Glass — „W pracy i walce, sylwetki 16 wybitnych Polaków XX wieku”; S. Tworkowski — „Ostatni zrzut” (wspomnienia partyzanckie); Z. Peszkowski — „Listy Polaków” (między XVI i XX wiekiem); J. Makowiecka — „Wprowadzenie do sanskrytu”; J. Knappik — „Dynamiczna ekspansja kosmosu — powstanie, rozwój i koniec wszechświata”; J. Janowski — „Tradycje sił narodu”; W. Gortat — „Zakładnicy z pierwszego miliona” (wspomnienia z obozów koncentracyjnych); — „Pamiętnik Aniarki” (pisany piórem 14-letniej dziewczynki).

W oprawie jest już drukowana dla Instytutu gen. Sikorskiego część 2-ga tomu II-go *Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie*; tytuł tej części: Kampanie na obczyźnie.

Ośrodek będzie kontynuował wydawanie własnego organu prasowego *Gazeta Niedzielną* (tygodnik) i serii książkowej „Muzeum”. W serii tej wydawane są odblaski artykułów M. Paszkiewicz w *Gazecie Niedzielną*, opisujące polonika w Anglii.

Ośrodek ma zgłoszone do wydania polskie tłumaczenie dzieł Platona (ok. 1000 stron druku) i „Życiorysy Świętych” (ok. 2000 stron) i szuka mecenasów, którzy sfinansowałyby wydanie tych prac.

Plany wydawnicze większych instytucji londyńskich na rok 1976 przedstawiają się następująco:

GRYF. Firma jest obecnie w trakcie reorganizacji, mianowicie łączy się z „Orłem Białym” (*White Eagle Press*) i przeprowadza się do lokalu „Orła”.

Nowe przedsiębiorstwo działać będzie pod nazwą Gryf — *White Eagle Press Limited*. Sprawy te zajmą pierwszą połowę bieżącego roku. Z tego powodu firma nie ma planu wydawniczego na ten rok, wykańcza jedynie roboty już zaczęte, a więc jeśli chodzi o książki:

Jan Pilaciński — „Narodowe Siły Zbrojne”; „Dokumenty AK tom III”; „Album Pamiątkowy Szkoły Młodszych Ochotniczek APW”; B. Hełczyński (red.) — „Rocznik Polskiego Towarzystwa Naukowego”.

Bez przerwy przebiegać będzie druk pism. Po stronie „Orła” drukuje się tygodnik *Wiadomości* i miesięczniki polityczne *Jutro Polski* i *Rzeczpospolita Polska*, po stronie „Gryfu” — narodową *Myśl Polską* (dwutygodnik) i miesięcznik kombatancki *Orzeł Biały*.

ODNOWA przygotowuje do druku sześć książek:

J. Braun, K. Popiel, K. Sieniewicz — „Wspomnienia o Janie Hoppem”; Kardynał St. Wyszyński — „Wybór kazań społeczno-politycznych”; J. Drewnowski — „O myśl polityczną”; K. Popiel — „Sikorski w mojej pamięci”; K. Popiel — „Zarzewie”.

Jednocześnie kontynuowana będzie seria publikacji polemicznych pod ogólnym tytułem „Polska w świecie współczesnym”. Na bieżący rok przewidziane są zeszyty zawierające wypowiedzi następujących autorów: A. Ciołkosz, St. Kisielewski, Danuta Mostwin, K. Popiel, K. Sabbat, K. Sieniewicz, Z. Stypułkowski, S. Wąsik.

OFICyna POETÓW I MALARZY. Pozycje książkowe:

J. Drobnik — „Myśli przydrożne” (aforyzmy); M. Lurczyński — „Mañana” (powieść); Zew Szeps — „Antologia poezji hebrajskiej” (przekład polski autora); Jadwiga Shalitt — „Antologia poezji hebrajskiej” (przekład polski autorki); A. Sierakowska — „Synowie” (wspomnienie); T. Wyrwa — „Pamiętnik z powstania”; J. Matlachowski — „Kulisy genezy powstania warszawskiego”.

Wzorem lat ubiegłych, „Oficina” wyda również szereg tomików poezji, m.in. Z. Marka *Nad rzeką Styx*. Wydawany będzie również kwartalnik *Oficina Poetów*, który wchodzi obecnie w jedenasty rok życia.

POLONIA BOOK FUND wydała już w tym roku dwie książki, które noszą datę roku ubiegłego. Są to:

J. Conrad — „Eseje polityczne”; Ion Ratiu — „Rumunia współczesna”.

W przygotowaniu:

Aleksander Wat — „Pamiętniki”, tom I; Nadieżda Mandelstam — „Nadzieja w beznadziejności” (wspomnienia) (już się ukazała); M. David i J. Daniel (red.) — „Socjalistyczna opozycja w Czechosłowacji” (zbiór dokumentów).

Książki

Dyskretny czar totalizmu

Książka J.-F. Revel'a *Pokusa totalitarna** jest dobrze udokumentowanym ostrzeżeniem przed modnym na Zachodzie flirtem z totalizmem; z merytorycznego punktu widzenia ma ona dla czytelnika polskiego taką wartość, jak instrukcja przeciwpożarowa dla pogorzańcy (i to takiego, któremu dom podpalono), jest jednak interesująca jako znak czasu. Nieprzychylny szumek wokół autora, który z nadludzkim wysiłkiem tłumaczy tzw. intelektualistom, że lekceważone przez nich „swobody formalne” i „represywna tolerancja” demokracji są jednak odrobinę mniejszym złem od archipelagu Gułag i psychiatriów z KGB; sam fakt potrzeby tego rodzaju wyjaśnień; pesymizm Revel'a, który zastanawiał się poważnie nad nadaniem książce tytułu: „O nieuchronnym postępie stalinizmu w świecie i nieuniknionej klęsce prób przeciwstawienia się temu” — wszystko to świadczy, że irracjonalizm polityczny osiągnął w wolnym (jeszcze?) świecie rozmiary niepokojące.

Revel jest publicystą o dużym talencie i rozsądku, specjalizującym się w stawianiu tez niepopularnie trzeźwych, szczególnie w jego ojczystej Francji. Poprzednia jego książka „*Ni Marx, ni Jėsus*” (relacjonowałem ją w *Kulturze*, Nr 12/291, 1971) sprowadzała się do twierdzenia, że — na przekór różnym mitologiom — nowych wzorów organizacji społecznej i ekonomicznej czyli „rewolucji” w sensie istotnym można spodziewać się jedynie ze Stanów Zjednoczonych ponieważ pozostali kandydaci nie mają ludzkości nic do ofiarowania: kraje komunistyczne są reakcyjnymi dyktaturami policyjnymi, Trzeci Świat jest zacofany i w nędzy, a Europa Zachodnia stanowi zbiór skłóconych i trzepieszających w oczach kraików, patrzących nie dalej swego nosa.

* Jean-François Revel, *La tentation totalitaire*, Editions Robert Laffont, Paris, 1976, 372 str.

Podobny obraz leży u podstaw *Pokusy totalitarnej*, autor zajął się tu jednak pytaniem, dlaczego „baza” tego rodzaju wytworzyła nader opaczną „nadbudowę” wyrażającą się w pogardzie dla wolności i sukcesów ekonomicznych Zachodu, a intensywnym uwielbieniu komunistycznych totalniaków z Chinami i Związkiem Sowieckim na czele. Revel, uważający się i uważany za lewicowca (dzięki czemu książka zwróciła na siebie więcej uwagi, niż gdyby wyszła spod pióra „reakcjonisty”) zwraca się nie do zachodnich komunistów, będących totalistami z urzędu, lecz do wyznawców mglistego a modnego goszyzmu, którego podstawę ideową stanowi to, co proponuje on nazywać *pidgin-marksizmem*: przekonanie o nieuchronnej „klęsce historycznej” kapitalizmu, uległość wobec komunistycznej demagogii, marzenia o rewolucji i bliżej niesprecyzowanym socjalizmie. Revel z pewną rezygnacją rozpatruje tę ideologię (ściślej byłoby: ideomanię) punkt po punkcie, wykazując jej dziecinność i stwierdzając, że w praktyce jest ona marzeniem o totalizmie.

Dla ilustracji stylu Revela i trudności zadania jakiego się podjął (najtrudniej udowodnić rzeczy oczywiste) przyjrzyjmy się jego zmaganiom z koronnym zarzutem przeciw kapitalizmowi: pojęciem wyzysku.

„Gdyby wyzysk człowieka przez człowieka był jedyną czy choćby główną przyczyną kapitalistycznego wzrostu bogactwa [...], amerykańscy rolnicy powinni być zabiedzonymi podludźmi za parę centów harującymi po 18 godzin na dobę podczas gdy kwitnący, wypoczęci i wyzwoleni z alienacji kołchoźnicy winni znajdować bez trudu dosyć wolnego czasu, by przez wiele godzin dziennie poświęcać się malarstwu i krytyce literackiej, jak to postulował Marks w sławnym „Manuskrypcie z 1844 r.”. Jednak gdyby przypadkiem okazało się, że ci najmniej wyzyskiwani pracownicy są w gorszej sytuacji niż pierwsi, stanowiłoby to może dowód, iż kapitalistyczny wzrost bogactwa jest także, a ściślej: głównie rezultatem stosowania naukowej agronomii (prawdziwej, nie łysienkowskiej, narzuconej przez Stalina i Chruszczowa milionom przypisanych do ziemi i bezsilnych chłopów), organizacji pracy i zwiększonej produktywności. I to samo odnosi się bez wątplenia do przemysłu i usług” (str. 237).

Revel zdaje sobie oczywiście sprawę, że klasyczną ripostą na to jest: no tak, socjalizm walczy jeszcze z pewnymi trudnościami, ale... W ripoście tej ujawnia się kilka cech *pidgin-marksizmu* naraz: 1) akceptacja lansowanego przez komunistów utożsamiania komunizmu z socjalizmem; 2) unik w stosunku do meritum sprawy „wyzysku”; 3) traktowanie notorycznej niewydolności ekonomicznej komunizmu jako „przejęściowych trudności”, podczas gdy rzeczywiście przejściowe problemy społeczeństw kapitalistycznych (inflacja, bezrobocie) są — od bardzo dawna — ogłaszane jako „agonia”. Bezsilność wobec tego typu argumentów płynie stąd, że w istocie ma się tu do czynienia nie z rozumowaniem, a *quasi-religijną* wiarą. Jej źródłami są zdaniem autora ignorancja i nacjonalizm. To pierwsze odnosi się zarówno

do niewiedzy czym naprawdę jest totalizm jak i do niewiedzy *tout court*, skłaniającej do przyjmowania na wiarę rozważań wydumanych nad papierem i łudzących prostotą i „żelazną logiką”. Nacjonalizm zaś, który Revel nazywa „zbiorową megalomanią” z jednej strony podsyca zazdrość wobec bardziej rozwiniętych państw po tej stronie rowu (stąd antyamerykanizm, stanowiący klasyczny składnik goszyzmu, oparty w 99 % na zazdrości i poczuciu niespłaconych zobowiązań), z drugiej zaś fascynację potęgą i ekspansjonizmem komunistycznych tytanów; fakt, że potęga ta została zbudowana kosztem szczęścia obywateli tych krajów uchodziłby uwadze lub traktowany jest jako *quantité negligible*. Komunizm staje się receptą na potencję.

Sądzę, że poruszenie przez Revela motywu zazdrości i frustracji jest uderzeniem gwoźdźcia w samą główkę; interesujące są jego spostrzeżenia, odnoszące się do wzrostu potencjału zazdrości w społeczeństwach zamożnych. Kapitalizm zwiększył wydatnie siłę nabywczą ludności krajów, w których się rozwinął i tym samym zastąpił dawny podział na nielicznych bardzo bogatych i licznych bardzo biednych dużą ilością różnic mniej astronomicznych; że zwiększa to psychologiczną podatność na zazdrość jest oczywiste: stosunkowo mało zazdrośczeni szachowi perskiemu jego pałaców i jachtów, natomiast jadąc Volkswagensem patrzą z żywą niechęcią na faceta w Cadillacu. Od tego uczucia do tęsknoty za systemem uniemożliwiającym dorobienie się Cadillaca komukolwiek — dystans już niewielki. Dodać by należało, że jest to uczucie bardziej europejskie (a jeszcze bardziej azjatycko-afrykańsko-latynoskie) niż amerykańskie, co wiąże się z mniejszą skalą możliwości zarobkowych i ciasniejszym horyzontem — czyli znowu z frustracją.

Dorzuć tu motyw przez Revela nie poruszony, a także istotny. Charakterystyczną cechą ideomanii lewicowej jest nachalna moralistyka, „humanizm”, „troska o człowieka”, etc. Pomijając już fakt, że w imię ideałów wymordowano więcej ludzi niż po prostu dla rabunku czy z nienawiści, „wyższość moralna” jest znakomitym sposobem kompensacji własnej niższości i poczucia klapy. Nie jest tak zawsze, ale bywa często: jeśli nie możesz przewyższyć ich normalnie, przewyższ ich moralnie... Innymi słowy podejrzewam, że chodzi tu w dużym stopniu o zwyczajną chęć dominowania bliżnich pod pięknym pozorem. Zwrócił już na to uwagę Orwell 40 lat temu, borykając się z dokładnie takimi samymi ideowcami, jakimi zajmuje się w *Pokusie totalitarnej* Revel. Porównując polityczną mapę świata ówczesną i obecną stwierdzić trzeba, że pokusa poczyniła postępy.

Flirt z totalizmem nie jest salonowy (mimo, że prowadzony bywa przez salonowych rewolucjonistów) i ma realne konsekwencje. W trzeźwym języku totalitarnych rekinów nazywa się to „techniką destabilizacji”, co oznacza w praktyce sianie zamętu, darmową propagandę i mydlenie oczu. Lewicowcy w bonżurkach pełnią tu użyteczną rolę rybek-pilotów i Revel cytuje dziesiątki

przykładów, świadczących o postępującym „podgotowywaniu” publiczności europejskiej. Ich dziełem zasadniczym jest nieuzasadniona niczym *respectability* komunizmu, przejawiająca się m.in. w powszechnym lęku przed etykietką „antykomunizmu”, tak że każdy, kto wyrazi lekkie choćby zastrzeżenia na temat 60 milionów trupów *made in the Soviet Union* natychmiast spiesz się dodać, że bynajmniej nie jest antykomunistą, a tylko ten właśnie drobny szczegół, tak na marginesie... Bez zastrzeżenia tego bowiem facet zostaje automatycznie zakwalifikowany jako „prawicowiec” i traci publiczność.

Podkreślić należy, że Revel występuje nie jako apologeta kapitalizmu jako takiego, lecz jako mniejszego zła. Komunizm uważa on za system reakcyjny nie dlatego, że jest antykapitalistyczny lecz z uwagi na jego niewydolność ekonomiczną, wrogość wobec pluralizmu i centralizację władzy, umożliwiającą wszelkie nadużycia. „Stalinizm polega nie na tym, że miliony ludzi siedzą w łagrach, lecz na tym, że stan taki jest każdej chwili możliwy” — brzmi jego definicja. Trudno się z nią nie zgodzić. Trudno też nie zgodzić się z konkluzją książki, że dziecinna choroba lewicy na Zachodzie gra w ręce Sowietom: „Europa Zachodnia słaba i podzielona, nie podbita ale potulna, coraz bardziej izolowana od Stanów Zjednoczonych — to był zawsze jeden z celów polityki zagranicznej Związku Sowieckiego”. Cel ten realizuje się już po trosze na naszych oczach.

Od tego czy ten i podobne głosy rozsądku zostaną dosłyszane w porę zależy czy inne cele Związku Sowieckiego będą miały szansę realizacji. Głupota staje się bowiem siłą realną z chwilą gdy opanuje masy.

M. BRONSKI

Wielka maskarada

„Krwawe skrzydła”* są powieścią polityczną osnutą wokół życiorysu Juliusza Kadena-Bandrowskiego. Autor, urodzony w roku 1920, jest rówieśnikiem synów pisarza, poległych w 1944. Główny bohater powieści, trafiony odłamkiem granatu 6 sierpnia 1944 na Ochocie, umiera w dwa dni później. W powieści występuje jako Roman („Muś”) Giertycz-Białogrodzki w towarzystwie wymyślnie poprzerzywanych osobistości ze świata pisarskiego i politycznego. Rozszyfrowanie tych pseudonimów powieściowych nie

* Lesław M. Bartelski, *Krwawe skrzydła*. Powieść. Warszawa, 1975, Czytelnik, 8°, t. I: str. 396, t. II: str. 388. Nakład 20.290 egzemplarzy.

przedstawia trudności dla czytelników starszych generacji, choć lektura przypomina chwilami rozwiązywanie krzyżówek: Węgliński-Miedziński, Kępka-Zawadowski-Zygmunt Nowakowski, Czyżkowski-Irzykowski itd., itp. — jest tych sztucznych nazwisk do diabła i trochę i chce się dodać: po diabła? — skoro przemieszane są z nazwiskami autentycznymi i wplecione w tło autentycznych wydarzeń. Nie trzeba być wielkim znawcą literatury, by w Gencjanie Eydziatowiczu rozpoznać Witkacego, w Arturze Baumie — Brunona Schulza, w Orthweinie — Ostapa Ortwiną a w Annie Róży Jabłonowskiej — Zofię Nałkowską. Podejmując pisanie powieści Bartelski chciał uzyskać w ten sposób większą swobodę operowania danymi biograficznymi i cytatami; mam wątpliwości czy było to celowe. Idąc śladami opowieści biograficznych Berenta czy powieści staropolskich Hanny Malewskiej stara się wyzyskać do maksimum autentyczne wypowiedzi pojawiających się na kartach „Krwawych skrzydeł” postaci. Nie podobna wyodrębnić jednak wtopionych w dialogi wypowiedzi Nałkowskiej czy Witkacego od przypisywanych im przez Bartelskiego słów czy poglądów. Z drugiej strony, jeśli powieść znajduje się w ręku rówieśników syna Bartelskiego, czy nie załamają się skonfrontowani z dziesiątkami postaci, które, raz odszyfrowane, budzą w nas wyraźne skojarzenia z całokształtem ich biografii. „Makary” (Sławek), „Stokłos” (Sławoj-Składkowski), „Wal-fisz-Walicki” (Kaplicki) albo „Bieglicz” (Wieniawa-Długoszowski) stają się postaciami papierowymi gdy się ich odziera z autentycznych nazwisk. Nie wiadomo w czym kryje się ich historyczna ważność, dlaczego pojawiają się na kartach powieści.

W tłumie bliskich Kadenowi osób, poza rodziną, pisarzami, politycznymi przyjaciółmi i wrogami pojawia się ostro narysowana grupa pseudo-przyjaciół Niemców, przypadkowych znajomych z Rzymu, przeobrażających się, w miarę zbliżania się do roku 1939, w postacie czynnie zaangażowane w sprawy nadchodzącej a następnie już się toczącej wojny. „Przypadkowe” spotkania z nimi, w nieoczekiwanych okolicznościach, przypominają „Dra Żiwago”.

Wielką nazwiskową maskaradę tłumaczy do pewnego stopnia wybór Kadena jako głównego bohatera powieści. Bartelski nawiązuje w ten sposób do „Czarnych skrzydeł” (skąd tytuł „Krwawe skrzydła”) i „Mateusza Bigdy”, stosujących ten sam chwyt. Sens jego koncepcji był inny. Kaden asekurował się przed konsekwencjami drastycznych portretów z natury. Bartelski opisuje wydarzenia sprzed co najmniej trzydziestu lat. To już historia. Zbliżamy się przecież szybkim krokiem do stulecia urodzin Kadena, a autor „Krwawych skrzydeł” niemal beatyfikuje bohatera swej powieści. Choć przecież niedawno temu, „po wojnie, w latach 1948-1956, w wyniku opacznej interpretacji wartości artystycznych i ideowych prozy Kadena, nie wznawiano jego dzieł” — informuje nas rzeczowo Michał Sprusiński, autor wydanej w 1971 roku monografii. Cóż za huśtawka ocen! I co za igraszki cenzury! „Zegar słoneczny” Parandowskiego miał akcję

opowiadań osadzoną w „mieście bez imienia” (za to z Łyczakowem i Wałami Hetmańskimi), — Kijowski opisywał pogrzeb Starszego Pana, zmierzający ku katedrze wawelskiej. Tu, u Bartelskiego, przewijają się, tu i ówdzie wzmianki o „Brygadzie”, „Komendancie”, ale — skoro Haller występuje jako „Sodalis” — i to także mogą być maski dla nowych czytelników w PRL-u. W środowisku pisarskim mgliście rysują się Skamandryci, z którymi Kaden miał żywe kontakty, a zupełnie brak Herminii Naglerowej, której proza kształtowała się pod silnym wpływem właśnie Kadena.

Bartelski pisze także „pod Kadena”. Świadomie. To nie epigonstwo i nie naśladownictwo, ale — jak sądzę — próba wskrzeszenia pisarza „żywego”, wczucia się w tajemnicę jego warsztatu powieściopisarskiego. Jest to jednak Kaden ukłaskany, uspokojony, ugłaskany. A także — i to umiejętnie — wtłoczony w ramy 20 rozdziałów, w których Bartelski przeskakuje od powieściowego czasu teraźniejszego wstecz, zaczepiając się o analogię, wspomnienie, spotkanie z dawnym znajomym itp.

Powieść czyta się niemal jednym tchem, co nie oznacza aprobaty stanowiska autora. W latach trzydziestych pracowałam w Bibliotece Narodowej, rozsianej po Warszawie, korzystającej między innymi z gościny w Pałacu Potockich (dziś zwanym raczej Pałacem Tyszkiewiczów). Parter gmachu zajmowała Akademia Literatury (PAL), której sekretarzem był Kaden. Spotykałam go często, „ważnego”, w stałych konfliktach z otoczeniem, odcinającego się nieprzyjemnie od brata-łaty Sieroszewskiego czy świetnych manier Berenta. W ujęciu Bartelskiego tego przedwojennego Kadena przesłania, zapewne znany mu osobiście, Kaden „okupacyjny”, istotnie godzien podziwu a ostatecznie wywindowany na wyżyny prawdziwego bohaterstwa żołnierską śmiercią w czasie Powstania Warszawskiego.

Bartelski rozbudował biografię Kadena, oprawiając ją w szerokie ramy środowisk, w których się obracał. Ciekawie wypadła Bruksela, w której sposobił się do kariery wirtuoza-pianisty, tragicznie przerwanej złamaniem ręki w napiętku. Losy Kadena zbiegły się wtedy z działalnością „Filarecji”, której członkami byli oboje Dąbrowscy, Juliusz Poniatowski, Medard Downarowicz, Samotyhowie. Kaden należał, w obrębie organizacji, do ściślejszego, zamkniętego koła „Lelewi”. Stąd już tylko krok do Strzelca, Legionów i ożywionej działalności politycznej i społecznej. Nazwisko zrobiły mu opowiadania legionowe: „Piśsudczycy”, „Bitwa pod Konarami”, „Mogily”, „Spotkanie”, nie przedrukowywane od roku 1936-37. Ułaskawienie Kadena jest dotąd częściowe i odnosi się a) do cyklu powieści o własnym i synów dzieciństwie, b) do wielkich powieści politycznych: „Czarne skrzydła”, „Generał Barcz” i „Mateusz Bigda”, wznowionych po „odwilży” a dziś doszczętnie wyczerpanych. Bartelski relacjonuje dokładnie okoliczności powstania poszczególnych utworów, ich związki z biografią Kadena i recepcję u współczesnych. Dobrze

wydobywa symptomy niemocy pisarskiej, występujące po roku 1933, po ukazaniu się „Mateusza Bigdy” i konstatuje, że okres czynnej pracy pisarskiej trwał u Kadena krótko: rozpoczął się na serio opowiadaniem legionowymi i (na owe czasy) wysoce kontrowersyjnym „Łukiem” (1919) a zakończył ok. 1932-33. Okupacja nie obudziła możliwości twórczych. Nosił się z zamiarem napisania dalszego ciągu „Bigdy”, to znów utworu scenicznego. Przerabiał natomiast, z myślą o przyszłych wydaniach, dawne swe utwory, oczyszczając je z „barokowych” ozdób i relikwów młodopolszczyzny.

Współbohaterami powieści o Kadenie są działający z nim współcześnie pisarze: kolega szkolny (?) Witkacy, Nałkowska (*amitié amoureuse*), Irzykowski. Wiem, że to zgodne z prawdą, ale trudne do wyobrażenia: Kaden i Irzykowski, Gerwazy i Protazy, grający w szachy i pozwalający jeden drugiemu na gorzkie słowa prawdy o własnych charakterach i twórczości, bez skąkania sobie do oczu, bez trzaskania drzwiami i „definitywnego” zrywania stosunków. Czy przyjaźń z Witkacym była aż tak bliska i zażyła? Nie wydaje się, by Bartelski poruszał się tu na pewnym gruncie. A już najzupełniej fałszywie, choć zgodnie z wersją Witkacego, przedstawiony jest „Lord Movebo”-Bronisław Malinowski. W rzeczywistości w roku 1914, po samobójstwie narzeczonej Witkacego, przyszły wielki etnolog wkręcił przyjaciela (w roli fotografa) do angielskiej ekipy naukowej udającej się do Australii. Tam zaskoczyła ich wojna, stwarzając groteskową sytuację. Urodzony w Królestwie Witkiewicz był poddanym carskim, *ergo* aliantem Australii. Malinowski reprezentował dla odmiany wrogie mocarstwo habsburskie i dlatego internowano go i dla pewności zesłano na wyspy Pacyfiku. Z rosyjskim paszportem Witkiewicza wiązał się obowiązek służby w wojsku carskim.

Takich poprawek byłoby więcej. Najbardziej zasadnicze sprzeczki nasuwa jednak tło polityczne powieści. Autor stara się odmalować je tak, jak rysowało się ono Kadenowi jako autorowi powieści politycznych. Zweksłował jednak na jakiś boczny tor, uwiodła go malowniczość plotek, kukiełek z szopek politycznych, dowcipów z „Cyrulika”. Tak potraktował np. „Stokłosa” (Ślawoja), „Bieglicza” (Wieniawę), „Baczkiewiczza” (Stan. Mackiewicz). Na ogół sumienny, gdy idzie o detale, nie zadał sobie trudu sprawdzenia słuszności zarzutów ciężkiej wagi, które mogą być oszczerstwem.

Bartelski jest wydawcą pism Gajcego i autorem cennej książki o młodych pisarzach podziemia, z którymi związany był „grupą wieku” i współpracą w „Sztuce i Narodzie”. Walczył w powstaniu warszawskim. Nic więc dziwnego, że pisał mu się lepiej, swobodnie, gdy poruszał się na znajomym terenie. Widzi się jednak, że wyczuł i potrafił oddać zryw legionowy, choć (może wbrew intencjom) ograniczył się do wybranych epizodów, wiążących się z biografiami bohaterów powieści (np. siostry Kadena, powieściowej Masi).

Większość wydarzeń powieściowych ma za tło Warszawę. Ale całkiem swobodnie porusza się Bartelski także we Florencji, Dubrowniku, Wiedniu, Krakowie — i Lwowie. Tu już wprost imponuje znajomość planu miasta, przedwojennych realiów (Teliczkowa, Musiałowicz, „Atlas”, trasy tramwajów, krawat od Berty Stark itp.).

Powieść Bartelskiego, podobnie jak „Kolumbowie, rocznik 1920” Bratnego, będzie niewątpliwie szeroko komentowana w kołach politycznych na Emigracji pod kątem fałszywych interpretacji faktów historycznych. Sądzę, że należy je podzielić we właściwej proporcji między autora i cenzurę.

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

Nie samym winem...

Ignorancja rodzi przesady, nie wyklucza jednak sympatii: do wodom na to jest bujnie kwitnąca w ciągu ostatnich 150-tu lat przyjaźń polsko-węgierska. Chociaż zawadiackość, zamiłowanie do wina i koni tudzież anachroniczna skłonność do rycerskich gestów niewątpliwie stanowiły wspólny rys warstwy szlacheckiej u obu narodów, język był zaporą na pozór nie do przebycia. „Jak można nauczyć się po węgiersku? Przecież to prawie tak trudne jak chiński” — wykrzykują moi mniej wykształceni językowo przyjaciele polscy, a Węgrzy słysząc, że zajmuję się zawodowo językiem i literaturą polską, pomrukuje z uznaniem acz niedowierzająco. Ostatnie doświadczenia wykazały jednak, że zdolność adaptacji językowej nie ma granic: masa polskich wychodźców mieszkających w czasie wojny na Węgrzech nauczyła się po węgiersku, a także sporo Węgrów opanowało w ostatnich latach polski zdumiewająco dobrze. Miało to korzystny wpływ na stosunki kulturalne pomiędzy obu narodami — w ostatnich dwóch dziesięcioleciach przetłumaczono więcej literatury z węgierskiego na polski (i *vice versa*) niż poprzednio w ciągu półwiecza.

Mimo to, jak podkreśla Andrzej Sieroszewski w przedmowie do nowej antologii poezji węgierskiej wydanej niedawno przez PIW¹, Polacy poznali literaturę węgierską głównie od strony powieści i znacznie mniej wiedzą o węgierskiej poezji. Do niedawna tłumaczenia wierszy węgierskich na polski wykazywały bardzo nierówny poziom literacki, a spotkanie dobrze obznajmionego z literaturą zachodnią Polaka, który potrafiłby równocześnie wymienić choćby jednego żyjącego poetę węgierskiego

1. *Antologia poezji węgierskiej*. Wybór i układ: Istvan Csapláros, Gracja Kerényi, Andrzej Sieroszewski. Redakcja poetycka: Mieczysław Jastrun. PIW, 1975, 588 str.

można było uważać za sukces. Wszystkie to, miejmy nadzieję, należy już do przeszłości, posiadamy bowiem obecnie antologię — pierwszą tego rodzaju — która prezentuje tę „hermetyczną” poezję w postaci poprawnych, a niekiedy świetnych tłumaczeń.

Antologia ta została zredagowana przez Mieczysława Jastruna, a wybór i współpraca redakcyjna są dziełem dwójga znających polski Węgrów, oraz Polaka, który wykłada literaturę węgierską na Uniwersytecie Warszawskim. Podkreślić należy, że zarówno przygotowanie jak i większość szczegółowych, wymagających wiele staranności i cierpliwości prac redaktorskich zawdzięczamy jednemu ze współredaktorów, Gracji Kerényi. Jest ona córką Karola (Károly) Kerényi'ego, jednego z najwybitniejszych europejskich specjalistów od mitologii greckiej, cieszącego się światową sławą. Pani Kerényi zetknęła się z językiem polskim w czasie wojny — po aresztowaniu przez Gestapo była więźniarką Oświęcimia; w późniejszych latach przetłumaczyła na węgierski wiele polskich powieści, sztuk i wierszy. Mimo, że już przedtem reputacja jej jako tłumacza była ugruntowana, *Antologia poezji węgierskiej* stanowi jej osobny tytuł do sławy: musiała przygotować dosłowne tłumaczenia dla polskich poetów, a następnie „kontrolować” wiersze aż do momentu druku, namawiając, przekonując a niekiedy, terroryzując swych polskich przyjaciół, celem wyduszenia z nich utworów, które brzmiałyby dobrze po polsku a równocześnie nie gwańczyły ducha oryginału.

Rezultaty są godne podziwu. W większości wypadków p. Kerényi udało się dopasować poetów węgierskich ubiegłych siedmiu wieków do ich polskich „odpowiedników”, to znaczy do poetów, którzy wgłębili się w minione epoki i potrafiliby utrafić w język ton danego utworu. Już pierwszy utwór antologii, *Lament Maryi* (ok. 1300) jest taką *trouvaille* — tłumacz, Miron Białoszewski, wykazał wspaniałe wyczucie ducha i stylu oryginału:

Co żałość, nie znałam.

W żalu-m pogrążona,

Smutkami zagryziona...

To samo odnosi się do innych tekstów i poetów. Janus Pannonius (1434-1472), jedyny wybitny poeta łaciński na Węgrzech, został przetłumaczony płynnym heksametrem przez Jacka Bocheńskiego, autora *Boskiego Juliusza*; Peter Bornemisza, protestancki poeta-kaznodzieja — przez Bohdana Zadurę (jego znakomite tłumaczenia tego i innych poetów są jedną z miłych niespodzianek tej antologii); Miklós Zrínyi, barokowy poeta i żołnierz, autor *Opresji Szigetu* — przez Jerzego Zagórskiego. Bálint Balassi (1554-1594), największy poeta węgierski XVI-go wieku (porównywany z Kochanowskim, chociaż prócz pewnych tropów łacińskich i petrarkańskich mało ma z nim wspólnego) został po raz pierwszy w języku polskim zaprezentowany tak jak na to zasługuje — antologia zawiera osiem jego utworów, w tłumaczeniach

Antoniego Lange, St. J. Leca i Witolda Dąbrowskiego. Balassi był żołnierzem-poetą i humanistą; w młodości został protegowanym Stefana Batorego i towarzyszył mu w oblężeniu Gdańska w 1576 (choć nie mamy dowodu, że istotnie walczył pod Gdańskiem, jak sugeruje nota na str. 21); po śmierci Batorego odwiedził ponownie Polskę w 1589, zamierzając wstąpić do wojsk Zamojskiego, przygotowującego się wówczas do wojny z Turcją. Jego piękny cykl wierszy miłosnych w stylu manieryzmu skierowanych do „Celi”² został napisany właśnie w Polsce; o ile należy pochwalić umieszczenie w PIW-owskiej antologii dwóch wierszy do Celi, o tyle szkoda, że znajduje się w niej tylko jeden z jego wierszy religijnych (*Racz już dać mi ucieśnienie...*), bo w tym gatunku był aż do XIX wieku poetą nieprześcignionym.

Poezja węgierska i polska wykazują częste zbieżności. Wprawdzie literatura węgierskiego Odrodzenia była mniej oparta niż polska, ale Zrinyi i Gyöngyösi wytrzymują porównanie z Potockim i Andrzejem Morsztynem, a Péter Pázmány robi większe wrażenie niż ks. Skarga. Wiek osiemnasty dał niewiele dobrego w poezji tak w Polsce jak i na Węgrzech; niewiele się tu dzieje aż do Csokonai i Batsányi'ego. Ten ostatni (1763-1845) był radykalnym reformatorem okresu Oświecenia, przypominającym Jakuba Jasińskiego; jego wiersz „na wypadki francuskie” zaczyna się od słów: „O narody i państwa, co z tygranów Woli / Jęczyście dziś w okowach okrutnej niewoli...”; losy jego były jednak odmiennie od Jasińskiego. Batsányi został uwięziony przez Austriaków w Kufsteinie i nigdy więcej nie zobaczył Węgier; mieszkał jako emigrant w Austrii, potem w Paryżu, a po upadku Napoleona znów w Austrii. Csokonai — pełne nazwisko brzmi: Mihály Csokonai Vitéz (1773-1805) — żył krótko, a życie jego było tragiczne: fakt, którego trudno domyślić się z jego twórczości. Jak powiada nota biograficzna: „łączył w swojej poezji lekkość i giętkość rokoka z tonacją pieśni ludowych i erudycją powergiliańską”; był zwolennikiem Rousseau i pisywał zarówno sentymentalne poezje opiewające naturę jak i wiersze miłosne (przypominające Trembeckiego); jest też autorem bardzo zabawnego poematu heroikomicznego (lepszego od Krasickiego). Pod utwory jego podkładano muzykę i długo jeszcze po jego śmierci śpiewali je również studenci. Nie wydaje mi się, by zamieszczone w antologii przekłady oddawały w pełni naturalny walor muzyczny jego poezji (np. wiersz *Do Nadziei*) i nieledwie mozartowski wdzięk języka. Niemniej: dziesięć jego wierszy znalazło się w antologii, co jest dobrym początkiem.

Wiek XIX jest w poezji węgierskiej równie ważny jak w polskiej, chociaż ważniejsi poeci węgierscy pierwszej połowy XIX wieku nie zawsze byli romantykami, i — ogólnie biorąc — cechowała ich większa „konkretność” i pragmatyzm w porównaniu

z odpowiednikami polskimi. Mistycyzm nie odpowiada, jak się wydaje, charakterowi węgierskiemu. Vörösmarty, największy węgierski poeta romantyczny, był liberalnym rzecznikiem reform społecznych, a małżeństwo jego było udane; niemniej i on jest autorem kilku rozdzierających wierszy, napisanych po upadku węgierskiego zrywu wolnościowego w 1849 (np. *Stary Cygan*) — tragedie narodowe wydają ię stanowić warunek powstawania wielkiej poezji romantycznej we Wschodniej Europie. Mamy też na Węgrzech znakomitego poetę klasycystycznego: jest nim Dániel Berzsenyi, prowincjonalny szlachcic, dziwak i melancholik, rozmiłowany w Horacym. Jego smutne wiersze na temat zmienności świata i ludzi wypadły — w przekładzie Jerzego Litwiniuka — lepiej — niż utwory, w których piętnował swych współziomków za przemieszczenie duchowi narodowemu, a w których (jak np. *Do Węgrów*) tłumaczowi nie udało się oddać porywającego metrum oryginału, choć i polska wersja przekazuje po części majestatyczny, posępny ton Berzsenyi'ego: „*Nie widziałś miściwych niebios bicza / Co twej ojczyźnie nasyła kary?*”, a także: „*Cóż dziś jest Madziar? Szkielet sybaryty / Niepomny swej przeszłości znamienitej, / Na gruzach i na łzach ojczyzny / Pałace stawia sobie wspaniałe*” (str. 120). Ta mieszanina lamentu patriotycznego i nawoływania do zmiany jest dość charakterystyczna dla tzw. Okresu Reform, kiedy to najlepsi poeci, dążąc usilnie do poprawy sytuacji w kraju, pełni byli równocześnie złych przeczuć jego upadku i zagłady — czuli podświadomie, że to co stało się z Polską, może też stać się z Węgrami. W rzeczywistości Węgrom powiodło się lepiej: wprawdzie klęska zrywu 1848/49 oznaczała pełne podporządkowanie kraju administracji austriackiej, ale Kompromis roku 1867 z Austrią przywrócił najistotniejsze elementy samostanowienia narodowego i stworzył ową niezwykłą hybrydę środkowoeuropejską: monarchię austro-węgierską.

Sándor Petöfi, jedyny węgierski poeta, którego nazwisko jest lepiej znane w Polsce, jest reprezentowany w antologii siedemnastoma wierszami. Zginął on młodo, w wieku 26 lat, walcząc jako adiutant Bema z Rosjanami w Transylwanii. Petöfi był poetą, kipiącym sentymentami demokratycznymi i rewolucyjnymi, poetą rodzaju, o jakim Towarzystwo Demokratyczne marzyło na próżno. Jego poezja nie była wyrafinowana ani złożona, ale niekiedy potrafił być równie elektryzujący jak młody Mickiewicz i równie cięty jak Heine w swych najlepszych utworach. Jego miłosny liryk „*Przy końcu września*” uważany jest za jeden z najlepszych wierszy, jakie istnieją w języku węgierskim — przekład jego w antologii jest pióra Kazimierza Hłakowiczówny. Jednakowoż Petöfi nie ma chyba szans stania się sensacją dla polskich miłośników poezji XIX-wiecznej — jaką dla niektórych może być odkrycie Arany'ego. János Arany (1817-1882) należy do tych mistrzów języka węgierskiego, którzy „złe znoszą podróże”; jego utwory zbyt głęboko zakorzenione są w samym języku. Główne jego dzieło, poemat epicki *Toldi* (na temat rycerza z okre-

2. Była nią Anna Szarkandy, wdowa po Gaspar Bekes'u i żona Ferencza Wesselényi'ego, pana na Dębnie i Lanckoronie.

su Ludwika Węgierskiego) odgrywa w literaturze węgierskiej *mutatis mutandis* podobną rolę, co *Pan Tadeusz* w polskiej. Omiawiany wybór z konieczności zawiera jedynie fragment Toldi'ego (pierwszą pieśń poematu) niemniej przetłumaczony przez Tadeusza Nowaka znakomicie. Nowak, sam dobry poeta, potrafił uchwycić zarówno realizm utworu jak i powściągliwą powagę tonu Arany'ego — niebłahe osiągnięcie dla kogoś, kto nie zna języka węgierskiego.

Układ antologii po wiek XX nie nastroczał problemów: wystarczało iść utartym szlakiem, odstępować od niego gdzieś pod wpływem takich czy innych preferencji redaktorów. Stosunek poetów dawnych (od XIV do XIX wieku) do tegowiecznych wynosi 34:36, ale to pewne uprzywilejowanie wieku XX jest zrozumiałe. Jeśli chodzi o poetów żyjących czy też należących do okresu „współczesnego”, żaden z naprawdę znaczących nie został pominięty, choć może wybór spośród poetów drugorzędnych mógłby być lepszy. Jeśli włączeni zostali — z takich czy innych powodów — Erdélyi, Józef Fodor, Berda, Somlyó i Garai, to czemu pominięci są Sinka, Nadányi, Kálnoky, Rába, Imre Takács i András Fodor? Rozumiemy trudności, z jakimi musi borykać się redaktor, mając do dyspozycji tylko tyle i tyle stron; ale przypuszczalnie nie to było powodem pominięcia wszystkich poetów węgierskich, mieszkających poza granicami dzisiejszych Węgier. Gyula Illyés nazwał raz poezję węgierską „pięciodzielnym fletem” — oprócz głównej odnogi na Węgrzech, pozostałymi są skupiska twórczości poetyckiej węgierskich mniejszości na Słowacji, w Jugosławii i Rumunii; piątą stanowi poezja emigracji, czyli Diaspory.

Trudno mi się zgodzić z tym, że poeci zamieszkali już przed wojną w Transylwanii zostali włączeni do antologii (Remenyk, Dsida) — słusznie zresztą — natomiast nie ma w niej ani jednego utworu jakiegos z poetów węgierskiej mniejszości w Rumunii *obecnej*, choć mniejszość ta liczy ok. 2 milionów i posiada dwa pisma czysto literackie i kilka czasopism kulturalnych³. Poezja Diaspory węgierskiej wydaje się być wyklętą generalnie, mimo że niektórzy z jej poetów (tacy jak Faludy i Gyóző Határ) winni znaleźć się w antologii, pretendującej do zbioru najlepszej poezji węgierskiej dawnej i obecnej. Tu jednak należy się redaktorom przywilej domniemania niewinności: pełni najlepszej woli redaktorzy niekiedy muszą ustąpić wobec tabu, narzucanych przez gorliwą biurokrację.

Poeci współcześni mieli niejednakowe szczęście do tłumaczy polskich. Podobają mi się dosyć tłumaczenia Mihály Babits'a pióra Jerzego Litwiniuka (choć *Psychoanalysis Christiana* i *Jak osobliwy zwiastun* częściowo tylko rekompensują pominięcie *Ksiąg Jonasza*), tłumaczenia Kosztolányi'ego i Milán Füst'a przez Wiktora Woroszyłskiego i przekład Apáda Tóth'a pióra

3. *Utunk* (Kolozsvár-Cluj) i *Igaz Szó* (Marosvásárhely/Tirgu-Mures) są tymi czasopismami literackimi; często drukują tłumaczenia poezji polskiej.

Bohdana Zadury. Innymi słowy, poeci *Nyugat* (najważniejszej grupy poetyckiej tego stulecia) wypadli dobrze, natomiast Endre Ady (1877-1919), gwiazda pierwszej wielkości, miał mniej szczęścia. Ady był symbolistą, w którego utworach dekandeeckie gesty i pragnienie śmierci przeplatają się z tęsknotą do „oczyszczającej nawałnicy”, wielkiej rewolucji społecznej; wiązało się to z jego troską o przyszłość narodu węgierskiego wobec nieubłaganej modernizacji świata. Antologia zawiera 16 jego utworów, lecz tłumaczenia są niejednakowej próby. Na przykład słynny wiersz Ady'ego, o bardzo charakterystycznej dla niego „melodii”, o Jesieni opadającej na Paryż, wypada po polsku dość bezbarwnie: „*egy perc, s a nyármeg sem hökölt belé*” zostało oddane jako: „*Chwila: lecz milczy lato gorące*”, tłumaczenie, które niweczy dynamikę obrazu Lata, na moment „wstrzymanego w pędzie”. To samo można powiedzieć o innym wierszu Ady'ego (*Wzleciał paw*), gdzie osobliwy dobór słów przez tłumacza nie wydaje się szczególnie. Szkoda też, że tłumaczenia Ady'ego przez Mariana Jachimowicza (wspomniane w nocie o tym poecie) nie zostały włączone do tej obszernej skądinąd antologii.

Wybór z twórczości niektórych poetów żyjących budzi też pewne wątpliwości. Dlaczego narodowy wydział poezji Gyula Illyés'a został osłabiony przez pominięcie takich wierszy jak np. *Bartók* czy *Ręce Hunyadi'ego*? Mówiąc o poetach nawet dobrze reprezentowanych uważam, że szkoda iż nie zamieszczono znanego *Fragmentu* Benjámin'a, przypuszczalnie najlepszego utworu tego węgierskiego rzeźnika „socjalizmu z ludzką twarzą”, a także że brak wstrząsających wierszy obozowych Pilinszky'ego i niektórych liryków naprawdę świetnego poety — István'a Vas'a. Ale pozytywne strony antologii przeważają: wystarczy wspomnieć choćby znakomite tłumaczenia Sándor Weöres'a pióra Mirona Białoszewskiego i Gracji Kerényi, wierne przekłady Illyés'a przez Międzyrzeckiego, czy Juhásza i László Nagyego przez Tadeusza Nowaka. Naprawdę nie można narzekać: w danych warunkach politycznych redaktorzy osiągnęli prawie optimum. Poziom większość tłumaczeń jest wysoki, towarzyszące noty biograficzne i informacyjne są obszerne i ścisłe. Powinna ona uświadomić polskim czytelnikom, że poezja węgierska, choć trudno daje się eksportować, w rzeczywistości nie jest gorsza od węgierskiego wina. Przyjaźń zaś nie samym winem żyje.

George GÖMÖRI

(Przełożył z angielskiego M. B.)

POJEDYNEK NA CYTATY

Ze zdumieniem przeczytałem artykuł Artura Sandauera w warszawskich *Szpilkach* (Nr 11 z 14. 3. 76), w którym twierdzi, że Miłosz przywłaszczył sobie w „Prywatnych obowiązkach” i w „History of Polish Literature” jego, Sandauera, sądy o Gombrowiczu, Gałczyńskim, Tuwimie i Przybosiu.

Z właściwą sobie rzetelnością Sandauer nie poprzestaje na gołosłownym zarzucie i zestawia inkryminowane fragmenty z książek Miłosza ze swoimi. Cóż się okazuje?

Gombrowicz: zarówno Miłosz, jak i Sandauer, piszą o wpływie dzieciństwa pisarza na charakterystyczną dla jego twórczości antytezę „wyższość — niższość”. Nawet gdyby sam Gombrowicz tego wielokrotnie nie podkreślał w „Dzienniku” i w „Rozmowach”, jest to elementarny klucz do jego dzieła, o którym pisali wszyscy krytycy polscy i zagraniczni.

Gałczyński: Miłosz i Sandauer piszą, że niektóre przedwojenne utwory poety nie zostały zamieszczone w zbiorowych wydaniach jego dzieł i że antysemityzm Gałczyńskiego był wyrazem jego wrogości do warszawskiego *establishmentu* literackiego. Chodzi o fakty znane każdemu Polakowi, który się zetknął z przedwojenną twórczością Gałczyńskiego.

Tuwił: Sandauer wydał studium o Tuwimie pod tytułem „Człowiek, który był diabłem”, Miłosz pisze o jego „demonicznym kompleksie”. O diabelskiej aurze Tuwima z jego myśką i demonologią słyszałem od najwcześniejszego dzieciństwa od mojej matki i innych przyjaciół poety.

Przyboś: Sandauer i Miłosz zwracają obaj uwagę na dynamiczny woluntaryzm poety, który nie godzi się na bierne poddanie się przyrodzie: znów prawda rzucająca się w oczy, o której pisali wszyscy krytycy polskiej poezji.

Wysoko cenię twórczość krytyczną Sandauera, ale nie ma on monopolu na wywalanie wszystkich, od zawsze otwartych, drzwi w polskiej literaturze. A może jest to przykład rzadkiego w dziele Sandauera poczucia humoru? Może chciał on odegrać na nowo z Miłoszem scenę z „Trans-Atlantyku”, w której argentyński „Maestro” (wzorowany na Jorge-Luis Borgesie) odmawia Gombrowiczowi prawa własności nawet do okrzyku: „A gówno!”, bo powiedział to już kiedyś Cambronne?

K. A. J.

DELEUZE I GUATTARI O „BRAMACH RAJU”

„Bramy raju”, niewątpliwie najlepsza książka Jerzego Andrzejewskiego, nie spotkała się z należyтым uznaniem ani w Polsce, ani we Francji. (Podobnie jak nie ukazał się na paryskich ekranach piękny film Wajdy pod tym tytułem).

Warto więc chyba zasygnalizować, że Gilles Deleuze i Félix Guattari, autorzy „Anti-Oedipe”, których waga w paryskiej awangardzie jest olbrzymia, poświęcają „Bramom raju” dwie strony w ostatniej książce „Rhizonie” (Editions de Minuit, 1976).

„Bramy raju” stawiają tam za najpiękniejszy wzór nowej literatury, która powinna, w ich przekonaniu, być oparta na przekazie kolektywnych myśli i doznań.

K. A. J.

Nadesłane nowości wydawnicze

Listy Pasterskie Prymasa Polski 1946-1947. Str. 693 i 3 nlb. (Editions du Dialogue, Paryż, 1975).

LURCZYŃSKI (Mieczysław). *Małżona*. Str. 187 i 5 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1976).

MANDELSZTAM (Nadieżda). *Nadzieja w beznadziejności*. Tłumaczenie z rosyjskiego. Str. 371 i 1 nlb. (Wyd. Polonia Book Fund, Londyn, 1976).

MANGER (Icyk). *Wiersze i poematy*. Wyboru dokonała i przełożyła z żydowskiego Zew Szeps. Str. 179 i 1 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1976).

RATIU (Ion). *Rumunia współczesna i jej rola w dzisiejszym świecie*. Przeł. z angielskiego J. Salmano-wicz. Str. 148. (Wyd. Polonia Book Fund, Londyn, 1975).

POMIAN (Andrzej). *Testament Polski Podziemnej a chwila obecna*. Str. 7 i 1 nlb. (Wyd. Komitetu Głównego PPS w Niemczech, Monachium, 1976).

PODGORSKI (Tadeusz). *Przetrawianie komunizmu*. Uwagi o narastaniu opozycji demokratycznej w PRL. Str. 31 i 1 nlb. (Wyd. Komitetu Głównego PPS w Niemczech, Monachium, 1975).

ZIELIŃSKI (Janusz G.). *Polskie reformy gospodarcze*. Str. 136. (Wyd. Odnova, Londyn, 1974).

GORTAT (W.). *Zakładnicy z pierwszego miliona*. (Wspomnienia 1939-1945). Str. 245 i 3 nlb. (Wyd. Veritas Foundation, Londyn, 1975).

MALINOWSKA (Aleksandra). *Pisane do szuflady*. Str. 216. (Wyd. Caldra House Publishers, Hove, Sussex; 1975).

Misjonarze polscy w świecie. Nasza Rodzina, 1, numéro spécial. Str. 244, 4 nlb i I-VII — kalendarz 1976. (Editions du Dialogue, Paryż, 1975).

Pamiętniki imigrantów polskich w Kanadzie. Wybór pamiętników nadesłanych na konkurs Kanadyjsko-Polskiego Instytutu Badawczego w 1972 roku. Do druku przygotował i wstępem zaopatrzył Benedykt Heydenkorn. Str. 279 i 1 nlb. (Wyd. Polish Alliance Press Ltd., Toronto, 1975; cena Dol. 8).

SZECHTER (Szymon). *Szechterezada*. Str. 114 i 6 nlb. (Wyd. Kontra, Londyn, 1975).

WESTFAL (Stanisław). *Teka Językowa*. Wstęp i krytyczne uwagi Józefa Trypućki. Str. 408 i 4 nlb. (Biblioteka Instytutu Polskiego i Muzeum Sikorskiego w Glasgow; nakładem Krystyny Westfalowej, Glasgow, 1975).

WITTLIN (Józef). *Mój Lwów*. Nowe wydanie ozdobne, ilustrowane rysunkami Tadeusza Terleckiego. Str. 64 i 4 nlb. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1975).

BOY-ZELEŃSKI (Thadée). *Marysienka — La plus aimée des reines*. Version française de Paul Cazin, préface de Jean Fabre. Str. 403 i 5 nlb. (Wyd. Editions l'Age d'Homme, wydanie fotograficzne Interpress, Warszawa, 1975 — Centre Polonais de la Société Européenne de Clutur — SEC).

EROFEIEV (Vénédict). *Moscow-sur-Vodka*. Traduit du russe par Annie Sabatier et Antoine Pingaud. Postface de Michel Heller. Str. 205 i 3 nlb. (Editions Albin Michel, Paryż, 1976).

DUNIN-WASOWICZ (Krzysztof). *La résistance dans les camps de concentration nazis*. Str. 11 i 1 nlb. Seria: Conférences, Fascicule 98 — Académie Polonaise des Sciences, Centre Sciences à Paris. (Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa, 1972).

DUNIN-WASOWICZ (Krzysztof). *La résistance polonaise et l'insurrection du Ghetto de Varsovie*. Str. 16. Seria: Conférences, Fascicule 105 — Académie Polonaise des Sciences, Centre Scientifique à Paris. (Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa, 1974).

MOND (Georges). *Monopole ou concentration de la presse dans les pays socialistes*. Str. 193-216. Nadbitka z *Revue d'études comparatives Est-Ouest*, Juin 1975, Volume 6, No 2).

SCIEGIENNY (André). *De Pétrarque à Luther — Réflexions sur la vision du monde de la renaissance*. (Nadbitka z *Revue de Synthèse*, No 79/80, 1975, str. 225-244).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

3-3-76

Do kandydowania do Sejmu PRL z grupy PAX zostali wyznaczeni: Bolesław Piasecki, Zbigniew Czajkowski, Witold Jankowski, Zenon Komender, Jan Waleczek. Natomiast z katolików, poza PAX-em: Konstanty Łubieński, Janusz Zabłocki, Wacław Auleytner, Jerzy Ozdowski, Ryszard Bender. W Warszawie mówi się, że Konstanty Łubieński zostanie członkiem Rady Państwa, a kierownictwo katolickiej grupy poselskiej obejmie Janusz Zabłocki. Grupa ta chce używać nadal nazwy *Znak*. Bojąc się nieprzychylniej reakcji kół katolickich na Zachodzie, p. Zabłocki przygotowuje dużą tu ofensywę propagandową.

6-3-76

Zdumiewający pośpiech: nakładem Książki i Wiedzy ukazała się broszura zawierająca referat sprawozdawczy Leonida Breżniewa, wygłoszony na XXV Zjeździe KPZS. ■ W Warszawie profesorowie Tadeusz Kotarbiński i Władysław Tatarkiewicz obchodzili jubileusz 90-lecia urodzin. Natomiast jubileusz 70-lecia obchodził prezes PAN, prof. Włodzimierz Trzebiatowski. Tylko jego jubileusz był uroczystie obchodzony przez najwyższe czynniki partyjno-rządowe.

8-3-76

W warszawskiej „Zachęcie” otwarto wystawę 400-tu obrazów, ofiarowanych Polsce przez londyńską galerię Grabowskiego. Obrazy zostaną następnie podzielone między Muzeum Narodowe w Warszawie i Muzeum Sztuk Plastycznych w Łodzi.

ZACHÓD — EMIGRACJA

27-1-76

Burmistrz Rzymu Clelio Darida (chadek) zwrócił się na piśmie do burmistrza Moskwy inż. Vladimira Promislowa w sprawie przydziału mieszkania dla Sacharowa (dla „wielkiego fizyka który przynosi zaszczyt ZSSR i całej Europie”), powołując się na spotkanie na Kapitolu z Eleną Sacharową oraz na informacje prasowe o „trudnościach na jakie napotyka Sacharow w uzyskaniu mieszkania odpowiadającego wymogom rodzinnym i naukowym”. Burmistrz Rzymu wystosował równocześnie list do merów stolic EWG o poparcie tej inicjatywy (m.in. do Przewodniczącego rady miejskiej Paryża, p. Bernard Lafay).

9-2-76

Światowa Federacja Żydów Polskich wystąpiła ostatnio pod adresem rządu PRL z żądaniem zwrócenia społecznego mienia żydowskiego. Dotyczy to synagog, szkół, boisk sportowych, siedzib byłych żydowskich organizacji, instytucji itp. Wartość tego mienia oceniana jest na szereg milionów dolarów. Memoriał ten został złożony ambasadorom PRL w USA, Wielkiej Brytanii i Australii.

14-2-76

Jan Radomyski, zastępca kierownika polskiej sekcji BBC, przeszedł na emeryturę. Na jego miejsce został mianowany Richard Owen. Jest to pierwszy od 20-tu lat wypadek by stanowisko to nie zostało obsadzone Polakiem. Polska sekcja liczy 17-tu redaktorów. ■ Na uniwersytecie Paris-Sorbonne przyznano dyplom doktora *honoris causa* Aleksandrowi Geysztowskiemu, dyrektorowi Instytutu Historii PAN.

16-2-76

W Obersdorf (NRF) zmarła, w wieku 87 lat, Elisaweta Skoropadska-Kużim, córka hetmana Pawła Skoropadskiego, która przez ukraiński ruch hetmański była uważana za symboliczną głowę państw.

19-2-76

Prof. H. Wroński został mianowany członkiem Sekcji nauk ekonomicznych Comité National de la Recherche Scientifique we Francji, a prof. J. Kalinowski wszedł w skład sekcji nauk prawno-ekonomicznych.

28-2-76

W Genewie zmarła, w wieku lat 81, wybitna malarka Zofia Stryjeńska. ■ W Genewie zmarła, w wieku lat 81, wybitna malarka Zofia Stryjeńska. ■ W Krywinie, francuski leader goszystowski, zamierza przy współpracy Leonida Piuszcza nakręcić film, obrazujący obronę więźniów politycznych w ZSSR i krajach Europy Wschodniej. Film ma być realizowany przez Costa Gavras i Chris Marker. Komentatorem ma być Yves Montand.

29-2-76

Uniwersytet Wrocławski nadał godność doktora *honoris causa* Piotrowi Słonińskiemu, profesorowi Sorbony za jego zasługi na polu genetyki i współpracy naukowej pomiędzy Francją i Polską. W ostatniej chwili Ministerstwo Spraw Wewnętrznych PRL'u zorientowało się, że laureat jest bratanikiem Antoniego Słonimskiego. Nadanie doktoratu odbyło się więc przy drzwiach zamkniętych z zakazem wzmiankowania o tej uroczystości w prasie i środkach masowego przekazu.

4-3-76

W Paryżu nieznani sprawcy dokonali włamania do Polsko-Amerykańskiego Komitetu Pomocy Emigrantom (P.A.I.R.C.). Biura te mieszczą się w domu S.P.K. Zabrano szereg dokumentów. Jest to już trzecie z rządu włamanie do biur tej instytucji od czerwca ub. roku.

10-3-76

W świeżo uchwalonej konstytucji Albanii wprowadzono dwa nowe artykuły: pierwszy stwierdza, że „Nikt nie jest uprawniony do podpisania w imieniu Albanii kapitulacji lub okupacji kraju”, a drugi „Instalacja baz i przebywania oddziałów wojsk obcych na terenie Albanii są zakazane”. Zmiany te mają na celu zabezpieczenie przed ewentualną interwencją sowiecką „zalegalizowaną” przez jakąś grupę opozycyjną, jak to miało miejsce w Czechosłowacji. ■ W związku z głośnym wystąpieniem A. Sołżenicyna w BBC w Londynie, George Brown, jeden z przywódców Labour Party i b. minister Spraw Zagranicznych, wystąpił demonstracyjnie z partii. Jednocześnie znany pisarz, Graham Greene, w czasie swego pobytu w Londynie również zsolidaryzował się z wystąpieniem Sołżenicyna. ■ Z emigracyjnego rządu w Londynie ustąpiło już czterech ministrów: Józef Piontowski, Zygmunt Szatkowski, Strzałkowski i Helczyński.

12-3-76

W sali Ukraińskiej Biblioteki w Paryżu odbył się odczyt Jewhena Szachnowycza, pisarza i dziennikarza, który niedawno był w Kijowie, pt. „Najnowsze stadium rusyfikacji na Ukrainie”.

16-3-76

Federacja Związków Polskich Obrońców Ojczyzny, skupiająca organizacje b. żołnierzy 1-szej Dywizji Grenadierów, 2-giej Dywizji Strzelców Pieszych,

1-ej Dywizji Pancерnej, Armii Krajowej. Polskiego Ruchu Oporu P.O.W.N., Polskiego Związku b. Deportowanych we Francji, Związku Inwalidów Wojennych i Samopomocy Polskich Kombatantów S.P.K. wyraża pełną solidarność z Rodakami w Kraju, którzy wystąpili z protestami przeciw zmianom Konstytucji.

26-3-76

W Bibliotece Polskiej w Paryżu odbył się odczyt ks. prałata Zbigniewa Bernackiego, rektora Polskiej Misji Katolickiej we Francji pt. „Pokłosie konferencji waszyngtońskiej Polonia 75”.

KRONIKA AMERYKAŃSKA

Polski Instytut Naukowy a „list 59-ciu”

Nowy Dziennik, wychodzący w New Jersey, skrytykował uchwałę Polskiego Instytutu Naukowego, wyrażającego solidarność z listem 59-ciu, będącym protestem przeciwko zmianom Konstytucji PRL, które Sejm uchwalił w lutym br. Nowy Dziennik uznał uchwałę Instytutu za niedostatecznie ostrą.

Wypada tu dodać, że Polski Instytut Naukowy zaniedbał innej, moim zdaniem, bardzo ważnej rzeczy: uchwała Instytutu, bez rozpowszechnienia jej tekstu i próby zbierania podpisów wśród uczonych amerykańskich, była akcją, która zawisała w powietrzu. Szybkie podjęcia takie inicjatywy i rozesłanie do licznych intelektualistów i uczonych propozycji podpisania uchwały P.I.N.'u, mogło mieć wpływ na ostateczną redakcję poprawek konstytucyjnych. Jeśli bowiem rząd PRL liczy się z kimkolwiek na Zachodzie, to w pierwszym rzędzie z opinią amerykańskiej elity intelektualnej. Wiceprezydent Instytutu i pełniący obowiązki dyrektora, prof. Feliks Gross, stwierdził, że akcja tego typu, aczkolwiek bardzo pożyteczna, okazała się zbyt trudna, ponieważ ekspedycja listów wymagała dodatkowej pracy ze strony niewielkiego personelu, zatrudnionego przez Instytut. Ponieważ z okazji rozmaitych imprez organizowanych przez Instytut, jak zjazdy i kiermasze książki itp., Instytut korzysta z pomocy Pań-ochotniczek, których liczne grono na pewno nie odmówiłoby pomocy w tak ważnej sprawie, stanowisko prof. Grossa wydaje się co najmniej niezrozumiałe.

„Polish Jokes”

Sąd Najwyższy w Waszyngtonie odmówił rozpatrzenia skargi Kongresu Polonii Amerykańskiej w sprawie widowiska telewizyjnego nadanego przez ABC w sierpniu 1972 roku. Skarga dotyczyła „polskich dowcipów” — czyli tzw. *Polish jokes*, którymi autorzy widowiska uraczyli słuchaczy. ABC odmówiła wówczas żądaniu KPA udzielenia czasu telewizyjnego na rozprawienie się z autorami niewybrednych żartów, ograniczając się do przeprosin. KPA — tego rodzaju kompromis nie wystarczył. Sprawa *Polish jokes* nie redukuje się oczywiście do jednej czy dwóch audycji telewizyjnych. Od lat jest to sprawa niesłychanie drażliwa dla całej Polonii amerykańskiej. Decyzja Sądu Najwyższego wywołała oburzenie amerykańskiej prasy polonijnej. W związku z tym wydaje mi się, że środowiska polonijne powinny zrozumieć jedną rzecz: że jedyną reakcją na głupie i płaskie dowcipy o Polakach powinien być brak reakcji. Innymi słowy, kompletne ignorowanie. Niestety, ani większość działaczy polonijnych, ani „szara” masa polonijna nie pojmują,

że im bardziej się oburzają im gwałtowniej okazują swe rozdrażnienie, tym bardziej zachęca to „sprzedawców” owych, pozał się Boże, dowcipów do rozpowszechnienia ich w Ameryce. Gdyby można było zakazać robienia antypolskich dowcipów w drodze administracyjnej, niewątpliwie niektóre grupy polonijne domagałyby się zastosowania sankcji. Ponieważ, na szczęście, w USA możliwości takie nie wchodzą w rachubę, niektórym dziennikarzom polonijnym przychodzi już do głowy myśl, by kongresmeni polskiego pochodzenia domagali się w Izbie Reprezentantów przeforsowania odpowiedniej ustawy. Nie chodzi oczywiście o to, że ustawa tego rodzaju jako niekonstytucyjna nie miałaby żadnych szans powodzenia. Okryłaby ponadto śmiesznością polskich członków Izby, dając nowy materiał do *Polish jokes*. Zapytajmy się szczerze czy polscy Amerykanie nie znoszą *Polish jokes* dlatego, że są ubliżające i na tak nędznym poziomie? A gdyby były lepsze, czy twarz Polonusa z „Green Point” rozkwitłaby tolerancyjnym uśmiechem? Obawiam się, że nie. Sedno sprawy tkwi w wielorakich kompleksach niższości, o które nie podobna winić Polonii, ale które powinna ona w sobie nareszcie przełamać. Dlatego właśnie, że nie zdołała się nimi uporać, drażliwa jest nie tylko na *Polish jokes*, ale na wszelką krytykę Polaków. I tu tkwi sedno zagadnienia. Ileż to krwi napsuły amerykańskim Polakom londyńskie korespondencje Grażyny Nowak, publikowane w *Kulturze*, chociaż wysmiewała ona wyłącznie środowisko polsko-angielskie w Londynie. Polacy amerykańscy nie są tolerancyjni na krytykę w ogóle. Lubią idealizować samych siebie i Polaków w Kraju. Krytykują siebie tylko za brak jedności i brak stanowczej postawy — wobec innych grup etnicznych, którym udało się zdobyć znaczniejsze stanowisko w społeczeństwie amerykańskim. Na razie muszą przywyknąć do tego, że żyją w kraju, w którym wylewa się bezkarnie kubły pomoy zarówno na poszczególne osoby jak i całe grupy. Z oszczerstwami należy walczyć. Z dowcipami, jeśli dobre, nie należy. Jeśli marne — a takimi są *Polish jokes* — nie warto. Z immunitetu przed wysmiewaniem korzystają tylko czarni obywatele USA i mniejszości portorykańskie. Wydaje mi się, że lepiej będzie dla Polonii, aby o tego rodzaju immunitety i przywileje nie zabiegała. Miejmy nadzieję, że nadejdzie chwila gdy Polonia amerykańska z „Green Pointu” i innych środowisk polonijnych zacznie sama o sobie opowiadać dowcipy. Będzie to najlepszą reakcją i jedyną drogą do wytrącenia bronii zawodowym autorom *Polish jokes*.

„New Horizon”

Pierwsze wydanie tygodnika *New Horizon* ukazało się jako dodatek do niedzielnego numeru *Nowego Dziennika*. Następne — wyszło w druku już jako osobne wydawnictwo. Trzeci numer nie ukazał się do dn. 7 marca, ale zapowiedziano że wkrótce się ukaże już jako miesięcznik. Ustalenie dat obydwu wydań nastęrcza niejaki trudności, ponieważ ich wcale albo nie ma albo są skrzętnie ukryte przed okiem czytelników. Redaktorem i wydawcą jest Bolesław Wierzbiański. Pismo wydawane jest po angielsku. Cele ideowe wydawnictwa przedstawione są w pierwszym numerze *New Horizon*. Są nimi: Rzetelne ukazanie oblicza społeczeństwa polonijnego, wskazanie istotnych problemów Polaki, będącej pod władzą sowiecką. Zaprezentowanie osiągnięć kulturalnych, socjalnych i politycznych, które w oparciu o polskie tradycje rozwinęły i wzbogaciły się w Ameryce. Cele chwalebne. Niezadeklarowane — stanowiły one od lat zadania znacznej części prasy polonijnej w Ameryce. Chodziło tylko o to, że nie bardzo udawało się owe cele osiągnąć. Myśl o wydaniu poważnego polskiego tygodnika, drukowanego po angielsku, który mógłby być z zainteresowaniem czytany zarówno przez światlejszych w tym kraju Polaków jak i rdzennych Amerykanów (o ile wyrażenie to

w ogóle coś jeszcze znaczy), nie opuszczała od dawna wielu rozsądnych ludzi w tym kraju. Nie bez racji uznawali oni przeciętny poziom pisemek polonijnych za kompromitujący i urągający dobremu imieniu Polaków w Ameryce. Było to błędne koło, bo te właśnie pismaki najzażarciej walczyły o „honor Polonii”; pograżając ją jeszcze bardziej gatunkiem swej „publicystyki”. *New Horizon* przynajmniej w swych pierwszych numerach umacnia nas w nadziei, że to błędne koło zostanie przełamane. Nie podobna omówić całego numeru, a tym bardziej dwóch. Dotychczas gazety polonijne cierpiały, na ciężkie kompleksy, wynikające z genealogii społecznej Polonii amerykańskiej. Kompleksy te manifestowały się ustawicznymi żałami, że Polo-Amerykanom dzieje się krzywda. Że nie mają odpowiednio licznej reprezentacji ani w Kongresie ani w legislaturach stanowych; że pomijani są na stanowiska sędziów federalnych, że niesprawiedliwie rozdzielane są fundusze rozprawiane według klucza etnicznego i wiele innych nie kończących się biadoleń. Nawet jeśli żale te były słuszne, to przecież niewiele przychodziło z ustawicznych lamentów, wymyślań, a nawet — od czasu do czasu — pogrózek. Do tego dochodziło odmienianie we wszystkich przypadkach Pułaskiego, Kościuszkę i Kopernika. To było najbardziej nudne i nużące. Nie można przecież ciągle żyć myślą o odcinaniu kuponów od sławy swych wielkich przodków, jeśli samemu nie można wywalczyć sobie prestiżu i poczesnego miejsca w społeczeństwie amerykańskim. Polemizując z absolutną Columbią p. Sekowską — p. Helena Szmunessówna pisze trafnie w 2-gim numerze *New Horizon*: „... przypomina mi to wszystkie polonijne uroczystości, w których często składają poważni ludzie, podkreślając cnoty Kościuszkę, Pułaskiego oraz talenty Kopernika, nadmieniali, że to myśmy ich właśnie stworzyli...”. Czy rzeczywiście my? — zapytuje p. H. S. — W jaki sposób panowie Kowalski czy Garfield mają zdobywać tytuł do zasług z racji fenomenalnych postaci typu Szopena, Matejki lub Kopernika? Geniusze są „super-etyniczni” i żaden naród nie może sobie rościć zasług za ich powstanie. Z p. H. S. można się wprawdzie nie we wszystkim zgadzać, niemniej słowa jej ukazały się bardzo na czasie. Ważne jest bowiem uświadomienie sobie przez pp. Kowalskich i Wiśniewskich, że przy użyciu nawet najwyższej wartości kart, w których nie ma cienia ich własnej zasługi, nie mogą zdobyć takiej legitymacji w społeczeństwie amerykańskim jakiej by pragnęli. Składają zresztą legitymacja ta nie jest bynajmniej taka zła, a że inni mają lepsze — trudno. Żeby zerwać z zaściankowością, trzeba wyżyć się ciasno-polonijnego spojrzenia na sprawy amerykańskie. Trzeba np. przestać zalecać głosowania na kandydatów tylko dlatego, że są Amerykanami polskiego pochodzenia. Jeśli p. Krupsak — zastępczyni Gubernatora stanu Nowy Jork liczy, że uda się jej zdobyć kandydaturę na wiceprezidenta z ramienia Partii Demokratycznej, nie należy jej popierać, ponieważ nosi nazwisko Krupsak. Tym bardziej, że pani Krupsak nie zapisała się nazbyt chętnie u boku swego szefa gubernatora Carey'a. Piszę o tym, ponieważ tego rodzaju ogólne zalecenia pod adresem polskich wyborców znajdują się w jednym z dawnych numerów *Nowego Dziennika* — wydawnictwa, na czele którego stoi również p. Bolesław Wierzbiański. W ogóle należy odróżnić sprawy ważne od mniej ważnych. W drugim numerze *New Horizon* zadziwia wzmianka, że: „możliwie największą obrazą jaka mogła spotkać polsko-amerykańskie społeczeństwo, było usunięcie z katedry Św. Patryka statuy Św. Stanisława Kostki po to, żeby ustawić na jej miejsce posąg świeżo beatyfikowanej Amerykanki Matki Seton”. Rzecz niemiła, ale należy ustawić ją we właściwej skali bez rozdzierania szat i roztłuwiania się nad upokorzeniem całej Polonii. Sądźmy, że wzmianki tego rodzaju stanowią w *New Horizon* pewne szcztatkowe obciążenie tego właśnie polonijnego prowincjonalizmu, z którym pragnie wziąć rozbrat nowe pismo, otwierając jak sugeruje jego nazwa, nowe horyzonty. Że tak jest dowodzi zawartość dotych-

czasowych numerów — interesujące artykuły prof. Brzezińskiego i M. Novaka. Trafna analiza zmieniających się tendencji politycznych wśród Polonii dokonana przez B. Wierzbiańskiego, analityczny artykuł o rewolucji etnicznej prof. Grossa, przedrukowany z paryskiej *Kultury*, bardzo dobry i konfliktowy artykuł L. Tyrmanda i kilka innych pozycji. Przydałoby się wśród grona autorskiego nazwisko W. Wasiutyńskiego, rozważnego, choć budzącego sprzeczny, publicysty.

Emeryci amerykańscy w Polsce

Jak informuje tygodnik *Polonia* z dn. 15 lutego 1976 roku, według obliczeń konsulatu USA w Warszawie, w Polsce przebywa 7.000 Amerykanów polskiego pochodzenia, korzystających z prawa stałego pobytu. Odbierali oni swoje amerykańskie emerytury realizowane w kasach PeKaO na podstawie starego przeliczenia, wynoszącego około 62 zł. za dolara. Według *Polonii* emerytom obniżono ostatnio stawkę przeliczeniową do 52 zł. W lipcu ma nastąpić dalsza obniżka do 45 zł., a po pewnym czasie do poziomu 33,20 zł. za dolara. Widać z tego, że pobyt emerytów amerykańskich w Polsce staje się coraz lepszym interesem dla PRL, a coraz gorszym — dla emerytów. Ponieważ Polska odczuwa coraz gwałtowniejsze zapotrzebowanie na waluty zachodnie, należy sądzić, że władze liczą na to, że amerykańscy emeryci, przyzwyczajeni do innej stopy życiowej niż Polacy w Kraju, a w dodatku, lubiący imponować nieco swoim „ubogim” krewnym w Polsce, zaczną otrzymywać dodatkowe zasiłki od swych dzieci i wnuków, przebywających w Stanach Zjedn. i na tej drodze przyczynią się do napływu walut do PRL.

O „Mazowszu” w Ameryce

Trudno nie chwalić „Mazowsza”. Umiejętności taneczne zespołu osiągnęły te szczyty, w którym dalsze doskonalenie techniki tańca wkracza w sferę akrobacji. W czasie ostatniego kilkudniowego pobytu w Nowym Jorku występy „Mazowsza” odbyły się w „Madison Square Garden”. Publiczność w dużym procencie nie-polonijna, a jeśli, to — wnosząc z prowadzonych rozmów — drugiego lub trzeciego pokolenia, oklaskiwała gorąco „Mazowsze” po każdym numerze.

Repertuar „Mazowsza” w ciągu ostatniego 15-lecia uległ tylko minimalnym zmianom. Recenzentka z *New York Times'a*, która wystawiła wybitnie pochlebne i jak najbardziej zasłużone świadectwo zespołowi, zastanawiała się w jaki to sposób można tak bogato i barwnie zaprezentować te same kujawiaki, krakowiaki i mazurki. Receptę znalazła w „teatralizacji” przedstawienia dokonanej przez Mirę Zimińską-Sygietyńską. W istocie to, co wzbogaca inscenizację występów „Mazowsza”, to nie tyle jego „teatralizacja”, ile najwzycyzniejsze w świecie elementy cyrkowo-akrobatyczne plus nieprawdopodobne bogactwo kostiumów połączone z efektami świetlnymi, w których Amerykanie są mistrzami. Nie oznacza to bynajmniej obniżenia artystycznego poziomu zespołu. Przeciwnie, inscenizacja, w której elementy akrobacyjne są zrecznie zharmonizowane z tańcami, muzyką i śpiewem, jest najlepszym kluczem do odświeżenia folkloru i ukazania go w jego pełnym, choć czasem sztucznym blasku. Nie mając w sobie dynamiki rozwojowej, jako że głównym jego urokiem jest tradycja, folklor, nie wzbogacony pomysłową inscenizacją stać się może dla widza i słuchacza po pewnym czasie monotony. Nawet dla Amerykanina z jego odległym dziedzictwem polskości, któremu smutek „kukułeczki” wyciska etniczne łzy wzruszenia. Krakowiak

ze słynną frazą o Polsce, która „nigdy nie zginie póki Wisła płynie” — wywołuje niezmiennie burzliwą reakcję widowni, która prawdopodobnie przez krótką chwilę wierzy w to naprawdę. Zresztą najprawdopodobniej ani wierzy ani nie wierzy, tylko reaguje.

„Mazowsze”, które od 25 lat było i pozostaje pupilkiem PRL, przy wszystkich swoich urokach i niezaprzeczalnych wartościach artystycznych spełnia za granicą pewną bardzo niedwuznaczną rolę. Jest nią sypanie piasku w oczy Polakom-emigrantom, że w Polsce kultura kwitnie. Ba, władza czyni więcej — bo wygrzebuje i kultywuje jej najbardziej trwałe ludowe wartości. I tu jest pieszek pogrzebany, bo przecież rozwój kultury może być skutecznie hamowany (choć nie zahamowany), a Góralom nie zakaże się tańczyć „zbójnickiego”, Krakowiakom — krakowiaka, a Mazurkom — mazura, zwłaszcza jeśli wolą go od *rock and roll'a*.

Na marginesie występów „Mazowsza” w Ameryce wypada wspomnieć o zespole polskiego tańca ludowego z Brooklynu. W czasie kilkugodzinnego festiwalu na 5-tej Avenue, zorganizowanego przez Radę Miejską Nowego Jorku, zespół ten zaprodukował publiczności nowojorskiej pięknie odśpiewane kolendy i tańce — w tej liczbie znakomicie odtąńczony polonez Ogińskiego „Pożegnanie Ojczyzny”. W bardzo zimne i wietrzne wczesne popołudnie, które Amerykanie skłonni są nazywać siarczystym mrozem, niewielka grupa dziewcząt i chłopców, przy akompaniamencie muzyki magnetofonowej, bez efektów świetlnych, bez wspaniałej sceny, na prymitywnej zbitej z desek estradzie potrafiła przez 45 minut zmonopolizować publiczność na 1 i pół kilometrowym odcinku 5-tej Avenue, przeznaczonym w tym dniu na występy amerykańskich grup etnicznych. Prowadzący zespół p. Stanley Pelc był w jednej osobie kierownikiem grupy, tancerzem, konferansjerem i nauczycielem polskich tańców. Po każdym odtworzonym przez zespół tańcu niezmordowany Pan Stanley wzywał widzów na podium, by uczyć ich tańczyć poloneza, mazurka i kujawiaka. Brookliński zespół jest jednym z kilku grup popularyzujących polskie tańce i ludowe pieśni w Nowym Jorku. Biorąc pod uwagę czysto amatorski charakter zespołu, brak tych cieplarnianych warunków, jakimi otoczone jest „Mazowsze”, wypada zastanowić się, czy uwzględniając owe dysproporcje zespół brookliński nie czyni więcej w skromnym wymiarze określonym granicami Nowego Jorku, niż faworyt PRL — „Mazowsze”.

Zespół brookliński p. Stanley'a Pelca składa się wyłącznie z młodych ludzi urodzonych w Ameryce, którzy słabo albo wcale nie władają polskim. Ich los i dzień powszedni związane są z Ameryką i tym wszystkim co się w tym kraju dzieje. Dla ojczyzny swych ojców odczuwają wzruszający sentyment. Chcą pokazać swym współrodakom-Amerykanom to, na co ich stać — polski folklor w jego możliwie nieskażonym kształcie. Czynią więc z pozorów coś zbliżonego do „Mazowsza”, ale niezupełnie, bo w innym celu. Podejrzewam, że jako Amerykanie są większymi miłośnikami „etnicznej” polskości niż zawodowcy z „Mazowsza”.

Nie znaczy to bynajmniej, że władze PRL nie rozpowszechniają za granicą niczego poza folklorem. PAGART lub też jego aktualni następcy eksportują do Ameryki coś w rodzaju kulturalnej kaszanki typu „Podwieczorek przy mikrofonie” — w wykonaniu dobrych aktorów marne i przeważnie spleśniałe teksty, z którymi wykonawcy męczą się często jak potępienicy. Z rzadka ukazują się niektóre dobre polskie filmy. Przeważnie jest to jednak inicjatywa miejscowych wydziałów kinematografii nowojorskich uniwersytetów, organizujących festiwale filmowe. Teatr Grotowskiego, przebywający tu bardzo często, jest do tego stopnia awangardowy, że tylko niewielkie grono smakoszy potrafi go zrozumieć, ale i to nie jest pewne. Tak więc „najmilsze i najzdrowsze za granicą jest Mazowsze” plus garnki i kilimki „Cepelii”. Mazurka czy oberka można tak samo bez najmniejszego ryzyka

odtańczyć przed Białym Domem w Waszyngtonie, jak i przed gmachem wojewódzkiego komitetu partii w Rzeszowie. Nie radziłbym ryzykować przed — Centralnym, ponieważ naczelne władze Partii nie lubią zasadniczo zbiegowsk. Zacznie się od kujawiaka czy oberka a skończy się może Bóg wie na czym.

Zbigniew BYRSKI

Nowy Jork, 7 marca 1976

20. 2. br. w Bostonie popełniła samobójstwo Jolanta Dworzecka, literatka, która wydała w kraju dwa tomy prozy „Inne dobre strony życia” (1967) i „Wycieczkę na wyspę Rab” (1968). We wczesnych latach 70-tych wyemigrowała na Zachód do USA, gdzie uzyskała doktorat z zakresu nauk politycznych. Zamieszczała szereg artykułów i recenzji w *Kulturze*. ■ 15 listopada i 29 grudnia 1975 roku 57-my kanał telewizji w Springfield, Mass., dzięki staraniom p. Jerzego Bajora nadał dokumentarny film o Katyńiu, opracowany przez Związek b. Sowieckich Więźniów Politycznych w Londynie w porozumieniu z Instytutem J. Piłsudskiego w New Yorku. Ogłoszenia o tej audycji ukazały się w 13 pismach a trzy radiostacje informowały publiczność o kanale i czasie wyświetlania filmu. ■ 27. 2. br. odbył się w Los Angeles, Cal., w Klubie Kultury im. Heleny Modrzejewskiej wieczór autorski gen. pil. St. Karpińskiego, autora czterotomowej książki pt. „Na skrzydłach huraganu”.

KRONIKA KANADYJSKA

Władze University of Toronto zapowiedziały likwidację w bież. roku akademickim polonistyki, pozostawiając jedynie kursy języka polskiego. Likwidacja została podyktowana względami oszczędnościowymi. Decyzja ta wywołała ostrą reakcję Polonii. Trzy Fundacje: Fundusz Wieczysty, Fundacja im. Reymonta i Fundacja im. Mickiewicza zaofiarowały 10 tysięcy dolarów rocznie na utrzymanie katedry polonistyki. ■ Dr Jerzy Korey-Krzeczowski, profesor i dziekan uczelni Ryerson Politechnical, znany ekonomista, został mianowany przewodniczącym Komisji Doradczej dla Spraw Wielokulturowości w Ontario. ■ 14. 2. br. odbyła się na uniwersytecie w Alberta jednodniowa konferencja poświęcona zagadnieniom Centralnej i Wschodniej Europy oraz studiom nad grupami etnicznymi tych krajów w Albercie. W tej konferencji wzięli udział: Dr L. Kosiński, Joanna Matlejko, J. Sokołowski i T. Walkowski. ■ Telewizja w Winnipeg, Manitoba, nadaje stały polski program pod nazwą „Polish Television Hour” — „Polska godzina telewizyjna”. Telewizja ta nadaje w każdą środę od godz. 21.30 do 22.30 ogółem 14 audycji różnych grup etnicznych. „Polska godzina telewizyjna” otrzymała w 1975 roku pierwsze miejsce pod względem technicznym, a wyróżnienie pod względem jakości programu. Kierownikiem polskiej audycji jest poseł, ks. Donald Malinowski.

KRONIKA GOSPODARCZA

DALEKI WSCHÓD

Colombo, 9. 12. 75. Zgodnie z nowopodpisaną umową na rok 1976 między Sri Lanka a ChRL, Chiny zakupią w Sri Lanka 67.000 ton kauczuku, a sprzedadzą 200.000 ton ryżu. Zgodnie z praktyką stosowaną przez Chiny

Listy do Redakcji

Inż. Piotr Bukraba
1413 W. St. Mary Blvd.
Lafayette, La. 70501
USA

ODPIS

Lafayette, 5 marca 1975.

ZARZĄD GŁÓWNY STOWARZYSZENIA MARYNARKI WOJENNEJ W LONDYNIE

Niniejszym zgłaszam swoją rezygnację z członkostwa Stowarzyszenia Marynarki Wojennej w Londynie, co jest wyrazem mego negatywnego ustosunkowania się do działalności Stowarzyszenia, a raczej do jego kolejnych, zresztą z reguły niezmiennych, Zarządów Głównych ostatnich lat, jako faktycznych inspiatorów wszelkich poczynąń Stowarzyszenia.

W głównej mierze dotyczy to zaniedbania przez Stowarzyszenie tak doniosłych problemów jak:

- odtworzenia dziejów Marynarki Wojennej okresu międzywojennego,
- stosunek Stowarzyszenia do budowy Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego w Londynie.

Zapomniano całkowicie o moralnym obowiązku Stowarzyszenia odtworzenia dziejów Marynarki Wojennej okresu międzywojennego, w służbie której byliśmy. A przecież Stowarzyszenie wzięło swój początek pod auspicjami tej Marynarki Wojennej i po niej odziedziczyło swoje podstawy finansowe. O realizacji tego problemu długo i dużo dyskutowano, ale bez żadnych rezultatów, mimo że w tym celu Stowarzyszenie powołało specjalną Komisję Historyczną. Obecnie w rocznych sprawozdaniach Zarządów Głównych Stowarzyszenia można tylko odczytać od wielu lat powtarzające się relacje, stwierdzające że Komisja Historyczna Stowarzyszenia nie wykazała żadnej działalności.

Warto tu także przypomnieć, że w 1971 roku wymieniona Komisja Historyczna nie tylko nie dopomogła do wydania drukiem mego opracowania „Działy techniczne Polskiej Marynarki Wojennej i ich udział w jej rozwoju w latach 1918-1939”, lecz wręcz przeciwnie uniemożliwiła jego wydanie przez Stowarzyszenie, posługując się przy tym wprost, lub za pośrednictwem ówczesnego prezesa Zarządu Głównego, wykrętnymi uzasadnieniami odmowy.

Dalekim echem także przebrzmiały nawoływania wielu z nas do wzięcia przez Stowarzyszenie czynnego i efektywnego udziału w akcji budowy Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego w Londynie. Niestety Stowarzyszenie ograniczyło się li-tylko do symbolicznego poparcia realizacji POSK'u w formie wpłat rocznych w wysokości £. 50 oraz przez udzielenie POSK'owi oprocentowanej pożyczki w wysokości bodaj £. 4.000.

Czy aby nie szkoda tylu bezpowrotnie straconych lat i tylu straconych możliwości dokonania słusznie ongiś pomyślnych zagadnień?

Czy straty te zrekompensują wysiłki Zarządów Głównych i poniesione przez te Zarządy wydatki w tworzeniu specjalnych krawatów marynarskich, srebrnych i złotych odznak z kapitałami lub wreszcie szumnie zapowiadany „światowy” zjazd z ozdobnymi zaproszeniami, programami i historią Stowarzyszenia?

Warto nad tymi pytaniami zastanowić się przy upływie trzydziestolecia istnienia Stowarzyszenia.

Z poważaniem,

(—) inż. P. BUKRABA

P.S. Aby uniknąć ewentualnych mylnych interpretacji mojej rezygnacji, proszę Zarząd Główny Stowarzyszenia o zamieszczenie powyższego listu w całości na łamach najbliższego zeszytu *Naszych Sygnałów*.

Ponieważ list nie został zamieszczony zwracam się do Redakcji *Kultury* z prośbą o jego opublikowanie.

P. B.

28 stycznia 1976.

Szanowny Panie Redaktorze,

Przeczytałem uważnie interesujący wykład dr. Gomułki o obecnej sytuacji gospodarczej w Polsce, zamieszczony w listopadowym zeszycie *Kultury*, jaki został mi doręczony dopiero w zeszłym tygodniu. Nie będąc znawcą gospodarki Polski nie mam wiele do powiedzenia o treści wykładu, który wydaje mi się rzetelowy i przekonujący. Mam tylko pewne zastrzeżenia odnośnie wypowiedzi p. Grzybowskiego. Sądję, że p. Grzybowski przecenia możliwości szybkiego wzrostu produkcji rolnej w Polsce. Myli się także tenże dysku-tybny wzrost „Niemcy wyeksportowali w zeszłym roku żywności za 10 miliardów dolarów”. Jest to kwota na pewno bardzo przesadzona, zgoda nieprawdopodobna, albowiem powszechnie wiadomo, że Niemcy Zachodnie nie są samowystarczalne pod względem żywienia i dlatego muszą sprowadzać zboże, paszę, mięso i owoce bądź z krajów EWG, bądź z krajów zamorskich. Jedynie w produkcji nabiału miały Niemcy Zachodnie nieznaczne nadwyżki w ostatnich latach.

W wykładzie dr. Gomułki razi bardzo niedbała i anglicyzmami zachwaszczona polszczyzna. Artykuł o sprawach gospodarczych bynajmniej nie musi być nadziany makaronizmem i wyrażeniami wziętymi żywcem z anglo-amerykańskiego słownictwa ekonomicznego. Polscy ekonomiści przedwojenni, mimo swego wykształcenia na uniwersytetach zagranicznych, umieli pisać poprawną polszczyzną, wystrzegając się niepotrzebnych wyrażań obcych. Również żyjący jeszcze w Kraju nestor ekonomistów polskich, Profesor Li-piński, pisał nader piękną polszczyzną, używając przeważnie polskiego słownictwa ekonomicznego, które jest całkiem wystarczające i zrozumiałe dla niefachowego czytelnika.

Nie wiem dlaczego dr. Gomułka używa wyrazów obcych, najczęściej angielskich, dla oznaczenia takich zwyczajnych pojęć jak spżycie, wywóz, przywóz, dążności rozwojowe itp. Obok pożyczek ze słownictwa anglosaskiego znajduje się w wykładzie dr. Gomułki wiele wyrażań wziętych z żargonu inteligentnego, panoszącego się w literaturze naukowej i w stylu dziennikarskim Polski teraźniejszej. Takie słowa jak „bubble”, wzrost indukowany, sukcesy stymulowane, depresja wzrostowa, oczekiwania płacowe i konsumpcyjne, perspektywa „pegiceryzacji” — to po prostu strupy i skazy na zdrowym ciele polszczyzny, które trzeba bez wahania usunąć i odrzucić.

Wyda mi się, że nawet p. J. Mackiewicz musi uznać sukcesy Kardynała w walce z nieustającym naciskiem jaki wywiera reżym na Kościół i rzesze katolickie. Pomniejszanie tych historycznych zasług Kardynała Wyszyńskiego szkodzi sprawie Narodu i stawia pod znakiem zapytania mądrość polityczną J. Mackiewicza. A szkoda.

Przesyłam wyrazy szacunku,

K. STRYJSKI

Drogi Panie Redaktorze!

24 lutego 1976.

Po przeczytaniu w dopiero dziś otrzymanym Nrze 340/1 *Kultury* artykułu p. Zbigniewa Byrskiego, chcę mu za Pańskim pośrednictwem przesłać wyrazy uznania i podziękować za okazaną mi pośrednio pomoc w zrozumieniu przyczyny mego na wpół uświadamianego „eskapizmu” od koszmarniej terażniejszości.

Gdy wysłaną z Wilna widokówkę otrzymałem w Kalifornii po 86 dniach, tłumaczyłem to specyficznymi warunkami w Sowietach. Nadejście paryskiej *Kultury* po prawie 2 miesiącach jest, drobną, ale charakterystyczną ilustracją zjawisk analizowanych przez p. Byrskiego: filozofii hodowania, a nawet gloryfikowania, nieróbstwa oraz bezgranicznej „wolności” przy wypełnianiu formalnych „obowiązków” przez pocztę.

Dłóż ściskam,

Wiktor SUKIENNICKI

Szanowny Panie Redaktorze,

Londyn, 28 stycznia 1976.

W numerze *Kultury* za styczeń/luty br. w artykule pt. „Białoruskie pokłosie” prof. Wiktor Sukiennicki przytacza dane z półrocznika białoruskiego „Zwazaj” (*Svashay*) z Toronto, który w numerze z kwietnia 1975 r. drukuje (cytuje prof. Sukiennickiego) „początek monografii polskiego miasteczka Motel, przez anonimowego autora pochodzącego z tamtych stron”. Ponieważ te dane roją się od nieścisłości, pozwalam sobie je sprostować.

Długoletni ambasador R.P. w Londynie, mój bliski krewny Konstanty Skirmunt nie został zamordowany w roku 1939, opuścił swe strony rodzinne w przededniu wkroczenia wojsk sowieckich i zmarł w podeszłym wieku na Śląsku w roku 1949. Zamordowani natomiast i torturowani w roku 1939, zostali: młodszy jego brat, Henryk Skirmunt i siostra Maria. Nazwa ich majątku była Mołodów (a nie Mołodów), natomiast majątek Porzece (byłem w obu kilkakrotnie w czasach młodości) był własnością ich stryjecznego brata senatora R.P. Romana Skirmunta, przejsiowo „premiera” rządu białoruskiego w Rosji w roku 1917 przed rewolucją październikową. Wieziony był na „sąd” w roku 1939 wraz ze swym szwagrem Bolesławem Skirmuntem; zostali w drodze zamordowani, a ciała ich niepochowane przeleżały w „gliniance” do wkroczenia wojsk niemieckich w roku 1941. Siostra jednego, a żona drugiego z nich, staruszka Helena Skirmunt została w czasie okupacji niemieckiej torturowana i zamordowana przez dywersantów sowieckich po napadzie na Porzece.

Położone o kilkadziesiąt kilometrów od Pińska, o ludności wówczas

chyba wyłącznie prawie żydowskiej, miasteczko Motel było adresem pocztowym Mołodowa, widziałem więc często tę nazwę pisaną po polsku i (przed 1914 rokiem) po rosyjsku. Z Motola pochodził jeden z przywódców ruchu syjonistycznego i bodaj pierwszy prezydent Izraela, Chaim Weizman. Miałem sposobność rozmawiać z nim m.in. i na ten temat przed wojną w Genewie. Na pewno i on i ja mówiliśmy wtedy o Motolu, a nie o Motel.

Ze względu na brak ścisłych informacji z tego terenu w powyższym okresie, byłbym wdzięczny gdyby Pan Redaktor uznał za stosowne wydrukowanie niniejszego listu w *Kulturze*.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku,

Kazimierz TRĘBICKI

Berlin, 16 marca 1976.

Szanowny Panie Redaktorze,

Ponieważ Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie nie zwrócił się do mnie o złożenie podpisu pod tekstem, solidaryzującym się z memoriałem 59-ciu, pragnę w tej formie dać wyraz memu poruszeniu i poczuciu głębokiej więzi ze wszystkimi, którzy podpisali zarówno ten memoriał, jak również z sygnatariuszami innych pism o podobnej treści.

Łączę wyrazy szczerzego szacunku,

Witold WIRPSZA

APEL SPK WE WŁOSZECH

Zarząd Stowarzyszenia Polskich Kombatantów we Włoszech od wielu lat organizuje wieczory autorskie, odczyty itp. Niestety miejscowych prelegentów prawie nie mamy, korzystamy zazwyczaj tylko z uprzejmości przyjezdnych.

Uprzejmie prosimy pisarzy, poetów, publicystów, dziennikarzy, działaczy społecznych i wszystkich tych, którzy mogliby podzielić się z kolonią polską w Rzymie swymi myślami i wiadomościami, swoją twórczością i dorobkiem w różnych dziedzinach — o zapowiadanie nam swych przyjazdów i chęci wygłoszenia prelekcji.

Zapewniamy co prawda nielicznych, ale chłonnych słuchaczy, oraz ich i naszą wdzięczność.

Przy krótkich pobytach w Rzymie — prosimy zawczasu o ustalenie terminu (najlepiej niedziela około południa, ale mogą być i inne dni), oraz o nadesłanie biografii, bibliografii itp. danych o prelegencie, aby można było w porę rozesłać zaproszenia.

Wszelkie nasze imprezy odbywają się zazwyczaj w sali przy polskim kościele św. Stanisława.

Nasz adres: Associazione Combattenti Polacchi in Italia, 00183 Roma, Via Licia 19 int. 9.

Witold ZAHORSKI
Prezes

Berchem, styczeń 1976.

Szanowny Panie Redaktorze,

Z poczuciem wielkiej wdzięczności Prezydium Ukraińskiego Światowego Zjednoczenia Organizacji Patriarchalnych dla Zjednoczenia Kościoła i Narodu przeczytało „Kronikę” p. D. Morawskiego w grudniowym (12/339) numerze *Kultury*, jak również oświadczenie Redakcji, solidaryzujące się z walką Ukraińskiego Kościoła Katolickiego o ustalenie przez Stolicę Apostolską Patriarchatu Kościoła grecko-katolickiego.

Dla Kościoła Ukraińskiego sprawa Patriarchatu jest faktycznie przesądzona przez historyczne tradycje Kościoła na Ukrainie i w zgodzie z postanowieniami II Soboru Watykańskiego oraz z uchwałami synodów Kościoła Ukraińskiego w ostatnich latach.

Powstanie Patriarchatu Ukraińskiego Kościoła Katolickiego jest dziś bardziej niż kiedykolwiek w naszej historii sprawą istnienia bytu religijnego i narodowego zarówno dla ukraińskich katolików jak i dla całej Ukrainy.

Pana pomoc w naszej walce jest bardzo cenna jako poparcie w opinii świata chrześcijańskiego, a szczególne w ramach naszej wspólnej walki narodów polskiego i ukraińskiego o zachowanie duchowego i fizycznego istnienia.

Proszę przyjąć Szanowny Panie Redaktorze słowa naszego szacunku jak również nasze braterskie chrześcijańskie pozdrowienia.

Prezes — Dr P. ZEŁENYJ

Sekretarz — Dr K. MYTROWYCZ

Z LISTÓW DO REDAKCJI

P. Janusz Szczepkowski z Chicago uważa, że opowiadanie A. Łuczeńczyka „Przez puste ulice”, zamieszczone w Nr. 1/340-2/341 *Kultury* nie odpowiada poziomowi pisma.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI,
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Londyński korespondent „Kultury”: Bohdan BRODZIŃSKI,
87, Park Hill, London, S.W.4. 9NX. — Telefon: 622 17 14.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE

91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi, 78600 - Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal: 2^e Trimestre 1976.

Commission Paritaire N° 21 267.

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffite: Telefon: 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-rocznia	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria, 0002	F. 11,00	F. 65,00	F. 120,00
ARGENTYNA: Natalia Dabrowska, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc 25	F. 11,00	F. 65,00	F. 120,00
AUSTRALIA: Polish Book Depot VISTULA, Daking House, Rawson Place, Sydney NSW, 2000, tel. 212-2013	\$A 2,25	\$A 12,00	\$A 22,50
AUSTRIA: Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14, Tél. 52-40-762	F. 11,00	F. 65,00	F. 120,00
BELGIA: Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20 Tel. 218-69-23	F.B. 110,00	F.B. 650,00	F.B. 1200,00
BRAZYLIA: prosimy o przesyłanie czeków do adm. „Kultury”	\$ US 3,00	\$ US 15,00	\$ US 28,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 11,00	F. 60,00	F. 110,00
HOLANDIA: Mrs J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, (01184) 4073, Postgiro 1379176	Fl. h. 8,00	Fl. h. 45,00	Fl. h. 80,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal, Que. H4A 1Z1 Tel 466-2839; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2; Tel. 339-5577; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel. 545-2115; J. Korwin-Lopuszanski, 90 Hilliard Avenue Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen str. W. Toronto 145 Ont., Polish Alliance Presse, Ltd. (« Zwiastowiec »), 1636 Bloor St. W., Toronto, Ont., M6P 1A7	\$ Can. 3,00	\$ Can. 15,00	\$ Can. 28,00
NIEMCY: St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1 —	DM. 7,00	DM. 40,00	DM. 75,00
NORWEGIA: Br Lubinski, Klommenstengt 8, Moss —	F. 11,00	F. 65,00	F. 120,00
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74, 1211 Genève 7. Tel. 44-32-51, Nr konta pocztow. 12.14431 ..	F.S. 9,50	F.S. 50,00	F.S. 85,00
SZWECJA: Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm., Tel. (08) 60-15-70, Postgirokonto Nr 48 82 34-6.	K.S. 11,00	K.S. 65,00	K.S. 120,00
U.S.A.: S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Ossetynski, 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046, tel. 876-8868; Ada Dziwanowska, 41, Katherine Road, Watertown, Mass. 02172; T. Konopacki, 27437 Detroit Road, Cleveland, Ohio, 44145. Tel. 8714847; Irena Kretowicz, 4254-34th St., San Diego, Cal. 92104, tel. 284-6271; V.B. Kwast, 9055 East Lee St., Tucson, AZ 85715, tel. 886-2128; M. Kosciuch, 12331 French Rd., Detroit Mich 48234; Polish Book Store, 7970 Summerdale Ave. Philadelphia, Pa, 19111; The Polish Book Importing Co, 410 Matchaponix Av., Jamesburg, N.J. 08831. POLONIA: Bookstore, 2921 Milwaukee Ave., Chicago, Ill. 60618. R.J. Sas-Babczynski, 10472 Barnwell Street, Bellflower Cal. 90706 Tel. 867-1857; Jan Wojcik 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347 Chene Str., Detroit, Mich., 48211.	\$ US 3,00	\$ US 15,00	\$ US 28,00
W. BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London, S.W. 5. ORD. Tel. (01) 370 2210.	£ 1,20	£ 7,00	£ 13,00
WŁOCHY: Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 Int. 27., Tel. 75-67-241	F. 11,00	F. 65,00	F. 120,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F.120, półroczna — F.65.
Przesyłka pojedynczego numeru: F.1,80.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:

INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le-Mesnil-le Roi,
par 78600-MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

lub równowartość

Nowości wydawnicze

TOM 262 — LESZEK KOŁAKOWSKI

GŁÓWNE NURTY MARKSIZMU

Powstanie — Rozwój — Rozkład

Tom I

Książka jest krytycznym przeglądem dziejów doktryny marksistowskiej z uwzględnieniem jej filozoficznych i politycznych źródeł. Tom I obejmuje powstanie i ewolucję doktryny za życia jej twórców oraz zawiera krytyczne komentarze autora, odnoszące się do jej kluczowych składników.

Tom II ukaże się niebawem i poświęcony jest odmianom marksizmu, powstałym w Europie w epoce II Międzynarodówki.

Tom III, który autor spodziewa się rychło ukończyć obejmuje rozwój i rozpad marksistowskiego dziedzictwa w ciągu dziesięcioleci jakie upłynęły od Rewolucji Rosyjskiej i końca I-ej Wojny Światowej.

Str. 432.

Cena F. 75,00.



TOM 263 — TOMASZ STALIŃSKI

LUDZIE W AKWARIUM

Nowa powieść autora wydanych już przez Instytut Literacki powieści „Widziane z góry”, „Cienie w pieczarze”, „Romans zimowy” i „Śledztwo”.

Powieść, rozgrywająca się we współczesnej Warszawie, daje przekrój rozmaitych środowisk społeczno-politycznych poruszając również problemy emigracyjne w sposób kontrowersyjny lecz nowy i interesujący.

Str. 148.

Cena F. 25,00.



TOM 264 — WITOLD SUŁKOWSKI

SZKOŁA ZDOBYWCÓW

Tomik prozy poetyckiej młodego pisarza krajowego. Trzy próby wydania go w kraju skończyły się niepowodzeniem. Jedna z najciekawszych pozycji poetów „nowej fali” w Polsce. Sułkowski, urodzony w roku 1943, z wykształcenia filolog, debiutował w *Więzi* i publikował swoje utwory w *Literaturze*, *Poezji* i *Nowym Wyrazie*. Był więziony pół roku w związku ze sprawą tzw. grupy „Ruch”. Pracuje obecnie jako urzędnik w Łódzkim Domu Kultury. Przedmowę do *Szkoły zdobywców* napisał krytyk krajowy, ukrywający się pod pseudonimem Marek Gruda.

Cena 11 F